

KLASYKA KRYMINALU



# Raymond Chandler

## Głęboki sen



Wydawnictwo Dolnośląskie

Raymond Chandler

Głęboki sen

By ESKEL

## Rozdział I

Była połowa października, około jedenastej przed południem — pochmurny, typowy o tej porze roku dla podgórskiej miejscowości dzień, zapowiadający chłodny, siekący deszcz. Miałem na sobie jasnoniebieską koszulę, odpowiedni do tego krawat i chusteczkę w butonierce, czarne spodnie i czarne wełniane skarpetki w niebieski rzucik. Byłem elegancki, czysty, świeżo ogolony, pełen spokoju i nie dbałem o to, jakie to robi wrażenie. Wyglądałem dokładnie tak, jak powinien wyglądać dobrze ubrany prywatny detektyw. Szedłem z wizytą do czterech milionów dolarów.

Wielki hall domu rodziny Sternwoodów miał ponad dwa piętra wysokości. Nad drzwiami, przez które z łatwością mogłoby przejść stado indyjskich słoni, był umieszczony witraż przedstawiający rycerza w ciemnej zbroi, ratującego damę przywiązaną do drzewa. Dama nie nosiła sukni. Jej nagie ciało spowijał płaszcz włosów. Rycerz miał dla wygody otwartą przyłbicę hełmu i usiłował, nie bez wysiłku, rozwiązać sznury, którymi przywiązano damę do drzewa.

Przyglądałem się witrażowi i myślałem sobie, że gdybym stale mieszkał w tym domu, musiałbym wcześniej czy później wleźć na górę i pomóc rycerzowi, nie wyglądał bowiem tak, jakby usiłował działać naprawdę.

Za olbrzymimi oszklonymi drzwiami po drugiej stronie hallu rozciągał się szeroki szmaragdowy trawnik prowadzący do białego garażu, przed którym młody, szczupły, ciemnowłosy szofer w czarnych błyszczących butach odkurzał kasztanowego packarda. Za garażem rosło kilka dekoracyjnych drzew, przyszczyżonych niby pudle. Za nimi widniała wielka oranżeria z dachem w kształcie kopuły. Dalej widać było znowu jakieś drzewa, a poza tym wszystkim masywne, nieregularne kontury wzgórz.

We wschodniej części hallu ażurowe, wyłożone płytkami schody prowadziły na galerię z kutą żelazną balustradą ozdobioną witrażem z inną romantyczną historią. Wszędzie, gdzie było miejsce, ustawiono wokół ścian duże, ciężkie krzesła z okrągłymi, wyściełanymi pluszem siedzeniami. Sprawiały takie wrażenie, jakby nikt nigdy na nich nie siedział. Pośrodku zachodniej ściany znajdował się wielki pusty kominek z mosiężnymi osłonami, ozdobiony marmurowym okapem z amorkami na rogach. Nad kominkiem wisiał duży obraz olejny, nad którym umocowane były pod szkłem dwa kawaleryjskie proporce, podziurawione przez kule albo też przeżarte przez mole. Obraz przedstawiał sztywno upozowanego oficera z okresu wojny meksykańskiej, w pełnej mundurowej gali. Oficer miał czarne wąsy, gorące a jednocześnie twardo patrzące, czarne niby węgle oczy. Twarz sprawiała wrażenie, jakby należała do człowieka, z którym lepiej nie jeść z jednego talerza. Pomyślałem, że prawdopodobnie jest to portret dziadka generała Sternwooda. Nie mógł być to sam generał, choć jak słyszałem, był już w

bardzo zaawansowanym wieku, zbyt może zaawansowanym jak na dwie córki liczące sobie po dwadzieścia wiosen.

Wpatrywałem się w gorące czarne oczy portretu, gdy usłyszałem za sobą otwierające się drzwi. Nie był to jednak powracający służący. Była to dziewczyna. Miała około dwudziestu lat, była niska, drobno zbudowana, ale mimo to sprawiała wrażenie dość silnej. Miała na sobie jasnoniebieskie długie spodnie i wyglądała w nich bardzo dobrze. Zbliżała się do mnie lekkim krokiem. Jej ładne brązowe włosy były przystrzyżone bardzo krótko, o wiele krócej niż tego wymagała obecna moda. Oglądała mnie od stóp do głów ciemnoszarymi, zupełnie pozbawionymi wyrazu oczami. Podeszła do mnie blisko. Uśmiechnęła się samymi tylko wargami, pokazując przy tym ostre, drobne zęby, białe jak świeże pomarańczowe kwiaty i połyskujące jak porcelana. Błyszczały między jej cienkimi, zbyt napiętymi wargami, a cała twarz, pozbawiona koloru, nie wyglądała zbyt zdrowo.

— Ale pan wysoki! — stwierdziła.

— To nie moja wina.

Oczy jej się zaokrągliły. Była zaskoczona. Namysłała się. Można było zauważyć, nawet po tej krótkiej wymianie zdań, że myślenie sprawiało jej wiele trudności.

— I przystojny — dodała. — Założę się, że pan sobie zdaje z tego sprawę!

Mruknałem coś w odpowiedzi.

— Jak się pan nazywa?

— Reilly — odpowiedziałem. — Doghouse Reilly.

— Śmieszne nazwisko.

Zagryzła wargi, odchyliła głowę i spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek. Po czym opuściła rzęsy, tak że niemal przytuliły się do policzków i podniosła je powoli, jak podnosi się kurtynę w teatrze. Miałem jeszcze doskonale poznać tę gierkę. Powinno mnie to było rozłożyć na obie łopatki, albo i na cztery, gdybym je miał.

— Czy pan jest zawodowym bokserem? — zapytała, widząc, że nie mdleję.

— Prawdę mówiąc, nie — odpowiedziałem. — Jestem psem gończym.

— Czym pan jest...? — ze złością odrzuciła głowę do tyłu, a jej włosy zabłysły w przyćmionym świetle wielkiego hallu. — Żartuje pan sobie ze mnie!

— Uhm.

— Co takiego?

— Och, niech pani da spokój — stwierdziłem — przecież pani słyszała, co powiedziałem.

— Nic pan nie powiedział. Pan sobie tylko ze mnie kpi! — Podniosła do ust kciuk i ze złością go ugryzła. Był to palec szczupły i wąski, o cudownym, nieskazitelnym kształcie. Trzymała go w ustach ssąc powoli i obracając jak dziecko smoczek.

— Pan jest bardzo wysoki — zauważyła, po czym zachichotała z nieuzasadnionym rozbawieniem. Odwróciła się do mnie powolnym, kocim ruchem, nie unosząc nóg z podłogi. Ramiona jej opadły bezwładnie. Wspięła się na palce i padła wprost w moje objęcia. Musiałem ją pochwycić, nie chcąc, żeby rozbijała głowę o podłogę. Chwyciłem ją za ramiona. Natychmiast ugięła nogi w kolanach. Musiałem ją mocno do siebie przycisnąć, chcąc by stała prosto. Kiedy jej głowa znalazła się na mojej piersi, spojrzała na mnie i zaśmiała się.

— Jesteś przepięknym chłopcem — powiedziała. — Ale ja też jestem ładna!

Nic nie odpowiedziałem. Lokaj wybrał sobie właśnie ten dogodny moment, aby przekroczyć próg oszklonych drzwi i zobaczyć mnie trzymającego dziewczynę w ramionach.

Nie wydawało się jednak, by zrobiło to na nim wrażenie. Był chudym, wysokim, siwowłosym mężczyzną tuż przed lub tuż po sześćdziesiątce. Jego niebieskie oczy spoglądały na mnie ze skromnością, na jaką w ogóle stać człowieka. Skórę miał gładką i jasną i poruszał się jak ktoś o doskonale wytrenowanych mięśniach. Podchodził do nas powoli, przecinając hall ukośnie. Dziewczyna odskoczyła ode mnie. Przemknęła przez hall aż do schodów prowadzących na galerię i wbiegła na nie jak łania. Zniknęła, zanim udało mi się głęboko odetchnąć.

— Generał życzy sobie pana zobaczyć teraz, panie Marlowe — powiedział lokaj bezbarwnie.

Zadarłem dolną szczękę do góry i wskazałem na galerię.

— Kto to był?

— Panna Carmen Sternwood, proszę pana.

— Powinien pan ją od tego odzwyczaić — powiedziałem. — Jest już na tyle dorosła, że powinna się inaczej zachowywać.

Lokaj spojrział na mnie z chłodną uprzejmością i powtórzył to, co już raz powiedział.

## Rozdział II

Przez oszklone drzwi wyszliśmy na wyłożoną chodnikowymi płytami równą ścieżkę, która okrążając trawnik wiodła do garażu. Chłopiący szofer zdążył w tym czasie wyprowadzić czarną, chromowaną limuzynę na zewnątrz i odkurzał ją teraz starannie. Ścieżka poprowadziła nas wzdłuż oranżerii. Lokaj otworzył drzwi i przepuścił mnie przed sobą. Przed nami znajdowało się coś w rodzaju przedsionka, w którym było gorąco niczym w piekarniku. Lokaj wszedł za mną, zamknął zewnętrzne drzwi, otworzył wewnętrzne i weszliśmy do środka. W środku panował upał. Powietrze było gęste, wilgotne, parne, przesycone niesamowitym zapachem kwitnących orchidei. Ze szklanych zaporowanych ścian i dachu spadały wielkie krople wody i rozpryskiwały się na roślinach. Światło miało przedziwny zielony kolor, jakby przedostawało się przez wodę z akwarium. Orchidee wypełniały całą przestrzeń. Był to prawdziwy las, pełen obrzydliwych, mięsistych liści i łodyg, wyglądających jak świeżo wymyte palce trupów. Kwiaty pachniały odurzająco, jak wrzący pod osłoną alkohol.

Lokaj dokładał wysiłków, aby przeprowadzić mnie wśród roślin tak, bym nie został spoliczkowany przez rozmokłe liście. Po chwili zbliżyliśmy się do niby polany położonej pośrodku znajdującej się pod kopułą dachu dżungli. Na wytyczonym tutaj sześciokątnym polu leżał wysłużony czerwony turecki dywan. Stał na nim inwalidzki wózek, w którym siedział stary, najwyraźniej bliski śmierci mężczyzna, przyglądający się nam czarnymi oczyma, w których dawno już wygasł wszelki ogień, ale które wciąż jeszcze patrzyły tak otwarcie, jak oczy na portrecie wiszącym nad kominkiem w hallu. Cała twarz, poza oczami, sprawiała wrażenie ołowianej maski, z bezkrwistymi wargami, ostrym nosem, zapadniętymi skroniami, naznaczonymi zbliżającym się rozkładem. Chude, długie ciało było mimo gorąca przykryte pledem i owinięte — wyblakłym czerwonym płaszczem kąpielowym. Kościste dłonie z podobnymi do szponów palcami o purpurowo-sinych paznokciach spoczywały na pledzie. Z głowy zwisały rzadkie kępki suchych, siwych włosów, przypominających dziko rosnące kwiaty, walczące o życie na nagiej skale.

Lokaj stanął przed nim i powiedział:

— Przyszedł pan Marlowe, generale.

Starzec nie poruszył się ani nie odezwał, nie skinął nawet głową. Przyglądał mi się po prostu, bezwładny. Usiadłem na mokrym plecionym fotelu, podsuniełym przez lokaja, który z ukłonem odebrał ode mnie kapelusz.

Generał odezwał się po chwili głosem, który sprawiał wrażenie, jakby wydobywał się z głębokiej studni.

— Brandy, Norris. Z czym pan ją lubi pić?

— W każdej postaci — odpowiedziałem.

Lokaj zniknął za ścianą obrzydliwych roślin. Generał odezwał się znowu. Używał głosu ostrożnie niczym bezrobotna girlsa ostatniej pary pończoch.

— Kiedyś pijałem brandy z szampanem. Szampan musiał być zimny jak woda z górskiego źródła i zawierać co najmniej jedną trzecią brandy... Może pan zdejmie marynarkę, panie Marlowe. Tu jest naprawdę zbyt gorąco dla człowieka, w którego żyłach płynie krew.

Wstałem, zrzuciłem marynarkę i wyjąłem chusteczkę, by wytrzeć twarz, szyję i przeguby rąk. Miałem wrażenie, że temperatura na Saharze w samo południe musi być dużo niższa. Usiadłem i automatycznie sięgnąłem po papierosa. Powstrzymałem się jednak. Starzec zauważył ten ruch i uśmiechnął się słabo.

— Może pan palić, panie Marlowe. Bardzo lubię zapach dymu tytoniowego.

Zapaliłem papierosa i dmuchnąłem kłębem dymu w jego stronę. Nozdrza starca poruszyły się jak nos teriera przy norze szczura. Słaby uśmiezek ocienił kąciki jego ust.

— Zabawna sytuacja, kiedy człowiek musi dawać upust swoim nałogom przez pośrednika — powiedział oschle. — Ma pan przed sobą obraz nudnego dogorywania po barwnym życiu. Widzi pan kalekę o bezwładnych nogach i podbrzuszu. Niewiele jest już rzeczy, które mogę jeść, a mój sen jest tak bardzo zbliżony do czuwania, że ledwie zasługuje na swoją nazwę. Wydaje mi się, że egzystuję tylko dzięki cieplarnianemu gorącu, niczym nowo narodzony pajak. Orchidee są tylko usprawiedliwieniem dla tej temperatury. Lubi pan orchidee?

— Tak sobie — powiedziałem.

Generał przymknął oczy.

— Są wstrętne. Ich tkanka jest podobna do ludzkiego mięsa. Ich zapach ma w sobie coś z pseudo słodczy prostytutki.

Spojrzałem na niego z otwartymi ustami. Miękkie, wilgotne gorąco pokrywało nas jak całun. Starzec pochylił głowę, jakby szyja nie mogła udźwignąć jej ciężaru.

Wreszcie zjawił się lokaj, przedarłszy się przez dżunglę z małym barowym stolikiem na kółkach. Zmieszał dla mnie brandy z wodą sodową, okrył miedziany kubek z lodem mokrą serwetką i odszedł, bezszelestnie poruszając się wśród orchidei. Gdzieś z tyłu dżungli otwarły się i zamknęły za nim drzwi.

Upiliśmy mały łyk wódki. Starzec widząc to kilkakrotnie oblizał usta, wodząc powoli jedną wargą po drugiej z napięciem godnym większego ceremoniału.

— Niech mi pan coś o sobie opowie, Marlowe. Sądzę, że mogę o to prosić.

— Oczywiście, tyle że nie ma wiele do opowiadania. Mam trzydzieści trzy lata, skończyłem college i jeśli sytuacja tego wymaga, wciąż jeszcze potrafię posługiwać się angielskim. W moim zawodzie nie jest to wprawdzie zbyt często wymagane... Pracowałem jako wywiadowca u sędziego okręgowego, Wilde'a. Szef wywiadowców Bernie Ohls, wezwał mnie i powiedział, że chce mnie pan zobaczyć. Jestem kawalerem z tej prostej przyczyny, że nie znoszę żon funkcjonariuszy policji.

— A prócz tego jest pan trochę cynikiem — uśmiechnął się starzec. — Nie podobała się panu praca u Wilde'a?

Starzec przyglądał mi się chwilę oczami bez wyrazu.

— Odszedł miesiąc temu. Nagle, nie mówiąc nikomu ani słowa. Nie pożegnał się nawet ze mną. Zabolalo mnie to, ale cóż, był wychowany w twardej szkole życia. Jestem pewien, że wcześniej czy później dostanę od niego wiadomość. Na razie jednak jestem znów szantażowany.

— Znów? — spytałem.

Wyciągnął ręce spod pledu. Trzymał w nich brązową kopertę.

— Dopóki Rusty był tutaj, mogłem tylko współczuć każdemu, kto by mnie próbował szantażować. Kilka miesięcy przed jego przybyciem, mniej więcej dziesięć miesięcy temu, wypłaciłem pewnemu typowi o nazwisku Joe Brody pięć tysięcy dolarów po to, żeby zostawił w spokoju moją młodszą córkę, Carmen.

— O! — wymknęło mi się.

Poruszył rzadkimi, białymi brwiami.

— Co pan chciał przez to powiedzieć?

— Nic — odparłem.

Chwilę przyglądał mi się ze zmarszczonym czołem, wreszcie powiedział:

— Niech pan weźmie tę kopertę i obejrzy ją, proszę sobie nalać brandy.

Wziąłem kopertę z jego kolan i wróciłem na krzesło. Wytarłem dłonie i obejrzałem list z zewnątrz. Koperta była zaadresowana do generała Guy Sternwooda, 3765 Alta Brea Crescent, West Hollywood, California. Adres został napisany atramentem, ukośnymi, drukowanymi literami. Koperta była rozcięta. Wyciągnąłem z niej brązową wizytówkę i trzy kawałki sztywnego papieru. Na cienkiej karteczce z doskonałego papieru widniał złoty nagłówek: Arthur Gwynn Geiger. Adresu nie podano. Na dole, w lewym rogu, maleńkimi czcionkami złożono: „Rzadkie książki luksusowe wydania”. Odwróciłem kartonik. Po drugiej stronie było napisane ukośnymi, drukowanymi literami: „Szanowny panie, mimo że załączone pokwitowania nie mogą być prawnie zaskarżone, gdyż stanowią długi za gry hazardowe, wydaje mi się, że wolałby pan je jednak wykupić. Z poważaniem A.G. Geiger.

Przyjrzałem się trzem kawałkom sztywnego białego papieru. Były to wypisane atramentem weksle noszące daty z poprzedniego miesiąca. Treść ich brzmiała: „Okazicielowi niniejszego, Arthurowi Gwynn Geigerowi lub jego pełnomocnikowi, zobowiązuję się wypłacić na żądanie sumę tysiąca dolarów (\$1000.00) bez procentów. Pieniądze otrzymałam. Carmen Sternwood”.

Tekst był napisany niewyraźnym, kulfoniastym charakterem pisma, z wieloma zawijasami i kółkami zamiast kropek.

Zrobiłem sobie jeszcze jednego drinka, pociągnąłem łyk i odłożyłem dowód rzeczowy na bok.

— Co pan z tego wnioskuje? — spytał generał.

— Na razie nic. Kto to jest Arthur Gwynn Geiger?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— A co na ten temat powiedziała panu Carmen?

— Nie pytałem jej. I nie zamierzam. Gdybym to zrobił prawdopodobnie zaczęłaby ssać kciuk i zrobiła bojaźliwą minkę.

— Widziałem ją w hallu — powiedziałem. — Rzeczywiście dokładnie tak się zachowała. Potem spróbowała usiąść mi na kolanach..

Wyraz twarzy generała nie zmienił się ani na jotę. Jego splecione dłonie leżały spokojnie na kocu, a upał, który sprawiał, że czułem się jak kurczak na rożnie, zupełnie na niego nie działał.

— Czy muszę być uprzejmy, czy mogę być zupełnie szczerzy?

— Nie wydaje mi się, aby pan cierpiał z powodu zbyt wielu zahamowań, panie Marlowe.

— Jak się panu wydaje, generale, czy pańskie córki zabawiają się razem?

— Nie sądzę. Myślę, że dążą sobie właściwymi i bardzo rozbieżnymi drogami do zguby. Vivian jest zepsuta, wyrafinowana, inteligentna i prawie bezwzględna. Carmen natomiast to dziecko, które lubi wyrwać muchom nóżki. Żadna z nich nie ma więcej poczucia moralności niż kot. Zresztą ja też nie. Żaden ze Sternwoodów nigdy go nie miał. Proszę pytać dalej.

— Sądzę, że odebrały staranne wychowanie. Wydaje mi się, że wiedzą, co robią.

— Vivian uczęszczała do dobrych snobistycznych szkół i na uniwersytet. Carmen chodziła do jakiegoś pół tuzina szkół o coraz mniejszych i mniejszych wymaganiach, aż wreszcie skończyła naukę w punkcie, w którym ją zaczęła. Przypuszczam, że obie miały i mają jeszcze teraz wszelkie znane nałogi. Jeżeli w ustach ojca brzmi to trochę złowieszczo, panie Marlowe, to chyba dlatego, że mój własny sposób życia był zawsze daleki od wszelkiego rodzaju wiktoriańskiej hipokryzji. — Oparł głowę o fotel i przymknął oczy, by je nagle otworzyć. — Nie muszę panu dodawać, że mężczyzna, który w pięćdziesiątym czwartym roku życia po raz pierwszy zażył rozkoszy ojcostwa, zasłużył na wszystko, co go spotkało.

Przelknąłem łyk mojego drinka i skinąłem głową. Puls na jego chudej, szarawej szyi tętnił wyraźnie, ale mimo to tak wolno, że ledwie można było go uznać za puls. Stary człowiek, na wpół martwy, ale zdecydowany patrzeć życiu prosto w oczy.

— Co pan radzi? — warknął nieoczekiwanie.

— Zapłaciłbym mu.

— Dlaczego?

— To kwestia niewielkiej sumy z jednej strony, a wielkich nieprzyjemności z drugiej. Jestem pewien, że coś się za tym kryje. Nie sądzę jednak, żeby to panu złamało serce. Poza tym, wielu oszustów musiałoby zużytkować bardzo wiele czasu, by wyłudzić od pana tyle, aby pan to odczuł.

— Mam swoją dumę, panie Marlowe — odezwał się chłodnym tonem.

— Ktoś na to liczy. To najprostsza droga, żeby pana oszukać. Pana albo policję. Geiger mógłby tę sumę spokojnie zainkasować, o ile nie potrafiłby mu pan dowieść oszustwa. Zamiast tego przesyła panu pokwitowania w prezencie, dodając że są to długi karciane czy też

z rulety, co daje panu broń do ręki, nawet gdyby Geiger zatrzymał czek. Dobrze sobie to wykombinował, wie, że dostanie te pieniądze, zarówno jeśli pan go uzna za oszusta, jak i za uczciwego człowieka, zajmującego się pożyczkami na niewielki procent. Kto to był ten Joe Brody, któremu wypłacił pan pięć tysięcy dolarów?

— Jakiś hazardzista. Nie przypominam już sobie. Norris powinien wiedzieć. Mój służący.

— Czy pańskie córki posiadają własny majątek, którym mogą rozporządzać, generale?

— Vivian posiada, ale niewielki. Carmen jest wciąż jeszcze w myśl testamentu jej matki niepełnoletnia. Obie dostają ode mnie hojne sumy jako kieszonkowe.

— Naturalnie mogę usunąć z pana pola widzenia owego Geigera, generale, jeżeli pan sobie tego życzy—powiedziałem. — Wszystko jedno kim jest i czym się zajmuje. Może to pana trochę kosztować, niezależnie od honorariów, które mi pan wypłaci. Ale to oczywiście nic nam nie da. Opłacanie szantażystów nigdy nic nie daje. Pańskie nazwisko figuruje już na liście źródeł pieniędzy.

— No tak — wzruszył szerokimi, kościstymi ramionami okrytymi czerwonym płaszczem kąpielowym. — Przed chwilą powiedział mi pan, żebym zapłacił. Teraz pan mówi, że to mi nic nie da.

— Miałem na myśli, że byłoby taniej i prościej przewlekać sprawę i przystać na jakąś rozsądną sumę tego szantażu, to wszystko.

— Obawiam się, że jestem raczej niecierpliwym człowiekiem, panie Marlowe. Jak wysokie jest pańskie honorarium?

— Dostaję dwadzieścia pięć dolarów dziennie oraz zwrot wszelkich wydatków, naturalnie jeśli mam szczęście.

— W porządku. Nie jest to zbyt dużo za uwolnienie człowieka od wszelkiego rodzaju pasożytów. To będzie bardzo delikatna operacja. Mam nadzieję, że pan sobie zdaje z tego sprawę. Mam też nadzieję, że przeprowadzi pan tę operację z jak najmniejszą szkodą dla pacjenta. Być może tych pacjentów jest wielu, panie Marlowe.

Wysączyłem drinka i wytarłem chustką wargi i twarz. Brandy niestety nie zmniejszyło upału. Generał rzucił mi krótkie spojrzenie i szarpnął koniec okrywającego go pledu.

— Czy mam ubić interes z tym jegomościem, naturalnie jeżeli jego żądania zawarte będą w rozsądnych granicach? — zapytałem.

— Oczywiście. Wszystko jest wyłącznie w pańskich rękach. Nigdy nie załatwiam niczego połowicznie.

— Nie chcę pana przerażać — powiedziałem — ale będzie mu się wydawać, że lawina spada mu na głowę.

— Jestem tego pewien. A teraz proszę mi wybaczyć. Jestem zmęczony. — Wyciągnął rękę i nacisnął guzik dzwonka znajdującego się na oparciu fotela. Sznur od kontaktu był wetknięty w gruby czarny kabel wijący się wzdłuż ścianek głęboko wkopanych zielonych skrzynek, w których wzrastały i gniły orchidee. Generał zamknął oczy, otworzył je jeszcze raz, by rzucić krótkie, ożywione spojrzenie i ułożył się wygodniej na poduszkach. Powieki opadły mu znowu. Nie zwracał już na mnie żadnej uwagi. Wstałem, zdjąłem marynarkę z oparcia wilgotnego wiklinowego krzesła i ruszyłem, mijając orchidee, do drzwi. Otworzyłem jedno i drugie i znalazłem się na zewnątrz ciepłarni, wchłaniając łapczywie świeże październikowe powietrze. Szofer zniknął już sprzed garaży. Lokaj, sztywny i uroczysty, siedł bezszelestnie i spokojnie w moim kierunku czerwoną ścieżką. Zarzuciłem na ramiona marynarkę i patrzyłem, jak nadchodził. Zatrzymał się pół metra przede mną i wypowiedział uroczyste:

— Pani Regan życzyłaby sobie z panem porozmawiać, zanim pan nas opuści, proszę pana. Jeśli chodzi o pieniądze, generał polecił mi wręczyć panu czek na jakąkolwiek sensownie brzmiącą sumę.

— Upoważnił pana? W jaki sposób?

Spojrzał na mnie zdziwiony i uśmiechnął się.

— Och, rozumiem, proszę pana. Jest pan detektywem... Nawiasem mówiąc, generał przycisnął dzwonek.

— Wystawia pan czeki za generała?

— Mam ten przywilej.

— Wobec tego z pewnością nie grozi panu pogrzeb na koszt miasta. Na razie nie chcę żadnych pieniędzy. W jakiej sprawie pani Regan chce ze mną rozmawiać?

Jego niebieskie oczy patrzyły na mnie z beznamiętnym spokojem.

— Wydaje mi się, że źle zrozumiała powód pańskiej wizyty, proszę pana.



— A kto ją powiadomił o mojej wizycie?  
— Jej okna wychodzą na cieplarnię. Widziała, jak do niej wchodziliśmy. Byłem zmuszony powiedzieć, kim pan jest.  
— Nie podoba mi się to — powiedziałem.  
Jego niebieskie oczy złodowaciały.  
— Czy pan zamierza pouczyć mnie o moich obowiązkach, proszę pana?  
— Nie, ale mam niezłą zabawę, próbując odgadnąć na czym właściwie polegają.  
Przez moment patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Wreszcie, rzuciwszy mi niebieskie spojrzenie, odwrócił głowę.

### Rozdział III

Ten pokój był również za duży. Sufit był za wysoko, drzwi zbyt ogromne, a biały dywan, pokrywający podłogę od ściany do ściany, sprawiał wrażenie śniegu, świeżo opadłego na ogromną taflę jeziora. Na ścianach umieszczono olbrzymie lustra oraz długą półkę z kryształu. Meble koloru kości słoniowej były bogato zdobione chromem, a olbrzymie, również koloru kości słoniowej zasłony spadały na biały dywan w odległości co najmniej metra od okien. Biel sprawiała, że kolor kości słoniowej wydawał się brudny, a kość słoniowa dosłownie zabijała biel. Okna wychodziły na ciemne wzgórza. Deszcz wisiał w powietrzu.

Usiadłem na brzegu głębokiego, miękkiego fotela i spojrzałem na panią Regan. Warto było na nią popatrzeć. Wyglądała jak osoba mająca duże kłopoty. Spoczywała rozciągnięta na supernowoczesnej kanapie. Nie nosiła pantofli, tak że mogłem wytrzeszczyć oczy na jej osłonięte pajęczyną jedwabnych pończoch nogi. Zresztą wyglądało na to, że zostały specjalnie ułożone po to, by się na nie gapić. Były odsłonięte do kolan, a jedna nawet sporo powyżej. Miała piękne kolana, ani zbyt kanciaste, ani ostre, z dołeczkami, i równie piękne łydki, o długich, szczupłych kostkach, wartych co najmniej nastrojowego poematu. Była wysoka i smukła, ale sprawiała wrażenie osoby raczej silnej. Jej głowa spoczywała na atlasowej poduszce koloru kości słoniowej. Miała czarne, sztywne włosy rozdzielone pośrodku głowy i gorące, czarne oczy portretu z hallu. Podbródek był ładnie zarysowany, usta również, choć ich kąciki lekko opadały, a dolna warga wydawała się zbyt pełna.

Trzymała szklankę. Pociągnęła z niej solidny haust i rzuciła mi chłodne, oceniające spojrzenie sponad szkła.

— Jest więc pan prywatnym detektywem — powiedziała. — Nie sądziłam, że tacy istnieją w realnym życiu, raczej tylko w książkach. A poza tym wyobrażałam ich sobie jako służących, marnych człowieczków węszących po hotelowych korytarzach.

Udałem, że mnie to nie dotyczy i puściłem zaczepkę mimo uszu.

Postawiła szklankę na szerokiej poręczy kanapy i błysnęła szmaragdem, dotykając włosów.

— Podobał się panu mój ojciec? — spytała powoli.  
— Podobał mi się — odpowiedziałem.  
— Bardzo lubił Rusty'ego. Przypuszczam, że wie pan, kim jest Rusty?  
— Uhm — mruknąłem.  
— Rusty bywał ordynarny i pospolity, ale nie był zakłamanym. Nie powinien był zniknąć w taki sposób. Ojciec martwi się tym, chociaż nic na ten temat nie mówi. A może panu powiedział?

— Coś tam powiedział — stwierdziłem.

— Nie jest pan zbyt wylewny, panie Marlowe, prawda? Ale ojciec bardzo chciałby go odnaleźć... Tak mi się przynajmniej wydaje...

Przez chwilę przyglądałem się jej z niezwykle grzeczną miną.

— I tak, i nie — odpowiedziałem.

— Dość dziwna odpowiedź. Czy panu wydaje się, że może go pan odnaleźć?

— Przecież nie twierdziłem, że będę próbował to zrobić. Dlaczego nie zwraca się pani do policji, do wydziału zaginionych osób? To nie jest robota dla jednej osoby.

— Och, ojciec nie chce nawet słyszeć o tym, żeby w tę sprawę mieszać policję.

Spojrzała na mnie spokojnie poprzez szklankę, opróżniła ją i nacisnęła guzik dzwonka. Przez boczne drzwi weszła pokojówka. Była to kobieta w średnim wieku, o długiej, żółtawej, przyjaznej twarzy, długim nosie, małym podbródku i wielkich wilgotnych oczach. Sprawiała wrażenie starej szkap, którą po wielu latach wiernej służby puszcza się na wypas. Pani Regan wyciągnęła ku niej pustą szklankę. Pokojówka przygotowała nową porcję trunku, podała go swojej pani i wycofała się z pokoju bez słowa i bez spojrzenia w moją stronę.

— A więc, co zamierza pan przedsięwziąć? — spytała pani Regan, kiedy drzwi się zamknęły.

— Kiedy i w jaki sposób Rusty zwiął?

— Czy ojciec panu nie opowiedział?

Przechyliłem głowę na bok i uśmiechnąłem się do niej szeroko. Zarumieniła się. Jej gorące oczy zaczęły rzucać błyskawice.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — warknęła. — Poza tym nie podobają mi się pańskie maniery.

— Ja też nie jestem zachwycony pani manierami — odpowiedziałem. — Nie prosiłem o tę rozmowę. To pani po mnie posłała. Nie przeszkadza mi to, że mnie pani kokietuje, ani to, że na śniadanie konsumuje pani butelkę whisky. Nie przeszkadza mi też, że pokazuje mi pani nogi. To pierwszorzędne nogi i zawarcie z nimi bliższej znajomości należy do rzeczy przyjemnych. Nie przeszkadza mi także, że nie podobają się pani moje maniery. Rzeczywiście nie są najlepsze. Zamartwiałem się już nimi dostatecznie podczas długich zimowych wieczorów. Niech pani jednak nie traci czasu, próbując mnie przesłuchać.

Cisnęła szklanką z taką siłą, że część whisky wylała się na jedwabną poduszkę. Zamachnęła się nogami, opuściła je na podłogę i stanęła przede mną z rozszerzonymi nozdrzami i oczami miotającymi płomienie. Rozchyliła wargi i białe zęby błysnęły w moim kierunku. Kostki jej zaciśniętych rąk pobiegały.

— Jak pan śmie w ten sposób ze mną rozmawiać? □ odezwała się głosem stłumionym wściekłością.

Siedziałem spokojnie, uśmiechając się do niej. Powoli zamknęła usta i spojrzała na rozlaną whisky. Usiadła na brzeжку kanapy i podparła podbródek ręką.

— Mój Boże, cóż za przystojny grubianin z pana. Powinna była rzucić czymś w pańską głowę.

Pstryknąłem zapalką i — o dziwo — zapaliła się natychmiast. Wypuściłem kłęb dymu w powietrze i czekałem.

— Czuję wstręt do despotycznych mężczyzn — powiedziała. — Po prostu nienawidzę ich.

— Czego pani się boi, pani Regan?

Jej oczy przygasły, po chwili pociemniały znowu, jej nozdrza zacisnęły się.

— Jestem pewna, że nie o mnie pana pytał — powiedziała napiętym głosem, w którym wciąż jeszcze pobrzmiwała odrobina wściekłości. — Chodziło o Rusty'ego, prawda?

— Niech go pani lepiej o to sama zapyta.

— Wynoś się! — wybuchnęła znów. — Do jasnej cholery, won stąd!

Miała rzeczywiście przepiękne nogi. Trzeba było jej to przyznać. Dobrana parka, ona i jej ojciec. Generał chciał mnie prawdopodobnie wypróbować, ponieważ praca, którą mi powierzył, nadawała się raczej dla adwokata. Nawet gdyby szanowny Arthur Gwynn Geiger, „rzadkie książki i luksusowe druki”, okazał się zwykłym szantażystą, byłaby to praca wyłącznie dla adwokata. Chyba że kryło się za tym coś więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Wygląda na to, że mógłbym się nieźle zabawić, próbując to odkryć.

Podjechałem do biblioteki publicznej w Hollywood i przejrzałem pobieżnie nudny tom zatytułowany: „Sławne pierwsze wydania”. Pół godziny strawione nad tym zajęciem sprawiło, że odczułem gwałtowną potrzebę zjedzenia lunchu.

#### Rozdział IV

Siedzibą A.G. Geigera okazał się być frontowy sklep w północnej części bulwarów, bardzo blisko Las Palmas. Do środka prowadziły osadzone głęboko poza wystawami drzwi. Szkło wystawowe zabezpieczały mosiężne kraty, a okna osłonięto chińskimi parawanami, tak by nie można było zajrzeć z ulicy do wnętrza. Ponadto leżało tam wszelkiego rodzaju wschodnie żelastwo, o którego wartości nie miałem najmniejszego pojęcia, ponieważ obce mi były wszelkie starocie, z wyjątkiem nie zapłaconych rachunków. Drzwi wejściowe sporządzone były z grubej szklanej tafli, ale przez nie też nie było niczego widać, ponieważ we wnętrzu sklepu panował półmrok. Po jednej stronie budynku znajdował się wjazd na podwórze domu, po drugiej połyskująca biżuteria, wzbudzająca zaufanie firma jubilerska. Właściciel tego sklepu stał, lekko znudzony, kołysząc się na piętach w drzwiach wejściowych — siwowłosy, wysoki, przystojny Żyd w ciemnym ubraniu, z dziewięciokaratowym brylantem na prawej ręce. Leciutki domyślny uśmiezek wykrzywił mu wargi, kiedy wchodziłem do sklepu Geigera. Zamknąłem za sobą cicho drzwi i stąpnąłem na grubym niebieskim dywan, pokrywającym całą podłogę. W pomieszczeniu znajdowało się kilka niebieskich, pokrytych skórą foteli, przed którymi stały stoliki z przyborami do palenia. Na eleganckim podłużnym stoliku było wyłożone parę oprawionych w wytłaczaną skórę tomów. Podobne książki umieszczono w zawieszonych na ścianach gablotach. Były to wyjątkowo ładne egzemplarze, jakie zwykli kupować nuworysze, po to by wypełnić nimi półki, nakleiwszy przedtem na książki exlibrisy. W głębi sklepu stała drewniana ścianka z drzwiami pośrodku. Były zamknięte. Między ścianką działową a jedną ze ścian, w rogu, przy małym biurku, siedziała kobieta. Przed nią stała drewniana, rzeźbiona lampa.

Kobieta wstała powoli i zbliżyła się do mnie, posuwając się w węzowych skrętach. Nosila obcisłą suknię o głębokiej, nasyconej czerni. Miała długie uda, a sposób, w jaki się poruszała, zupełnie nie odpowiadał atmosferze księgarni. Była platynową blondynką o zielonych oczach i rzęsach pokrytych grubą warstwą tuszu. Jej włosy spływały gładką falą, zaczesane za uszy, w których połyskiwały dwa wielkie klipsy. Paznokcie u rąk miała pomalowane na srebrno. Mimo tych wszystkich zewnętrznych zalet nie sprawiała wrażenia osoby szczególnie dystygowanej.

Podpłynęła do mnie z potężnym ładunkiem sex-appealu, zdolnym wzniecić panikę nawet wśród debatujących o interesach biznesmenów, i przechyliła głowę, żeby poprawić niby to zabłąkany kosmyk miękkich, połyskujących włosów. Jej uśmiech był zdawkowy, choć miał sprawiać wrażenie przyjaznego.

— Czym mogę służyć? — spytała.

Miałem na nosie grube, rogowe okulary. Zmieniłem głos i spytałem piskliwie:

— Czy nie miałaby pani przypadkiem Ben Hura, wydanie z roku 1860?

Nie powiedziała od razu: co proszę? — chociaż miała na to ochotę. Uśmiechnęła się blado.

— Pierwsze wydanie?

— Nie — odpowiedziałem. — Trzecie, z błędami korektorskimi na sto szesnastej stronie.

— Obawiam się, że nie... nie mamy tego w tej chwili na składzie — odparła.

— A może jest Chevalier Audubon z 1840, naturalnie pełne wydanie?

— Niestety... nie mamy tego na razie — zamruczała z wyraźnym zniecierpliwieniem.

Uśmiech błąkał się wciąż jeszcze po jej twarzy, ale sprawiał wrażenie, jakby miał się w każdej chwili zerwać i rozbić na kawałki.

— Przecież wasza firma sprzedaje książki — stwierdziłem uprzejmym falsetem.

Obrzuciła mnie spojrzeniem od stóp do głów. Nie uśmiechała się już, a jej oczy stwardniały. Przybrała napuszoną i kompetentną minę. Zabębniła pomalowanymi na srebrno paznokciami po szkle gablotki.

— A według pana co to wszystko jest? Grapefruity? — dopytywała się zgryźliwie.

— O, te rzeczy mnie nie interesują, wie pani. Przecież to są tanie duplikaty sztychów, tandetne, choć efektowne. Pospolity, jarmarczny towar! O nie, dziękuję bardzo, nie.

— Rozumiem — starała się znowu naciągnąć uśmiech na twarz. — Możliwe, że mógłby panu pomóc pan Geiger, ale w tej chwili jest nieobecny.

Przyglądała mi się coraz uważniej. W każdym razie wiedziałem już z całą pewnością, że zna się na rzadkich książkach tak, jak na prowadzeniu pchłego cyrku.

— Czy może mi pani powiedzieć, kiedy on przyjdzie?

— Obawiam się, że późno.

— Jaka szkoda — westchnąłem. — Naprawdę szkoda. Zasiadę wobec tego na jednym z tych przepięknych krzeseł i wypalę papierosa. Nie mam zbyt wielu zajęć dziś po południu. Muszę tylko przemyśleć mój wykład z trygonometrii.

— Rozumiem — powiedziała. — Tak... naturalnie.

Usadowiłem się wygodnie w fotelu i zapaliłem papierosa, używając stojącej na stole okrągłej, niklowanej zapalniczki. Kobieta stała, przygryzając dolną wargę, z nieokreślonym wyrazem zakłopotania w oczach. Wreszcie skinęła głową, odwróciła się powoli i powędrowała do swego małego biurka w kącie. Obserwowała mnie, spoza lampy. Założyłem nogę na nogę i ziewnąłem. Jej srebrne pazurki zbliżyły się do telefonu stojącego na biurku, nie dotknęły go jednak, opadły i zaczęły bębnić po blacie.

Milczenie trwało około pięciu minut. Po upływie tego czasu otworzyły się drzwi wejściowe i ukazał się w nich wysoki, obleśny facet z laską i potężnym nosem. Nacisnął na klamkę, ignorując urządzenie do zamykania drzwi, pomaszerował z wdziękiem do biurka, położył na nim opakowaną w papier paczkę, a następnie wyciągnął z kieszeni portfel o pozłacanych brzegach i pokazał coś blondynce. Przycisnęła umieszczony na biurku guzik dzwonka. Wysoki jegomość podszedł do drzwi w drewnianym przepierzeniu i uchylił je tak skąpo, że ledwie mógł się przez nie przecisnąć.

Skończyłem jednego papierosa i zapaliłem nowego.

Czas włókł się powoli. Przez zamknięte drzwi wejściowe dochodził pomruk ulicznego gwaru i trąbki klaksonów. Przejechał wielki czerwony autobus międzymiastowy. Zmieniały się światła na skrzyżowaniu. Blondynka rozsiadła się wygodniej na krześle, podparła ręką czoło i obserwowała mnie uważnie. Drzwi w drewnianej ścianie uchyliły się ponownie i wysoki jegomość z laską wysliznął się spoza przepierzenia. W rękę trzymał świeżo opakowaną paczkę, przypominającą kształtem grubą książkę. Podeszedł do biurka i uścił jakąś sumę. Wyszedł tak samo, jak wszedł, poruszając się na palcach, oddychając otwartymi ustami. Mijając mnie posłał mi krótkie, podejrzliwe spojrzenie.

Zerwałem się na równe nogi, machnąłem kapeluszem w stronę blondyny i poszedłem za nim. Szedł w kierunku zachodnim kołysząc laseczką i zakreślając nią mały, precyzyjny łuk przy prawym bucie. Śledzenie go nie było trudnym zadaniem. Nosił marynarkę skrojoną z materiału przypominającego końską derkę o krzyczących kolorach, z ramionami tak szerokimi, że wystająca z nich szyja wyglądała jak łodyga selera, do której przymocowano chwiejącą się w takt kroków głowę. Szliśmy tak razem kilkaset metrów. Przy najbliższej przecznicy zrównałem się z nim i sprawiłem, że mnie zauważył. Obrzucił mnie zrazu nieuważnym, potem krótkim, podejrzliwym spojrzeniem i szybko odwrócił wzrok. Przy zielonym świetle przeszliśmy jezdnię i doszliśmy do następnej przecznicy. Wyciągał swoje długie nogi tak, że na najbliższym rogu uzyskał nade mną piętnaście metrów przewagi. Skręcił na prawo. Sto kroków dalej zatrzymał się nagle, zawiesił laseczkę na ramieniu i wyciągnął skórzaną papierośnicę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Wtykając papierosa w usta upuścił pudełko zapalek. Obejrzał się podnosząc je i stwierdziwszy, że obserwuje go zza rogu, wyprostował się tak gwałtownie, jakby dostał kopniaka. Ruszył dalej, niemal wznecając kurz pospieszonymi, niezdarnymi krokami i uderzając laseczką o płyty chodnika. Skręcił w lewo. Miał nade mną przewagę przeszło pół długości ulicy, kiedy dotarłem do miejsca, w którym skręcił. Odsapnąłem. Była to wąska, obsadzona drzewami ulica, ograniczona murem z jednej i trzema bungalowami z drugiej strony.

Zgubiłem go. Wałęsałem się wzdłuż ulicy, rozglądając się na wszystkie strony.

Zatrzymałem się przy drugiej posesji, noszącej nazwę „La Baba”. Było to ciche miejsce z dwoma rzędami małych, drewnianych pawiloników stojących w cieniu drzew. Droga prowadząca między domkami była obsadzona przyciętymi w kształcie klocków cyprysami. Za trzecim drzewem zauważyłem ramię w krzyczącym materiale.

Oparłem się o przydrożne drzewo i czekałem. Gdzieś spoza wzgórz rozległ się znowu grom. Blask błyskawicy oświetlił zgromadzone na południu czarne chmury. Na drogę spadły pierwsze pojedyncze krople deszczu, złościąc otwory wielkości pięciocentówek. Powietrze było prawie tak samo nieruchome jak w cieplarni generała Sternwooda.

Zza drzewa znów ukazała się krzykliwa marynarka, następnie wielki nos, oko i rudawo żółte włosy. Tym razem nie nosił kapelusza. Oko spojrzało na mnie i zniknęło. Drugie oko pokazało się niczym dzięcioł po drugiej stronie drzewa. Minęło pięć minut. Wykończyłem go. Należał do facetów o słabych nerwach. Usłyszałem trzask zapalki, po czym rozległo się pogwizdywanie i niewyraźny cień przemknął ku następnemu drzewu. Po chwili jegomość znalazł się na dróźnie i ruszył wprost na mnie, pogwizdując i bawiąc się laską. Nie było to przyjemnie brzmiące gwizdanie, widocznie przychodziło mu z trudem. Wzniosłem zamyślane oczy ku niebu. Minął mnie w odległości trzech metrów, nie zaszczycając spojrzeniem. Był bezpieczny. Pozbył się kłopotu.

Poczekalem, az zniknal mi z oczu, ruszyłem w kierunku „La Baby” i rozgarnalem galezie trzeciego cyprysa. Wyciagnalem zawinieta w papier ksiazke, wsadilem ja sobie pod pachę i odszedłem. Nikt mnie nie gonil.

Kiedy znów znalazłem się na bulwarze, wszedłem do kabiny telefonicznej i znalazłem w ksiazce domowy adres Arthura Gwynn Geigera. Mieszkal na Laverne Terrasse, bocznej ulicy odchodzacej od bulwaru Canyone. Wrzucilem do automatu monetę i z czystej ciekawosci nakrecilem numer. Nikt nie odpowiadail. Przejrzalem ksiazke i wynotowalem adresy kilku ksiegarni polozonych przy okolicznych przecznicach.

Pierwsza, do ktorej się udalem, lezala po polnocnej stronie. Duza suterena zaopatrzona w materialy piśmienne i wypełnione ksiazkami półpietro. To nie bylo to, czego szukalem. Przeszedłem na druga strone ulicy i udalem się w kierunku wschodnim, do nastepnej. Ta wygladala juz bardziej na rodzaj sklepu, jakiego potrzebowalem. Byla niewielka, zapchana regalami z ksiazkami od podlogi az do sufitu. Czterech czy pieciu moli ksiazkowych wertowalo nowe wydawnictwa, pozostawiajac slady palców na nowiutkich obwolutach. Nikt nie zwracal na nich uwagi.

Przepchalem się do srodka sklepu, minalem przepierzenie i natknałem się na niską brunetkę, czytając za biurkiem jakas prawnicza ksiege.

Prztyknałem otwartym portfelem o blat biurka i dalem jej mozliwosc zerkniecia na przypieta do klapki odznakę. Spojrzala na nia, zdjela okulary i odchyliła się do tyłu, opierajac wygodniej o poręcz krzesla. Schowalem portfel do kieszeni. Miała subtelną twarz bardzo inteligentnej Żydówki. Patrzyla na mnie w milczeniu.

— Czy moze mi pani wyświadczyć przysluge? — spytałem — Niewielką przysluge?

— Trudno mi powiedziec. O co panu chodzi? — miala lagodny matowy glós.

— Czy zna pani sklep Geigera? Dwie przecznice dalej, na zachód?

— Zdaje się, że przechodzila tamtędy kilka razy.

— To jest ksiegarnia — wyjaśnilem. — Ale nie takiego rodzaju jak ta. Pani zreszta na pewno dobrze o tym wie.

Nie odpowiedziala, skrzywila tylko leciutko, pogardliwie wargi.

— Czy zna pani z widzenia Geigera? — spytałem.

— Jest mi bardzo przykro, ale nie znam pana Geigera.

— Czyli nie moze mi pani powiedziec, jak wyglada?

Jej wargi wykrzywily się troche mocniej.

— A powinnam?

— Naturalnie nie musi pani, nie ma pani zadnego obowiazku. Jezeli pani nie ma ochoty, nie mogę pani zmusic.

Spojrzala w kierunku drzwi w przepierzeniu i znowu odchyliła się glęboko w krzesle.

— Czy na pańskim portfelu byla wybita gwiazda szeryfa?

— Ochotniczy asystent. To nic nie oznacza. Jest mniej warte od groszowego cygara.

— Rozumiem. — Wyjela z szuflady paczke papierosów, wyciagnela jednego, rozluznila w palcach i siegnela po niego ustami. Podalem jej ogien. Podziekowala i przyjrzala mi się poprzez dym papierosa. — Chce pan wiedziec, jak on wyglada, ale nie chce go pan osobiście odwiedzic? — spytala rozważnym tonem.

— Nie ma go w sklepie — powiedzialem.

— Przypuszczam, że kiedyś przyjdzie. To w koncu jego sklep.

— W tej chwili jeszcze nie chcialbym go odwiedzac — wyznalem wreszcie.

Znów zerknęła przez otwarte drzwi do wnętrza sklepu.

— Czy pani zna się na białych krukach? — spytałem.

— Może mnie pan przeegzaminować.

— Czy miałyby pani Ben Hura z 1860 roku, trzecia wydanie z powtórzonym tym samym wierszem na stronie sto szesnastej?

Odsunęła żółte prawnicze dzieło na bok, sięgnęła po grubą księgę leżącą na biurku, przerzuciła kilkanaście kartek, znalazła odpowiednią stronę i przestudiowała ją.

— Nikt by nie miał — powiedziała nie podnosząc wzroku. — Nic takiego nie istnieje.

— Ma pani rację.

— Do czego, na Boga, pan zmierza?

— Dziewczyna w sklepie Geigera nie wiedziała, że taki Ben Hur nie istnieje.

Podniosła na mnie oczy.

— Tak? Zaciekał mnie pan. Ale tak sobie.

— Tak się złożyło, że jestem prywatnym detektywem. Być może zadaję zbyt wiele pytań, ale jak na razi niewiele się dowiedziałem.

Wypuściła miękkie, szare kółko dymu i włożyła weń palec. Rozwiał się w wątle pasemka. Odezwała się do mnie uprzejmie, ale zupełnie obojętnie.

— Ma około czterdziestki, według mojej oceny, średniego wzrostu, z tendencją do tycia. Waży około siedemdziesięciu pięciu kilogramów. Ma tłustą twarz, wąsik jak Charlie Chaplin, grubą, miękką szyję. W ogóle cały jest jakiś miękki. Ubiera się bardzo dobrze, nigdy nie nosi kapelusza. Chwali się swoją znajomością sztuki, chociaż wcale jej nie posiada. Ach tak! Ma szklane lewe oko.

— Dała mi pani bardzo dobry rysopis — powiedziałem.

Odłożyła katalog na półeczkę z boku jej biurka i znów przysunęła ku sobie prawnicze dzieło.

— Mam nadzieję, że nie — powiedziała wkładając okulary.

Podziękowałem i wyszedłem. Zaczęło padać. Pobiegłem w deszczu, trzymając pod pachą owiniętą w papier książkę. Mój samochód był zaparkowany na bocznej ulicy, prawie naprzeciwko sklepu Geigera. Przemokłem, nim do niego dotarłem. Wpakowałem się do wozu, podniosłem obie szyby, wytarłem paczkę chusteczką do nosa i rozpakowałem ją.

Wiedziałem naturalnie, co będzie zawierać. Ciężka, ładnie oprawiona książka, pięknie wydrukowana specjalną czcionką na świetnym papierze. Pełna całostronicowych zdjęć. I zdjęcia i tekst były nieopisanie plugawe. Książka nie była nowa. Na kartonowej okładce widniały daty wypożyczeni i zwrotów. Wypożyczona książka. Z wypożyczalni specjalnych wydań z wyrafinowanymi sprośnościami.

Zapakowałem książkę z powrotem i umieściłem ją na siedzeniu za sobą. Coś tak obrzydliwego, zupełnie jawnie prowadzonego przy głównym bulwarze oznaczało, że właściciel wypożyczalni znajduje się pod opieką wpływowych osób. Siedziałem w samochodzie, trułem się dymem z papierosów, słuchałem padającego deszczu i myślałem.

## Rozdział VI

Ulewny deszcz przepelniał rynny, wylewając się z nich strumieniem na chodnik. Wysocy policjanci w błyszczących jak lufy rewolwerów płaszczach przeciwdeszczowych

zabawiali się przenoszeniem chichoczących dziewcząt, przez największe kałuże na jezdni. Deszcz bębnił po dachu mego samochodu i przedostawał się do wnętrza. Na podłodze, akurat pod moimi stopami, utworzyła się kałuża. To nie było normalne — taka ulewa o tej porze roku. Z trudem wbiłem się w wilgotny płaszcz i pędem przebiegłem do najbliższej knajpy, gdzie zafundowałem sobie butelkę whisky. W samochodzie pociągnąłem na tyle solidnie, że zrobiło mi się ciepło i wszystko znów zaczęło mnie bawić. Parkowałem dłużej, niż zezwalały na to przepisy, ale na szczęście policjanci zbyt byli zajęci noszeniem dziewcząt i używaniem gwizdków, żeby troszczyć się o mój samochód.

Mimo deszczu, a może właśnie dlatego że padało, sklep Geigera cieszył się niezwykle wysokim powroźeniem. Z zatrzymujących się przed nim eleganckich samochodów wysiadali wytworni ludzie, znikali w środku i wychodzili obarczeni paczkami. Nie byli to wyłącznie mężczyźni.

Geiger pojawił się około godziny czwartej. Zdażyłem dostrzec tłustą twarz z chaplinowskimi wąsikami, podczas gdy wysiadał i wchodził do sklepu. Był bez kapelusza, miał na sobie zielony skórzany płaszcz, przewiązany paskiem. Z odległości, w jakiej się znajdowałem, nie mogłem stwierdzić, czy ma szklane oko. Wysoki, przystojny młody chłopak w skórzanej kurtce wyszedł ze sklepu i odprowadził samochód za róg. Wrócił pieszo ze zlepionymi od deszczu błyszczącymi, czarnymi włosami. Minęła godzina. Zrobiło się ciemno. Przyćmione deszczem światła sklepów ginęły w mroku ulicy. Tramwaje przejeżdżały z hałasem. Około wpół do szóstej przystojny chłopak w skórzanej kurtce wyszedł z parasolem ze sklepu, podprowadził kremowy samochód i zaparkował go przed frontowymi drzwiami. Kiedy wyszedł Geiger, chłopak przytrzymał parasol nad jego odsłoniętą głową. Potem złożył go i podał Geigerowi, gdy ten już siedział za kierownicą. Sam wycofał się do sklepu. Zapuściłem silnik.

Samochód Geigera pojechał przez bulwary w kierunku zachodnim. Zmusiło mnie to do nieprawidłowego skrętu w lewo i przysporzyło wielu nieprzyjaciół wśród kierowców, z których jeden posunął się nawet do wytknięcia głowy i zwymyślenia mnie w ulewnym deszczu. Kiedy zakończyłem manewr, kremowy samochód znajdował się już o dwie przecznice dalej. Miałem nadzieję, że Geiger jedzie do domu. Dwa czy trzy razy udało mi się dostrzec jasny samochód, w końcu zobaczyłem, że skręcił w jedną z przecznic w lewo i pojechał zakrzywioną, wybetonowaną ulicą. Była to Laverne Terrasse, wąska ulica z domami rozrzuconymi po pochyłości, ustawionymi tylko po jednej stronie, tak że ich dachy znajdowały się niemal na poziomie szosy. Okna domów zasłaniał gąszcz krzaków i żywopłot. Przemoknięte drzewa sterczały tu i ówdzie ma całym terenie.

Geiger zapalił światła. Nie poszedłem za jego przykładem. Dodałem gazu i wyminąłem go na zakręcie. Właśnie hamował. Zanotowałem w pamięci numer domu i stanąłem w przecznicy. Reflektory samochodu Geigera oświetlały garaż przy niewielkiej willi, otoczonej tak skomplikowanym labiryntem żywopłotu, że prawie nie było jej widać. Obserwowałem go, jak wyszedł z rozłożonym parasolem z garażu i wszedł do domu. Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie spodziewał się, że ktokolwiek może go śledzić. W willi rozbłysło światło. Podjechałem do najbliższego domu sprawiającego wrażenie nie zamieszkanego. Zaparkowałem, przewietrzyłem samochód, pociągnąłem z butelki i uzbrojony w cierpliwość, czekałem. Nie wiedziałem na co, ale jakiś wewnętrzny głos kazał mi czekać. Czas upływał niemiłosiernie wolno.

Wyminęły mnie zaledwie dwa samochody, zdażające na szczyt wzgórza. To była bardzo spokojna ulica. Krótko po szóstej przez strumienie deszczu przedarło się jakieś światło. Poza tym panowały egipskie ciemności. Były to światła samochodu, który zatrzymał się przed domem Geigera. Reflektory żarzyły się jeszcze chwilę, aż zgasły zupełnie. Drzwi samochodu otwarły się



i wyszła z nich kobieta. Mała, zgrabna kobieta w wielkim filcowym kapeluszu i przezroczystym płaszczu przeciwdeszczowym. Ruszyła przez labirynt żywopłotu w kierunku willi. Odezwał się słabo dzwonek. Światło błysnęło poprzez deszcz, dobiegł mnie odgłos zamykanych drzwi, i znów zapanowała cisza.

Wyciągnąłem latarkę ze schowka pod deską rozdzielczą, wysiadłem z samochodu i ruszyłem, żeby obejrzeć sobie stojący przed domem Geigera pojazd. Był to packard. Kasztanowobrazowy albo ciemnobrazowy. Lewe okno było otwarte. Wymacałem prawo jazdy i skierowałem na nie światło. Dokumenty były wystawione na nazwisko Carmen Sternwood, 3765 Alta Brea Crescent, West Hollywood. Wróciłem do swego samochodu. Czekałem. Krople deszczu ściekały mi na kolana. Whisky paliła mnie w żołądku. Nikt więcej nie przejechał Laverne Terrace. Najlżejsze światło nie pojawiło się w oknach domu, przed którym zaparkowałem samochód. Wymarzone warunki dla uprawiania niedozwolonych nałogów. Dwadzieścia po siódmej w domu Geigera rozbłysło, jak błyskawica w czasie letniej burzy, silne białe światło. Zanim pochłonęły je ciemności, rozległ się wysoki, histeryczny krzyk. Pochłonęły go prawie natychmiast skąpane w deszczu drzewa. Wskoczyłem z samochodu, nim zdążył przebrzmieć.

Nie było strachu w tym krzyku. Raczej sprawiał wrażenie radosnego przerażenia, pobrzmiwało w nim coś pijackiego, jakiś ton nieskażonego debilizmu. Był to dziwny dźwięk. Przywodził na myśl ludzi w białych kaftanach, umieszczanych w domu o zakratowanych oknach i twardych, wąskich pryczach z przymocowanymi do nich skórzanymi pasami na ręce i nogi.

Zanim dotarłem do furtki, w domu zapanowała znów kompletna cisza. U drzwi znajdował się żelazny dzwonek zrobiony w kształcie pierścienia umieszczonego w paszczy lwa. Wyciągnąłem rękę i odchyliłem żelazne kółko. W tej samej chwili, jakby ktoś czekał na sygnał, zagrzmiały w domu trzy strzały. Po nich usłyszałem odgłos przypominający głębokie, chrapliwe westchnienie. Następny — jakby coś miękko, bezwładnie upadło. W domu zadudniły szybkie, oddalające się z każdą chwilą kroki.

Tylne drzwi wychodziły na wąską jak kładka nad potokiem ścieżkę, ciągnącą się w szczelinie między ścianą żywopłotu a domem. Nie było żadnej werandy, żadnej drogi, którą można by było dotrzeć na tył domu. Z tylnego wejścia prowadziły w dół ulicy drewniane schody, które teraz zadudniły pod czujnymi stopami. Zaryczał gwałtownie zapuszczony silnik samochodu, ale i ten odgłos szybko zamilkł w oddali. Wydawało mi się, że słyszę jeszcze jeden samochód, ale nie byłem tego pewien. Dom stał przede mną cichy jak cmentarna krypta. Teraz nie musiałem się już spieszyć. To, co miałem zastać wewnątrz, znajdowało się tam na pewno.

Usiadłem okrakiem na parkanie, nachyliłem się ku oknu i spróbowałem zajrzeć do środka przez szczelinę utworzoną w miejscu, gdzie schodziły się zasłony. Zobaczyłem światło lampy padające na jedną ze ścian i kawałek biblioteki. Wycofałem się, wróciłem do drzwi frontowych i spróbowałem wysadzić je ramieniem. Nie było to zbyt mądre posunięcie. W każdym kalifornijskim domu jest tylko jedna rzecz, której nie można wyłamać — frontowe drzwi. Jedynym efektem tej operacji był ból w ramieniu, który doprowadził mnie do wściekłości. Wspiąłem się ponownie do okna i wypchnąłem kawałek szyby, używając jako osłony ręki kapelusza. Teraz mogłem z łatwością uchwycić bolec, który unieruchamiał okno w ramie. Reszta była igraszką. Zamek ustąpił i okno puściło. Wskoczyłem do środka i rozgarnąłem story.

W pokoju znajdowało się dwoje ludzi. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na sposób, w jaki wszedłem. Jednak tylko jedno z nich było martwe.

## Rozdział VII

Był to wielki, przestronny pokój o szerokości równej szerokości całego domu. Sufit sporządzony był z belek, a brązowe ściany zawieszono gęsto chińskimi makatami, chińskimi i japońskimi sztychami w drewnianych, rzeźbionych ramach. Stało w nim kilka niskich regałów na książki, a na podłodze leżał gruby ciemnoróżowy chiński dywan, tak puszysty, że gdyby jakiś suseł chciał w nim zamieszkać, nie musiałby przez okrągły tydzień wytykać z niego nosa. Na dywanie leżały poduszki, przyobleczone w przypadkowo dobrane kawałki jedwabiu. Wyglądało to tak, jakby gospodarz tego domu musiał mieć pod ręką cokolwiek, czym mógłby w każdej chwili cisnąć. Stał tu też szeroki tapczan pokryty starą różową makatą. Leżała na nim sterta garderoby i kupka fioletowej bielizny z jedwabiu. Na wąskim postumencie stała wielka rzeźbiona lampa, a dwie inne miały szmaragdowozielone abażury z długimi frędzlami. Ciężkie czarne biurko spoczywało na dwóch potworach. Za biurkiem stał czarny fotel z rzeźbionymi poręczami i oparciem, a na nim była położona żółtej jedwabna poduszka. W powietrzu unosił się odurzający koktajl zapachów, ponad wszystko przebijał się smród spalonego prochu oraz szpitalny aromat eteru.

W drugim końcu pokoju, na czymś w rodzaju małego podium, stał fotel z drewna tekowego, a na nim, na ozdobionym frędzlami pomarańczowym szalu spoczywała Carmen Sternwood. Siedziała sztywno wyprostowana, z rękami złożonymi na oparciach fotela, z zaciśniętymi kolanami, upozowana na posąg egipskiej bogini. Podbródek wysunęła do przodu, małe, białe zęby błyszczały w uchylonych ustach. Szeroko rozwarte oczy miały źrenice rozszerzone szaleństwem. Wyglądała na nieprzytomną, mimo że siedziała jak człowiek zdający sobie sprawę ze swoich czynów. Sprawiała wrażenie kogoś, w czyim umyśle zachodzi ważny proces myślowy. Z jej ust wydobywał się piskliwy, zduszony dźwięk, nie zmieniało to jednak wyrazu jej twarzy ani nie zmuszało warg do poruszania się.

Nosiła długie nauszники z jaspisu. Wyjątkowo ładne kolczyki, które musiały kosztować wiele setek dolarów. Poza tym nie miała na sobie niczego więcej.

Miała piękne ciało, drobne, gibkie, zwarte i jędrne jakby wyrzeźbione. Jej skóra jaśniała w świetle lamp jak matowa perła. Nogi nie miały co prawda tej wyrafinowanej gracji, co nogi pani Regan, ale i tak były piękne. Przyglądałem się jej wprawdzie bez zażenowania, ale i nie bezczelnie. Nie była dla mnie nagą dziewczyną. Była po prostu narkomanką. Miała dla mnie zawsze pozostać tylko narkomanką.

Odwróciłem od niej wzrok i spojrzałem na Geigera.

Leżał na plecach na skraju chińskiego dywanu, obok czegoś, co sprawiało wrażenie ofiarnego pala. To coś miało orli profil, a jego wielkie okrągłe oko wyglądało jak soczewka aparatu fotograficznego, skierowanego na siedzącą w fotelu nagą dziewczynę. Do ofiarnego pala przymocowana była lampa błyskowa. Geiger nosił chińskie pantofle z grubymi, filcowymi podeszwami, czarne jedwabne spodnie od pidżamy i chiński kaftan, którego przód przesiąknięty był krwią. Jego szklane oko błyskało w moim kierunku — zdawało się być jedynym żywym elementem w całej postaci. Na pierwszy rzut oka widać było, że wszystkie trzy strzały trafiły w cel. Był martwy.

Wybuch lampy błyskowej był tym, co przywiodło mi na myśl letnią błyskawicę. Szaleńczy krzyk wyzwoliła reakcja znarkotyzowanej dziewczyny. Trzy strzały były natomiast dziełem kogoś trzeciego, kto prawdopodobnie chciał odwrócić bieg wydarzeń. Kogoś, kto zbiegł po

tylnych schodach, wskoczył do samochodu i pędem odjechał. W gruncie rzeczy akceptowałem jego sposób działania.

Na czerwonej tacy z laki, postawionej na brzegu czarnego biurka, stały wciąż jeszcze dwa delikatnie toczony kieliszki, a obok nich brzuchaty dzbanek pełen ciemnego płynu. Zdjąłem korek i powąchałem zawartość. Pachniał eterem i czymś jeszcze, być może laudanum. Nigdy nie kosztowałem takiej mieszaniny, ale musiałem przyznać, że nadzwyczajnie pasowała do atmosfery mieszkania Geigera.

Wsluchiwałem się w krople deszczu uderzające w dach i północne okno. Były to jedyne dające się słyszeć odgłosy — ani nadjeżdżającego samochodu, ani też policyjnej syreny, tylko kanonada kropli deszczu. Zdjąłem z siebie płaszcz i poszperałem w rzeczach dziewczyny. Znalazłem zieloną wełnianą sukienkę w typie koszulki, z krótkimi rękawami. Wydawało mi się, że najłatwiej będzie to na nią założyć. Postanowiłem nie zajmować się bielizną, nie z powodu wrodzonej delikatności, ale po prostu dlatego, że nie miałem zamiaru bawić się w zakładanie jej slipów i zapinanie biustonosza. Zaniósłem suknię do tekowego fotela. Panna Sternwood także cuchnęła eterem. Czuć go było na kilometr. Z jej ust wciąż wydobywał się zduszony piskliwy dźwięk, a w kącikach warg gromadziła się piana. Uderzyłem ją. Zamrugła oczami i zamilkła. Uderzyłem ją jeszcze raz.

— Nuże — powiedziałem pogodnie. — Ubieramy się.

Spojrzała na mnie, a jej ciemnoszare oczy były puste jak dziury wycięte w masce. Wydała nieartykułowany dźwięk.

Uderzyłem ją jeszcze kilka razy, ale to nie zrobiło na niej żadnego wrażenia ani nie zbudziło jej z narkotycznego odrętwienia. Zająłem się suknią. Na to również nie zwróciła najmniejszej uwagi. Gdy podniosłem jej ręce rozczapierzyła palce tak szeroko, jakby chciała przybrać szczególnie wyrafinowaną pozę. Przepchnąłem rozczapierzone ręce przez rękawy, wciągnąłem suknię na ciało i postawiłem dziewczynę na równe nogi. Chichocząc osunęła mi się w ramiona. Posadziłem ją znów na fotelu i włożyłem jej na nogi pantofle i pończochy.

— Chodźmy, przespacerujemy się trochę — powiedziałem. — Zrobimy miły, mały spacerek.

Poszliśmy na ten spacerek. Polegał na tym, że albo oboje wykonywaliśmy coś w rodzaju zgrabnego szpagatu, niczym para zgranych tancerzy, albo jej nauszniaki uderzały o moją pierś. Wędrowaliśmy tak w tę i z powrotem — do trupa Geigera i zwrot w tył. Zmusiłem ją, żeby na niego spojrzała. Bardzo jej się podobał. Westchnęła i próbowała mi o tym powiedzieć, ale udało jej się tylko wydzielić z siebie pęcherzyki powietrza. Poszedłem z nią do dywanu i położyłem ją na nim. Czknęła dwa razy, pochichotała trochę i usnęła. Naładowałem kieszenie resztą garderoby i poszedłem obejrzeć pal ofiarny. Wmontowany w niego aparat fotograficzny nie był zniszczony, ale, niestety, kasetę wyjęto. Pomyślałem, że może Geiger wyjął ją, zanim go zastrzelono. Obejrzałem podłogę. Bez skutku. Schwyciłem sztywniejącą dłoń i przesunęłam nieco ciało. Kasety nie było. Nie zachwylił mnie taki obrót sprawy.

Przeszukałem cały dom. Po prawej znalazłem łazienkę i zamknięte drzwi, w głębi kuchni. Okno w kuchni zostało wyłamane, żaluzja zerwana, haczyk wyrwany. Tylne drzwi stały otworem. Pozostawiłem je otwarte i wszedłem do sypialni położonej po lewej stronie hallu. Była schludna, urządzona w wyszukany sposób, bardzo kobieca. Na łóżku leżała przybrana falbaną narzuta. Na toalecie z trzema lustrami stały buteleczki perfum, a obok nich leżała chusteczka do nosa, trochę drobnych pieniędzy, kilka męskich szczotek do włosów, etui na klucze. W szafie ściennej wisiały męskie ubrania, a spod kapy łóżka wyglądały męskie pantofle. Pokój pana domu. Wziąłem klucze z toaletki, wróciłem do salonu i przeszukałem biurko. W głębokiej

szufladzie znalazłem zamkniętą stalową kasetkę. Wypróbowałem jeden z kluczyków. W kasetce leżał niebieski, oprawiony w skórę notatnik zapisany przy użyciu kodu tymi samymi drukowanymi literami, jakie już widziałem w liście do generała Sternwooda. Włożyłem notatnik do kieszeni, dokładnie wytarłem kasetkę w miejscu, gdzie jej dotknąłem, zamknąłem biurko, schowałem klucze, odciąłem dopływ gazu do kominka, włożyłem płaszcz i spróbowałem obudzić Carmen Sternwood. Było to jednak ponad moje siły. Wtłoczyłem jej na głowę wielki filcowy kapelusz, zakutałem w płaszcz i zaniósłem do jej własnego samochodu. Następnie wróciłem, zgasilem wszystkie światła, zamknąłem drzwi wejściowe, wyciągnąłem kluczyki z jej torby i uruchomiłem packarda.

Pojechaliśmy w dół wzgórza nie zapalając świateł. Odległość do domu Sternwoodów pokonałem w nie więcej niż dziesięć minut. Carmen spała, ziejąc mi eterem prosto w twarz. Nie mogłem usunąć jej głowy z mojego ramienia. Jedyne, co mogłem zrobić, to powstrzymać ją od trzymania głowy na moim łonie.

## Rozdział VIII

Przez małe szybki bocznych drzwi rezydencji Sternwoodów błyszczało przyćmione światło. Zatrzymałem packarda przed bramą wjazdową i opróżniłem kieszenie z rzeczy Carmen. Dziewczyna chrapała w kącie. Kapelusz przekrzywił się jej zawadiacko, przykrywając nos, ręce tkwiły bezwładnie w fałdach płaszcza. Wysiadłem i zadzwoniłem. Kroki zbliżały się powoli, jakby ktoś szedł z ogromnej odległości. Drzwi otworzyły się i spojrzał na mnie wyprostowany jak świeca, siwowłosy lokaj. Światła hallu odbijały się od jego włosów, otaczając głowę starego sługi niby aureolą.

— Dobry wieczór panu — powiedział grzecznie i skierował wzrok na packarda. Odwrócił oczy i jego spojrzenie spotkało się z moim.

— Czy pani Regan jest w domu?

— Nie, proszę pana.

— Generał prawdopodobnie już śpi?

— Tak. Wieczorami sypia zazwyczaj najlepiej.

— A co się dzieje z pokojówką pani Regan?

— Matyldą? Jest tutaj, proszę pana.

— Byłoby lepiej, gdyby ją pan sprowadził na dół. Powinna się tym zająć kobieta. Niech pan rzuci okiem do wnętrza samochodu, a zrozumie pan dlaczego.

Rzucił okiem. Kiedy wrócił, powiedział:

— Rozumiem. Pójdę po Matyldę.

— Matylda będzie umiała sobie z tym poradzić? — spytałem.

— Wszyscy umiemy sobie z tym poradzić, proszę pana — odpowiedział.

— Domyślam się. Musieliście nabrać dużej wprawy.

Udał, że nie słyszy mojej uwagi.

— A zatem dobranoc — powiedziałem. Pozostawiam panu resztę.

— Bardzo panu dziękuję. Czy mam wezwać taksówkę?

— W żadnym wypadku — zaprotestowałem. — Nawiasem mówiąc, mnie tu w ogóle nie było. Widzi pan ducha.

Skłonił głowę z uśmiechem, a ja odwróciłem się i odszedłem podjazdem ku bramie.

Musiałem tak przejść dziesięć przecznic wijącymi się w dół, ociekającymi od deszczu ulicami, pod ściekającymi bezustannie z drzew kroplami, mijając zwieńczone niewyraźnymi okapami rozjarzone okna wielkich domów otoczonych upiornie wielkimi ogrodami — światła domów położonych gdzieś wysoko na wzgórzach, równie odległych i niedostępnych jak chaty czarownic w głębokim lesie. Doszedłem do zarzającej się beużytecznie światłami stacji benzynowej, w której siedział na stołku znudzony sprzedawca w białej czapce i ciemnoniebieskim płaszczu przeciwdeszczowym; czytając gazetę. Zerknąłem do środka i pomaszerowałem dalej. Nie mogłem już bardziej zmoknąć. Podczas takiej nocy jak ta prędzej kaktus wyrósłby człowiekowi na dłoni, niż doczekałby się na taksówkę. I na zmiłowanie taksówkarzy.

Straciłem ponad pół godziny, mimo że szedłem bardzo szybko, zanim wyładowałem obok domu Geigera. Ulica była pusta — ani ludzi, ani samochodów, oprócz mojego, zaparkowanego przy sąsiednim domu, sprawiającego wrażenie porzuconego, nieszczęśliwego psa. Wyciągnąłem butelkę whisky i wlałem sobie połowę tego, co jeszcze pozostało, do gardła, wsiadłem do samochodu i zapaliłem wreszcie papierosa. Wypaliłem go do połowy, wysiadłem i ruszyłem w kierunku domu Geigera. Otworzyłem drzwi i znalazłem się w cichej, ciepłej ciemności. Stałem, ociekając wodą na podłogę, nasłuchując poprzez szum deszczu. Namacałem wyłącznik i nacisnąłem go.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, było to, że kilka pasków jedwabnej chińskiej makaty, wiszącej na ścianie, zostało zerwanych. Nie liczyłem ich przedtem, ale nagie miejsca na drewnianej boazerii wprost rzucały się w oczy. Ruszyłem dalej i zapaliłem kolejną lampę. Spojrzałem na pal ofiarny. U jego stóp, tuż przy krawędzi chińskiego dywanu, został rozpostarty nowy dywan. Przedtem go tu nie było. Przedtem leżały tu zwłoki Geigera. Teraz ktoś je usunął.

Zrobiło mi się zimno. Zacisnąłem wargi i spojrzałem podejrzliwie na szklane oko ofiarnego pala. Jeszcze raz przeszukałem cały dom. Wszystko było w takim samym stanie jak przedtem. Ciała Geigera nie znalazłem ani na ozdobionym falbankami łóżku, ani pod nim, nie było go również w szafie ściennej, ani w kuchni, ani w łazience. Pozostały mi tylko zamknięte na klucz drzwi po prawej stronie hallu. Jeden z kluczy Geigera pasował do zamka. Wnętrze wyglądało bardzo ciekawie, ale ciała i tam nie znalazłem. Był to surowo urządzone męski pokój sypialny, z drewnianą, wyczyszczoną do połysku podłogą, na której leżało kilka indiańskich mat, stały dwa proste krzesła, komoda z ciemnego drzewa, z leżącymi na niej męskimi przyborami toaletowymi oraz dwie czarne świece w wysokich na trzydzieści centymetrów mosiężnych lichtarzach. Wąskie, przykryte brązową kapą łóżko robiło wrażenie dość twardego. Pokój wyglądał zimno, surowo. Zamknąłem drzwi, wytarłem kłamkę chusteczką i wróciłem do pala ofiarnego. Ukląknąłem i przyjrzałem się włosowi dywanu. Zauważyłem dwa równoległe wyżłobienia biegnące przez dywan na ukos, aż do frontowych drzwi. Wyglądało to na ślady po czyichś piętach. Ktokolwiek to zrobił, odwalił kawał ciężkiej roboty. Trupy bywają zazwyczaj ciężkie.

Policja nie mogła tego zrobić. Policjanci byliby tu wciąż jeszcze i dopiero zabieraliby się na dobre do roboty, z tymi ich rysunkami kredą, aparatami fotograficznymi, proszkiem do wykrywania odcisków palców i tandetnymi cygarami. Nie był to również morderca. Musiał zbyt szybko uciekać. Widział dziewczynę i nie mógł być pewien, czy była zbyt nieprzytomna, by go widzieć. Z pewnością znajdował się w tej chwili w drodze do jakiegoś odległego miejsca, w którym mógłby się ukryć. Nie umiałem znaleźć odpowiedzi na te wszystkie wątpliwości, było mi jednak na rękę, że komuś zależało na tym, by uznano Geigera za zaginionego. Dawało mi to

szansę na wyjaśnienie zagadki, gdybym opowiedział komu trzeba, naturalnie przemilczając udział Carmen Sternwood, całą historię.

Wyszedłem z domu, zamknąłem drzwi, uruchomiłem samochód i pojechałem do swego mieszkania, do ciepłej kąpieli, suchej odzieży i mocno spóźnionej kolacji. Potem zasiadłem w wygodnym fotelu i wypilem zbyt wiele gorącego grogu próbując rozwikłać klucz do zaszyfrowanych notatek w niebieskim notesie Geigera. Jednego mogłem być pewien — była to lista nazwisk i adresów, prawdopodobnie jego klientów. Znalazłem ich ponad czterysta. Nic dziwnego, że jego interes kwitnął. Tym bardziej, że miał możliwość stosowania szantażu. I wobec wielu z nich pewnie z niej korzystał. Każde nazwisko na tej liście mogło być nazwiskiem mordercy. Nie zazdrościłbym policjantom ich pracy, gdyby mieli ten notes w rękach...

Napompowany whisky i wątpliwościami wlażłem do łóżka. Całą noc śniłem o człowieku w zakrwawionym chińskim kaftanie, goniącym nagą dziewczynę z długimi jaspisowymi kolczykami w uszach, i o sobie samym, biegnącym za nimi i próbującym zrobić zdjęcie aparatem, w którym nie było kliszy.

## Rozdział IX

Ranek wstał jasny, czysty, słoneczny. Obudziłem się z ohydnyim niesmakiem w ustach. Wypiłem dwie filiżanki kawy i przestudiowałem poranne gazety. W żadnej nie znalazłem najmniejszej nawet wzmianki o Arthurze Gwynn Geigerze. Zabrałem się do wygładzania załamań na moim przemoczonej płaszczu, gdy zadzwonił telefon. Był to Bernie Ohls, inspektor policji kryminalnej, ten sam, który polecił mnie generałowi Sternwoodowi.

— No, jak leci — zaczął tonem człowieka, który dobrze sypia i nie ma zbyt wielu długów.

— Mam potwornego kaca — odpowiedziałem.

— Ja—jaj — roześmiał się jakby nieobecny śmiechem, a jego głos zabrzmiał o ton bardziej zdawkowo, obiektywnym, bezosobowym tonem głosu policjanta. — Czy widział się pan już z generałem Sternwoodem?

— Uhm.

— Załatwił pan coś?

— Mocno padało — odpowiedziałem, jakby to wszystko wyjaśniało.

— Wygląda na to, że są rodziną, której przytrafiają się ciekawe rzeczy. Wielki buick, należący do jednego z członków rodziny, tapla się właśnie wśród fal obok przystani rybackiej na Lido.

Ścisnąłem słuchawkę z taką siłą, że o mało jej nie roztrzaskałem. Wstrzymałem też oddech.

— Tak, tak — kontynuował Ohls z ożywieniem — Prześliczny buick, nowiutka limuzyna, zupełnie zniszczona przez piasek i wodę morską... Aha, byłbym zapomniał. W środku jest jakiś facet.

Wypuściłem powietrze. Odetchnąłem tak wolno, że oddech niemal zamarł mi na wargach.

— Regan? — spytałem.

— Co takiego? Kto? Aha, myślisz o tym byłym przemytniku, którego poderwała ta starsza dziewczyna i za którego wyszła za mąż? Nigdy go nie widziałem. A cóż on mógłby robić, tam, pod wodą?

— Niech pan nie zawraca głowy. A cóż mógłby ktokolwiek inny robić tam, pod wodą?

— Nie wiem, stary. Zamierzam tam wpaść, żeby sobie to obejrzeć. Chce pan ze mną pojechać?

— Tak.

— No to niech się pan nie ociaga — powiedział. — Czekam w swoim zaciszu.

Ogoliłem się, ubrałem, zjadłem lekkie śniadanie i po godzinie znalazłem się w hallu gmachu sądu. Pojechałem windą na siódme piętro i poszedłem korytarzem, mijając po drodze niewielkie biura zajmowane przez wywiadowców. Pokój Ohlsa był również mały, ale urzędował w nim sam. Na pustym biurku spoczywała suszka, komplet tanich przyborów do pisania, kapelusz i noga Ohlsa. Był blondynem średniego wzrostu, miał nastroszone białe brwi, spokojne oczy i doskonale utrzymane zęby. Wyglądał jak przeciętny — nie zwracający na siebie uwagi człowiek. Tak się złożyło, że wiedziałem, iż zastrzelił dziewięciu ludzi. Trzech z nich próbowało go zabić.

Kiedy wszedłem, wstał, wyciągnął z płaskiego pudełka tanie cygaro marki Entractes, pomajtał nim między wargami i odrzuciwszy głowę do tyłu posłał mi uważne spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

— To nie jest Regan — powiedział. — Sprawdziłem. Regan jest słusznego wzrostu, tak jak pan, dobrze zbudowany, silny. To jakiś młody dzieciak.

Milczałem.

— Z jakiego powodu zwiał? — spytał Ohls. — Zastanawiał się pan nad tym?

— Raczej nie — powiedziałem.

— Kiedy człowiek z branży przemytniczej żeni się z bogatą dziewczyną, a później mówi „do widzenia” pięknej damie i milionom ślubnych paczek, to nawet taki ktoś jak ja zaczyna się zastanawiać. Jestem przekonany, że i pan w tym wietrzy jakąś tajemnicę.

— Uhm... — stwierdziłem lakonicznie.

— Okay, może sobie pan nawet zasznurować usta. Bez urazy, kochany. — Wyszedł zza biurka, macając się po kieszeniach i sięgnął po kapelusz.

— Nie szukam Regana — powiedziałem z naciskiem.

Wetknął klucz w drzwi i zjechaliśmy na dół, na parking przeznaczony dla funkcjonariuszy policji. Wsiadliśmy do małego niebieskiego samochodu. Wyjechaliśmy z miasta, używając od czasu do czasu sygnału. Poranek był rześki, powietrze pełne aromatu, jednym słowem chciało się żyć — chyba, że ktoś miał zbyt wiele trosk na głowie. Ja miałem.

Droga do Lido biegła wzdłuż wybrzeża morskiego. Mielliśmy trzydzieści mil do przebycia, z czego dziesięć w ruchu miejskim. Ohls pokonał je w trzy kwadransy. Po upływie tego czasu zahamował jak szalony przed stiukowym wyblakłym łukiem. Wsiadliśmy. Przed nami rozciągało się długie molo ogrodzone balustradą z grubych, białych desek. W końcu mola stała grupka wychylonych za balustradę ludzi.

Umundurowany policjant stał pod pomostem, próbując powstrzymać napór gapiów. Setki samochodów z żądnymi krwi wampirami należącymi do obu płci parkowały po obu stronach szosy. Ohls pokazał swój znaczek i weszliśmy na molo w przejmujący zapach ryb, którego nie stłumił nawet całonocny ulewny deszcz.

— Tam naprzeciwko, na barce motorowej — powiedział Ohls, wskazując kierunek cygarem.

Wielka czarna barka z mostkiem kapitańskim niczym holownik przycupnęła wśród pali na końcu mola. Na jej pokładzie połyskiwało coś w porannym słońcu. To coś okręcone jeszcze łańcuchami, było wielkim, czarnym ozdobionym chromem samochodem. Ramiona drzwi zostały już opuszczone na właściwe im na pokładzie miejsce. Wokół samochodu uwijali się ludzie. Niepewnymi krokami zeszliśmy na pokład,

Ohls przywitał się z policjantem w zielonym mundurze polowym i z mężczyzną w cywilu. Trzyosobowa załoga barki wycofała się spokojnie pod mostek kapitański i oddała zuciu tytoniu. Jeden z nich wycierał mokre włosy brudnym ręcznikiem kąpielowym. Był to prawdopodobnie ten, który zanurkował pod wodę, by przymocować łańcuchy do samochodu.

Obejrzelśmy samochód. Przedni zderzak był zgnieciony, reflektor rozbity, drugi wyszarpany, ale z nie potłuczonym szkłem. Chłodnica była mocno wgnieciona, a lakier i chromy na całej karoserii bardzo podrapane. Siedzenia były mokre i czarne. Opony pozostały nienaruszone.

Kierowca siedział wciąż jeszcze za kierownicą. Głowę miał pochyloną pod nienaturalnym kątem w stosunku do ciała. Był to ten sam elegancki młody brunet, który jeszcze niedawno temu tak doskonale się prezentował. Teraz miał białoniebieską twarz, zmatowiałe pod wpół przymkniętymi powiekami oczy i piasek w otwartych ustach. Na jego lewej skroni widniał ciemny siniak, ostro kontrastujący z bladą skórą.

Ohls cofnął się, odchrząknął jakoś dziwnie i przytknął zapalną do cygara.

— Jak to się stało?

Policjant w zielonym mundurze wskazał na ciekawskich, stojących na końcu mola. Jeden z nich pokazywał palcem miejsce, w którym została przerwana balustrada. Rozłupane drewno było żółtawe i czyste, niczym u świeżo ściętej sosny.

— Tamtędy wypadł. Musiał bardzo mocno uderzyć. Deszcz przestał tu padać dużo wcześniej niż w mieście, mniej więcej około godziny dziewiątej wieczorem. Drewno jest suche wewnątrz, a więc wypadek musiał się wydarzyć, kiedy deszcz już nie padał. Woda jest tutaj bardzo głęboka, dlatego samochód nie roztrzaskał się. Prawdopodobnie w chwili wypadku nie zaczął się jeszcze przyływ, gdyż w przeciwnym razie przycisnęłoby samochód do pali. To pozwala przypuszczać, że wszystko zdarzyło się około godziny dziesiątej wieczorem. Może o wpół do dziesiątej, w każdym razie nie wcześniej.

Samochód zauważyli chłopcy, którzy dziś rano przyszli łowić ryby. Wezwaliśmy pływający dźwig, żeby go wyciągnąć i wtedy zobaczyliśmy tego zabitego faceta.

Mężczyzna w cywilu kopał szpicem buta deski pokładu. Ohls, omijając go wzrokiem, spojrzał na mnie z ukosa i zaciągnął się cygarem, jakby to był papieros.

— Pijany? — rzucił w przestrzeń nie skierowane specjalnie do nikogo pytanie.

Członek załogi, który suszył ręcznikiem włosy, podszedł do burty i odchrząknął tak głośno, że wszyscy zwrócili na niego uwagę.

— Połknąłem ładną porcję piasku — powiedział spluwając. — Nie tak dużą jak nasz przyjaciel zza kierownicy, ale jak dla mnie wystarczy.

— Pijany? — powtórzył policjant w mundurze. — Być może. Pędzić tak samemu w czasie deszczu... Pijani w ogóle wyczyniają różne dziwne rzeczy.

— Pijany! Do diabła z tym! — zauważył mężczyzna w cywilu. — Hamulec ręczny jest wyciągnięty do połowy, a chłopak dostał w głowę z boku. Dla mnie to zwykłe morderstwo i tak bym to nazwał, gdyby ktokolwiek mnie o to zapytał. Ohls spojrzał na marynarza trzymającego ręcznik,

— No a co pan o tym sądzi?

Mężczyzna uśmiechnął się pochlebiony.

— Uważam, że to samobójstwo. To nie mój interes, a jeśli już pan mnie spytał, to twierdę, że samobójstwo. Na pierwszy rzut oka widać, że facet pruł idealnie równo wzdłuż mola. Widać jeszcze ślady po tej jeździe. Dlatego to musiało się zdarzyć już po deszczu, tak jak powiedział szeryf. Zanim uderzył, musiał dodać gazu, inaczej nie przełamałby ogrodzenia w środku i



wylądowałyby w morzu na dachu... Po prostu musiałyby kilka razy przekoziółkować. Z tego wniossek, że jechał bardzo szybko. Z na wpół wyciągniętym ręcznym gazem nie mógłby tego zrobić. Mógł wyciągnąć ten gaz, kiedy samochód już wlatywał w morze i możliwe że również podczas upadku ranił się w głowę.

— Masz oczy nie od parady, stary — powiedział Ohls. — Zrewidowaliście go? — zwrócił się do szeryfa.

Szeryf spojrział wymownie na mnie, potem na ludzi z załogi barki. — Dobra, zatrzymaj to dla siebie — stwierdził Ohls.

Od strony przystani nadszedł niski mężczyzna w okularach na zmęczonej twarzy i z czarną teczką w ręce. Wyszukał czyste miejsce na pokładzie i postawił na nim teczkę. Następnie zdjął kapelusz, wytarł kark i zapatrzył się na morze, jakby nie wiedział, gdzie jest i po co go tu wezwano.

— Oto pański pacjent, doktorze — powiedział Ohls. □ Spadł z mola tej nocy. Między godziną dziewiątą a dziesiątą. To wszystko, co wiemy.

Niski mężczyzna obrzucił nieboszczyka beznamiętnym spojrzeniem. Obmacał mu głowę, obejrzał siniak na skroni, poruszył głową w obie strony i dotknął żeber ofiary. Podniósł nieruchomą, martwą rękę i rzucił okiem na paznokcie. Puścił rękę i przyglądał się, jak opada. Cofnął się, otworzył swoją teczkę, wyciągnął zadrukowany formularz i zaczął pisać przez kalkę, mówiąc na głos:

— Oficjalna przyczyna śmierci: złamanie kręgow szyjnych. To znaczy, że nie powinien połknąć zbyt wiele wody. Tłumaczy to również, dlaczego zesztynienie pośmiertne postąpiło tak szybko z chwilą wyciągnięcia go na powietrze. Radzę wam, żebyście usunęli go z samochodu, dopóki nie jest zupełnie sztywny. Potem nie będzie to należało do przyjemności.

Ohls pokiwał głową.

— Kiedy nastąpiła śmierć, doktorze?

— Tego nie mogę stwierdzić.

Ohls spojrział na niego przenikliwie, wyjął cygaro z ust i rzucił na nie równie przenikliwe spojrzenie.

— Bardzo się cieszę, że pana poznałem, doktorze. Lekarz sądowy, który nie określa czasu śmierci w ciągu pięciu minut jest dla mnie czymś zupełnie nowym.

Niski człowieczek zamruczał coś bez humoru, schował formularz do teczki i przytwierdził długopis do kieszonki kamizelki.

— Będę mógł to panu powiedzieć, jeśli wczoraj wieczorem jadł kolację. I to też tylko wtedy, gdy będę wiedział, o której godzinie ją jadł. I nie stwierdzę tego w ciągu pięciu minut.

— W jaki sposób zarobił tego siniaka? Przy upadku?

Niski człowieczek jeszcze raz obejrzał siniak.

— Myślę, że nie. Uderzenie pochodzi od tępego narzędzia. Wylew pod skórą nastąpił, kiedy ofiara jeszcze żyła.

— Jakaś maczuga, co?

— Bardzo możliwe. — Lekarz kiwnął głową, podniósł teczkę i zszedł z pokładu. Na molo, pod stiukowym łukiem, czekał na niego ambulans.

Ohls spojrział na mnie.

— Chodźmy. Nie warto było przyjeżdżać, prawda?

Szliśmy znów razem przez molo, by zająć miejsce w samochodzie Ohlsa. Wykręcił gwałtownie na szosie i ruszył po trzypasmowej, wymytej przez deszcz autostradzie w kierunku

miasta, mijając po drodze wzgórza tarasowate wznoszącymi się, rozgraniczonymi mchem różowymi polami piasku. Mewy fruwały, kołując nad morzem, rzucały się nagle na coś, co dojrzały w załamaniu fal, gdzieś daleko widać było biały jacht, jakby zawieszony w powietrzu.

Ohls wskazał na mnie i spytał:

— Znał go pan?

— Oczywiście. To kierowca Sternwoodów. Widziałem go wczoraj, jak czyścił przed garażem właśnie ten samochód.

— Nie chcę na pana wywierać nacisku, Marlowe, niech mi pan tylko powie, czy ten szofer ma jakiś związek z tym, co panu zlecono.

— Nie. Nie znam nawet jego nazwiska.

— Nazywa się Owen Taylor... Skąd ja o tym wiem? Śmieszna historia. Rok temu ścigaliśmy go za porwanie. Chciał wywieźć tę szaloną córkę Sternwooda, tę młodszą, do Yumy. Siostra pojechała za nimi, sprowadziła dziewczynę z powrotem, a Owena kazała wsadzić do pudła. Następnego dnia zwróciła się do prokuratora rejonu i doprowadziła do tego, że faceta zwolniono. Powiedziała, że zamierzał ożenić się z jej siostrą i że zrobiłby to, tyle że siostra źle go zrozumiała... Siostrzyczka uznała to wszystko po prostu za fajną przygodę, za kilka mile spędzonych godzin. Zwolniliśmy chłopczyka i niech mnie diabli wezmą, Sternwoodowie znów go zatrudnili. Troszkę później otrzymaliśmy raport z Waszyngtonu, dokąd posłaliśmy jego odciski palców. Jak się okazało, był sześć lat temu karany w stanie Indiana za próbę napadu. Wyłągał się wtedy sześcioma miesiącami więzienia, które spędził w stanowym więzieniu, tym samym, z którego zwiął Dillinger. Oczywiście zawiadomiliśmy o tym Sternwoodów, ci jednakże zatrzymali go mimo wszystko. No i co pan o tym sądzi?

— Wyglądają na dość dziwną rodzinę — powiedziałem. — Czy wiedzą już, co się stało ostatniej nocy?

— Nie. Zamierzam teraz do nich pojechać.

— Niech pan pozostawi starego generała w spokoju.

— Dlaczego?

— Ma i tak dość kłopotów, a oprócz tego jest chory.

— Myśli pan o Reganie?

Posłałem mu ponure spojrzenie.

— Powiedziałem już panu, że nic nie wiem o Reganie. Nie szukam Regana. Regan w ogóle nie interesuje nikogo, kogo znam.

Ohls odpowiedział mi na to — och! — i zapatrzył się na morze z takim zamyśleniem, że samochód o mało nie zjechał z autostrady. Przez resztę powrotnej drogi prawie nie odzywaliśmy się do siebie. Wysadził mnie w Hollywood w pobliżu chińskiego teatru, a sam pojechał w kierunku domu Sternwoodów. Zjadłem obiad w barze i przejrzałem popołudniowe gazety. O Geigerze nie było ciągle ani słowa.

Po obiedzie poszedłem pospacerować po bulwarze. Chciałem jeszcze raz rzucić okiem na sklep Geigera.

## Rozdział X

Wzbudzący zaufanie elegancki czarnowłosy jubiler stał w drzwiach swego sklepu w tej samej co poprzedniego popołudnia pozie. Kiedy wchodziłem do sąsiedniego sklepu obrzucił mnie tym samym, co poprzednio, wszystkowiedzącym spojrzeniem. Ta sama, co wczoraj, lampa żarzyła się na małym biurku w kącie, i ta sama popielatowłosa blondynka w tej samej sukni o głębokiej czerni, wstała z miejsca i podeszła do mnie z takim samym wymuszonym uśmiechem na twarzy.

— Czym mogę... — zacięła się. Polakierowane na srebrno paznokcie zabłysły po bokach sukni. Uśmiech stał się trochę bardziej wymuszony. Nie był to już właściwie żaden uśmiech, raczej grymas. Wydawało jej się tylko, że to uśmiech.

— Przyszedłem znowu — zacząłem beztrasko, wyciągając papierosa. — Pan Geiger jest dzisiaj uchwytany?

— Bardzo... bardzo mi przykro, ale nie. Nie ma go. Sekundę... Pan sobie życzył...

Zdjąłem ciemne okulary i zacząłem postukiwać nimi delikatnie o przegub ręki. Robiłem, co mogłem, żeby przybrać mimo moich osiemdziesięciu pięciu kilogramów wagi niepozorną pozę.

— To był taki kamuflaż z tymi pierwszymi wydaniem — wyszeptałem. — Muszę być ostrożny... Mam, coś, na czym by panu Geigerowi zależało. Coś, czego bardzo długo poszukuje.

Srebrzyste paznokcie poprawiły jasne włosy nad małym uchem ozdobionym wielkimi klipsami.

— Ach, dostawca — powiedziała. — Może pan pofatyguje się jutro. Powinien już być tutaj.

— Niech pani porzuci te gierki — powiedziałem. — Jestem również z tej branży.

Oczy jej się zwięziły w zielonkawo połyskujące szparki, przypominające ocienione drzewami leśne jeziora. Palce wbiły się w dłonie. Przyglądała mi się ciężko oddychając.

— Czy jest chory? Mógłbym go odwiedzić w domu — odezwałem się niecierpliwie. — Nie mogę przecież wiecznie czekać.

— Jest pan... — głos uwiązł jej w gardle. Wydawało mi się, że upadnie. Całe ciało drżało, pociemniała twarz drgała. Powoli znów wzięła się w karby. Na twarz powrócił uśmiech, ale było w nim coś niedobrego, — Nie — powiedziała, oddychając głęboko. — To nie ma sensu. Nie ma go... w mieście. Czy mógłby pan przyjść jutro?

Otworzyłem już usta, chcąc coś powiedzieć, kiedy uchylły się drzwi w przepierzeniu. Wyjrzał przez nie wysoki, ciemnowłosy, przystojny chłopiec w skórzanej marynarce. Miał bladą twarz i mocno zaciśnięte wargi. Kiedy mnie zobaczył szybko zatrzaskał drzwi z powrotem, ale nie tak szybko, bym nie dojrzał mnóstwa drewnianych skrzyń stojących za nim na podłodze; wyłożonych papierem i ciasno wypełnionych książkami. Wojował z nimi mężczyzna odziany w nowiutkie ubranie robocze. A więc część inwentarza Geigera miała zostać przetransportowana... Kiedy drzwi zamknęły się, włożyłem na powrót ciemne okulary i złapałem za kapelusz.

— A więc dobrze, jutro. Chętnie zostawiłbym pani mój bilet wizytowy, ale wie pani, jak to jest

— Wiem jak to jest. — Drżała lekko, wciągając umalowanymi wargami ze świstem powietrze.

Wyszedłem ze sklepu i ruszyłem bulwarem na wschód, za rogiem skręciłem w kierunku północnym i poszedłem do alei biegnącej na tyłach sklepów. Przy tylnym wyjściu magazynu Geigera stała mała ciężarówka pokryta plandeką. Nie miała na sobie żadnego znaku firmowego. Mężczyzna w nowym ubraniu roboczym układał właśnie skrzynie na podłodze. Cofnąłem się do bulwaru i w najbliższej przecznicy znalazłem taksówkę, zaparkowaną obok hydrantu przeciwpożarowego. Za kierownicą siedział młody człowiek o czerstwej twarzy i czytał gazetę

wypełnioną krwawymi kryminalnymi opowieściami. Pokazałem mu zielony banknot dolarowy i spytałem:

— Pośledziłby pan kogoś?

Spojrzał na mnie badawczo.

— Policja?

— Prywatny detektyw.

Uśmiechnął się.

— Moja specjalność, chłopie. — Wsadził gazetę za futerko. Wsiadłem do taksówki. Okrążyliśmy przecznice i zatrzymaliśmy się naprzeciwko alei biegnącej na tyłach sklepu Geigera, tuż za następnym hydrantem.

Na ciężarówce znajdował się co najmniej tuzin skrzyń kiedy wreszcie człowiek w roboczym ubraniu podniósł klapę z tyłu samochodu, przymocował ją haczykiem i zasiadł za kierownicą.

— To ten — powiedziałem do swego kierowcy.

Kierowca ciężarówki zapuścił motor, obrzucił wzrokiem oba końce alei i szybko pojechał w kierunku poprzecznej ulicy. Skręcił w lewo. Zrobiliśmy to samo. Zauważyłem, że na ulicy Franklina lada moment zmienia się światła, więc poprosiłem kierowcę, żeby zbliżył się do ciężarówki. Niestety, nie mógł albo nie umiał tego zrobić. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy Franklina, ciężarówka wyprzedzała nas o dwie przecznice. Mieliśmy ją wprawdzie w zasięgu wzroku, ale na wschodniej, gdzie panuje duży ruch, oddaliliśmy się od niej znacznie. Zacząłem właśnie coś mówić swojemu kierowcy na ten temat, nie przebijając zbyt wiele słowami, kiedy dostrzegłem, że ciężarówka skręca na północ, w ulicę zwaną Brittany Place. Gdy do niej dotarliśmy, ciężarówka zniknęła.

Czerstwy kierowca posłał w moim kierunku uspokajający pomruk i pojechaliśmy w żółtym tempie między wzgórzami, wypatrując za każdym krzakiem naszej ciężarówki. W pewnej chwili zobaczyłem elegancki biały dom czynszowy, którego front wychodził na Kendall Place, a tył z podziemnym garażem na Brittany Place. Kiedy przejeżdżaliśmy obok i mój czerstwy kierowca pocieszał mnie właśnie, że ciężarówka powinna być już gdzieś tutaj, zobaczyłem ją we wjeździe do podziemnego garażu. Stała w półmroku, tylna klapa była znów opuszczona.

Okrążyliśmy budynek i wysiadłem przed frontowymi drzwiami. W hallu nie było nikogo, nie było również listy lokatorów. Przy ścianie stało drewniane biurko, tuż obok zawieszonych na specjalnej konstrukcji skrzynek na listy. Na szczęście widniały na nich nazwiska. Jegomość o nazwisku Joseph Brody zajmował apartament numer czterysta pięć. Jegomość o nazwisku Joe Brody otrzymał pięć tysięcy dolarów od generała Sternwooda tylko za to, żeby się odczepił od jego małej córeczki, Carmen, i znalazł sobie na jej miejsce inną małą dziewczynkę. Być może był to ten sam Joe Brody. Chyba bym się nawet o to założył.

Powędrowałem wzdłuż ściany hallu aż do wyłożonych płytkami schodów, przy których był szyb samoobsługowej windy. Górna część windy znajdowała się na wysokości podłogi hallu. Za windą dojrzałem drzwi z napisem „garaże”. Otworzyłem je i zszedłem po wąskich schodach do suterenu. Drzwi windy były otwarte i zablokowane. Mężczyzna w nowym ubraniu roboczym mrucał coś brzydkiego pod nosem wnosząc ciężkie skrzynie do wnętrza. Stałem obok niego i przyglądałem mu się paląc papierosa. Widziałem, że nie był z tego powodu zadowolony.

Po chwili odezwałem się:

— Proszę uważać na wagę, przyjacielu. Winda obliczona jest tylko na pół tony. Dokąd jadą te skrzynie?

— Do Brody'ego. Czterysta pięć — warknął. — Jest pan administratorem?

— Uhm. Wygląda to na niezły łup...

Spojrzał na mnie bladymi, podkrążonymi oczami.

— Książki — zawarczał. — Pięćdziesiąt kilo każda skrzynia, a moje plecy wytrzymują zaledwie czterdzieści

— No cóż, niech pan uważa na wagę — powiedziałem.

Wniósł sześć skrzyń do windy i zatrzasnął drzwi.

Wszedłem po schodach do hallu i wyszedłem na ulicę skąd taksówka zawiozła mnie do biura. Dałem mojemu czerstwemu szoferowi aż za dużo pieniędzy, toteż wręczył mi natychmiast swoją wizytówkę z zagiętym rogiem. O dziwo, nie wrzuciłem jej natychmiast do wypełniona piaskiem majolikowej wazy stojącej obok windy.

Zajmowałem półtora pokoju biurowego na szóstym piętrze. Pokój przedzieliłem na pół, by uzyskać gabinet i poczekalnię. Na drzwiach znajdowała się tabliczka z nazwiskiem. Drzwi poczekalni zostawiałem zawsze otwarte na wypadek, gdyby jakiś klient przyszedł i miał ochotę na mnie zaczekać. Tym razem miałem klienta.

## Rozdział XI

Była ubrana w brązowy kostium z tweedu w pepitkę, koszulową bluzkę z wąskim krawatem oraz zrobione na zamówienie sportowe pantofle, pończochy miała tak samo delikatne jak wczoraj, ale tym razem jej nogi nie były już tak dokładnie odsłonięte. Czarne, błyszczące włosy osłaniał kapelusz, który musiał kosztować co najmniej pięćdziesiąt dolarów i sprawiał wrażenie tak prostego, jakby go można było zrobić jedną ręką z arkusika bibuły.

— No, wstał pan wreszcie — odezwała się. Pokręciła nosem spoglądając krytycznie na wyblakłą czerwoną kanapę, dwa staromodne fotele, wymagające prania siatkowe firanki i małe biurko, na którym rozrzuciłem kilka nieaktualnych już miesięczników, po to aby przydać pomieszczeniu profesjonalnego wyglądu. — Już zaczęłam podejrzewać, że pracuje pan w łóżku, jak Marcel Proust.

— A kto to taki? — spytałem. Włożyłem papierosa do ust i przyjrzałem się jej uważnie. Była blada i zmęczona, ale sprawiała wrażenie dziewczyny dającej sobie radę nawet ze zmęczeniem.

— Francuski pisarz, znawca degeneratów. Niemożliwe, żeby pan go nie znał.

— Tju—tu—tu — odpowiedziałem. — Chodźmy do mojego buduaru. Wczoraj nie przypadliśmy sobie do gustu.

— Być może byłam nieuprzejma.

— Oboje byliśmy nieuprzejmi — zauważyłem.

Podszedłem do drzwi prowadzących do mojego prywatnego gabinetu i otworzyłem je przed nią. Weszliśmy do drugiej części biura urządzonej przy pomocy rdzawoczerwonego dywanu nie pierwszej młodości, pięciu stojących rzędem gablotek, z których trzy wypełnione były doskonałym kalifornijskim powietrzem, i reklamowego kalendarza, na którym kilka odzianych w różowe suknie wytwornych dziewcząt o jakby polakierowanych, brązowych włosach i przebiegłych, wielkich jak ogromne suszone śliwki czarnych oczach zażywało rozkoszy jazdą na wrotkach. Prócz tego wszystkiego w pokoju znajdowały się trzy krzesła z włoskiego orzecha, nieodzowną biurko, na którym widniała nieśmiertelna suszka, przybory do pisania, popielniczka i aparat telefoniczny. Za biurkiem stał równie nieodzowny, skrzypiący obrotowy fotel.

— Nie przeznaczają pan zbyt wiele na robienie sobie reklamy — stwierdziła, zajmując miejsce po stronie biurka przeznaczonej dla klientów.

Podszedłem do otworu skrzynki pocztowej i wyciągnąłem z niej sześć kopert— dwa listy i cztery teksty reklamowe. Położyłem kapelusz na telefonie i rozsiadłem się w fotelu.

— Pinkerton też jej sobie nie robił — powiedziałem. Poza tym w naszej branży nie można zrobić dużych pieniędzy, jeśli jest się uczciwym. Kiedy robi się sobie reklamę, robi się również i pieniądze — albo ma się taki zamiar.

— Och, pan jest uczciwy? — spytała ironicznie, otwierając torebkę. Wyciągnęła papierosa z emaliowanej papierošnicy, zapaliła go kieszonkową zapalniczką, następnie wrzuciła to wszystko z powrotem do torebki, pozostawiając ją otwartą.

— Aż do bólu — odpowiedziałem.

— W takim razie dlaczego zajął się pan tą śliską branżą?

— A pani? W jaki sposób wyszła za przemysłowca alkoholu?

— O mój Boże, tylko nie zaczynamy się kłócić od nowa! Przez cały rano próbowałam dodzwonić się do pana. Telefonowałam i tutaj, i do pańskiego mieszkania.

— Z powodu Owena?

Twarz jej spowaźniała nagle. Powiedziała łagodnym głosem:

— Biedny Owen. Więc pan już wie.

— Funkcjonariusz policji zabrał mnie ze sobą do Lido. Sądził, że wiem coś o całej sprawie. Ale okazało się, że wiedział więcej ode mnie. Wiedział, że Owen chciał się ożenić z pani siostrą... kiedyś.

Milczała, paląc papierosa i przyglądając mi się pełnymi spokoju czarnymi oczami.

— Nie byłoby to wcale takie głupie — powiedziała spokojnie. — Kochał ją. A to się rzadko zdarza w naszym środowisku.

— Był karany.

Wzruszyła ramionami.

— Popadł w złe towarzystwo — stwierdziła lekceważącym tonem. — Przecież tylko tyle oznacza w naszym zdemoralizowanym kraju pojęcie „karany”.

— Nie posuwałbym się tak daleko.

Zdjęła prawą rękawiczkę i przygryzła zębami wskazujący palec, przyglądając mi się opanowanymi oczami.

— Przyszłam tutaj nie po to, by rozmawiać na temat Owena. Czy dojrzał pan już do tego, żeby powiedzieć mi, czego właściwie chciał od pana mój ojciec?

— Nie mogą bez jego zezwolenia.

— Czy chodziło o Carmen?

— Nie mogę powiedzieć nawet tego. — Skończyłem nabijać fajkę i przytknąłem do niej zapalnik.

Przez chwilę przyglądała się, jak paliłem, wreszcie wyciągnęła z otwartej torby grubą, białą kopertę i rzuciła ją na biurko.

— Może na wszelki wypadek zapozna się pan z jej zawartością — powiedziała.

Uniosłem kopertę. Zaadresowana została na maszynie, na nazwisko pani Vivian Regan, 3765 Alta Brea Crescent West Hollywood. List wysłano pocztą pneumatyczną a nadano go, zgodnie z zamieszczoną na nim notatką o ósmej piętnaście rano. Otworzyłem kopertę i wyciągnąłem z niej błyszczące zdjęcie małego formatu. Była na nim Carmen, siedząca w stroju Ewy, z kolczykami w uszach, na tekowym fotelu z poręczami, ustawionym na podium w mieszkaniu Geigera. Jej

oczy sprawiały wrażenie jeszcze bardziej obłąkanych niż to zapamiętałem. Odwrotna strona zdjęcia była czysta. Włożyłem, z powrotem do koperty.

— Ile żądają? — spytałem.

— Pięć tysięcy. Za negatyw i pozostałe odbitki. Sprawa musi być załatwiona dziś wieczorem, w przeciwnym razie grożą, że przekażą zdjęcie gazecie wyspecjalizowanej w publikowaniu skandali.

— W jaki sposób pani to zakomunikowali?

— Jakaś kobieta zadzwoniła do mnie w pół godziny dostarczeniu przesyłki.

— W skandalach jest w tej chwili zastój. Wszelkie informacje tego rodzaju są jednak rozpatrywane. Co jeszcze się za tym kryje?

— A musi się coś za tym kryć? — spytała.

— Owszem — odpowiedziałem.

Spojrzała na mnie odrobinę zmieszana.

— Niestety tak jest — przyznała. — Ta kobieta dodała, że sprawa łączy się z obrzydliwą aferą kryminalną i lepiej będzie, jeśli zadziałam szybko, gdyż w przeciwnym razie będę mogła porozmawiać z moją małą siostrzyczką tylko przez żelazną kratę.

— Fajnie — stwierdziłem. — Co to za sprawa kryminalna?

— Nie wiem.

— Gdzie jest teraz Carmen?

— W domu. Zachorowała w nocy. Zdaje się, że wciąż leży w łóżku.

— Czy wychodziła w nocy?

— Nie. Mnie wprawdzie nie było, ale służba twierdzi, że Carmen spędziła noc w domu. Byłam w Las Olindas, grałam w ruletę u Eddiego Marsa, w Klubie pod Cyprysami. Zgrałam się do nitki.

— Aha. Czyli lubi pani ruletę. A w każdym razie tak to wygląda.

Założyła nogę na nogę i zapaliła nowego papierosa.

— Tak, lubię ruletę. Wszyscy Sternwoodowie kochają się w grach, przy których można przegrać, takich jak ruleta albo małżeństwa z mężczyznami, którzy uciekają, albo wyścigi konne z przeszkodami w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, kiedy to można zostać wysadzonym z siodła i pozostać kaleką do końca życia. Sternwoodowie mają pieniądze. Wszystko, co sobie za nie sprawiają, to morze nieszczęść.

— Co robił dzisiejszej nocy Owen w pani samochodzie?

— Tego nikt z nas nie wie. Wziął go bez pozwolenia. Zawsze pozwalaliśmy mu brać samochód, kiedy miał wolne, ale tej nocy nie miał wolnego. — Wykrzywiła wargi. — Czy myśli pan, że...

— Że wiedział coś o tym zdjęciu? A w jaki sposób miałbym się o tym dowiedzieć? W każdym razie nie można tego wykluczyć. Czy może pani uzyskać te pięć tysięcy w gotówce?

— Bez rozmowy z ojcem — wykluczone. Mogłabym je tylko pożyczyć. Eddie Mars prawdopodobnie by mi pożyczył. Ma wszelkie powody po temu, żeby być w stosunku do mnie hojnym.

— Niech więc pani spróbuje. Być może będzie pani musiała działać w pośpiechu.

Odchyliła się w krześle i przerzuciła ramię przez oparcie.

— A co pan myśli o zawiadomieniu policji?

— Całkiem dobry pomysł. Ale pani tego nie robi.

— Nie zrobię?

— Nie. Przede wszystkim musi pani oszczędzić ojca i siostrę. Nie wie pani, do czego może dokopać się policja. Być może ujawni ona coś, czego nie da się utrzymać w tajemnicy. Mimo że zwykle w przypadku szantażu policja stara się być dyskretna.

— Czy pan nie może nic zrobić?

— Myślę, że tak. Nie mogę jednak pani powiedzieć co ani w jaki sposób.

— Zaczynam pana lubić — powiedziała niespodziewanie. — Wierzy pan w cuda. Czy ma pan coś do picia w tym pańskim biurze?

Otwarłem szufladę biurka i wyciągnąłem „biurową” butelkę i dwie szklaneczki. Napełniłem je i wypiliśmy. Poderwała do góry torebkę, zamknęła ją i odsunęła krzesło.

— Wydostanę te pięć patyków — odezwała się. — Jestem dobrą klientką Eddiego Marsa. Poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego musi być dla mnie miły. Być może pan o nim nie wie.

Obdarzyła mnie uśmiechem, z rodzaju tych, w których biorą udział tylko wargi, a oczy pozostają puste. — Jasnowłosa żona Eddiego jest tą damą, z którą uciekł Regan.

Milczałem. Spojrzała na mnie przenikliwie i dodała:

— To pana nie interesuje?

— Byłby to jakiś punkt zaczepienia, pozwalający na to, żeby szybciej go odnaleźć... gdybym go szukał. Nie myśli pani, chyba, że jest zamieszany w tę historię z pani siostrą?

Posunęła ku mnie pustą szklanekę.

— Niech mi pan jeszcze naleje. Jest pan twardy jak skała i nie można nic z pana wyciągnąć.

Napełniłem jej szklaneczkę.

— Właściwie wyciągnęła pani ze mnie wszystko, co chciała wiedzieć. Ma pani teraz pewność, że nie poszukuję jej męża.

Opróżniła szklaneczkę bardzo szybko. Zabrakło jej oddechu albo... może chciała tym usprawiedliwić brak oddechu. Powoli wciągnęła głęboko powietrze.

— Rusty nie był szantażystą. Gdyby nim nawet był, to z pewnością nie połakomiłby się na parę groszy. Miał zawsze przy sobie piętnaście tysięcy w gotówce. Twierdził, że jest to u niego w zwyczaju. Miał te pieniądze, kiedy wychodziłam za niego za męża i miał je jeszcze wtedy, kiedy mnie opuścił. Rusty nigdy nie zajmowałby się takim nędznym szantażem. — Siegnęła po kopertę i wstała.

— Będę z panią w kontakcie — powiedziałem. — Gdyby chciała pani przekazać dla mnie wiadomość, to proszę ją zostawić u telefonistki w domu, gdzie wynajmuję mieszkanie.

Podeszliśmy do drzwi. Postukując białą kopertą o kciuk powiedziała:

— Ciągłe jest pan zdania, że nie może mi pan powiedzieć, o czym mówił z ojcem...?

— Musiałbym go przedtem o to spytać.

Wyciągnęła zdjęcie z koperty i oglądała je stojąc już w drzwiach.

— Ma prześliczne drobne ciało. Nie sądzi pan?

— Uhm.

Pochyliła się lekko ku mnie.

— Powinien pan zobaczyć także moje — powiedziała z powagą.

— A można to jakoś urządzić?

Roześmiała się gwałtownie i krótko, obróciła do drzwi i odwróciwszy jeszcze głowę w progu powiedziała chłodno:

— Jest pan najbardziej zimnokrwistym płazem, jakiego kiedykolwiek spotkałam, Marlowe. A może mogę panu mówić Filipku?

— Jasne.



- Pan będzie mnie nazywał Vivian.
  - Bardzo pani dziękuję, pani Regan.
  - Och, niech pana diabli wezmą, Marlowe!
- Wyszła, nie odwracając się już więcej.

Pozwoliłem zatrzasnąć się drzwiom i stałem, trzymając rękę na klamce i przypatrując się jej. Twarz mnie nieco paliła. Podeszedłem do biurka, odstawiłem butelkę z whisky, wypłukałem starannie obie szklanki i schowałem je również. Zdjąłem kapelusz z telefonu, połączyłem się z wydziałem morderstw w prezydium policji i poprosiłem o rozmowę z Bernie Olsem. Okazało się, że właśnie wrócił do swojego zacisza.

— Zostawiłem starszego pana w spokoju — powiedział. — Lokaj obiecał, że albo on sam, albo któraś z córek powie mu o wypadku. Ten Owen Taylor mieszkał nad garażem. Przeszukałem jego dobytek. Ma rodziców w Dubuque, w stanie Yowa. Zatelegrafowałem do szeryfa w miasteczku, gdzie mieszkają jego rodzice. Sternwoodowie są gotowi pokryć wszelkie koszty związane z pogrzebem.

— To samobójstwo? — spytałem.

— Nie da się powiedzieć. Nie pozostawił żadnego listu. Samochód wziął samowolnie. Wszyscy byli wczoraj w domu, oprócz pani Regan. Była w Las Olindas z playboyem o nazwisku Larry Cobb. Sprawdziłem to. Znam tam jednego krupiera.

— Powinien pan jakoś przystopować tę jaskinię gry — powiedziałem.

— Czy mogę coś zrobić przy działającym w naszym stanie syndykacie? Niech pan nie będzie dzieckiem, Marlowe. Niepokoi mnie guz na głowie tego chłopaka. Z pewnością i tu nie będzie mi pan mógł pomóc, Marlowe?

Byłem zadowolony, że właśnie w taki sposób prowadził ze mną rozmowę. Mogłem zaprzeczyć, nie kłamiąc. Pożegnałem się z nim i opuściłem moje biuro. Kupiłem wszystkie trzy popołudniowe dzienniki i wziąłem taksówkę, żeby pojechać do sądu i zabrać samochód z parkingu. W żadnej gazecie nie było słowa o Geigerze. Zagłębiłem się ponownie w jego niebieskiej książeczce. Niestety, szyfr był dla mnie tak samo niezrozumiały, jak poprzedniej nocy.

## Rozdział XII

Drzewa wokół Laverne Terrace miały po deszczu świeże, zielone liście. W chłodnym popołudniowym słońcu widziałem wierzchołek wzgórza i rząd wiodących w dół stopni, którymi schodził morderca, kiedy już oddał trzy strzały w ciemności. Dwa małe domy stały przy ulicy biegnącej poniżej Laverne Terrace. Być może ktoś z mieszkańców słyszał te strzały.

Przed domem Geigera i w jego okolicy dosłownie nic się nie działo. Żywopłot wyglądał zielono i spokojnie, a gonty na dachu były wciąż jeszcze mokre. Przejeżdżałem ulicą powoli, nękaną pewną myślą. Poprzedniej nocy nie spenetrowałem garażu Geigera. W gruncie rzeczy nie bardzo starałem się odnaleźć wyniesionego przez kogoś cichaczem trupa Geigera. W ten sposób związałbym sobie bowiem ręce. Zaciągnięcie trupa do garażu i zapakowanie go do samochodu Geigera, i wywiezienie zwłok do jakiegoś odludnego, starego wąwozu w okolicach Los Angeles, byłoby najwygodniejszym sposobem zatuszowania sprawy na wiele dni, a nawet tygodni. Były tylko dwa problemy: kluczyki do samochodu i ich duplikat. Powinno to nieco zawęzić krąg

podjeżdżających, zwłaszcza, że osobiste klucze Geigera tkwiły w mojej własnej kieszeni, kiedy się to wszystko wydarzyło.

Nie miałem możliwości obejrzenia garażu. Drzwi były zamknięte i wisiała na nich kłódka, a poza tym coś poruszyło się w żywopłocie, kiedy podjechałem bliżej. Kobieta w płaszczu w zielono—białą kratę i małym kapelusiku na miękkich jasnych włosach wysunęła się zza labiryntu roślin i stanęła, patrząc szeroko rozwartymi oczami na samochód, tak jakby nie słyszała, kiedy podjeżdżał pod wzgórze. Odwróciła się gwałtownie i odskoczyła w tył, znikając z zasięgu wzroku. Była to, naturalnie, Carmen Sternwood.

Pojechałem wzdłuż ulicy, zaparkowałem samochód i powróciłem pod dom. W świetle dziennym było to demaskujące i niebezpieczne przedsięwzięcie. Przeszedłem przez otwór w żywopłocie. Stała wyprostowana i milcząca przed zamkniętymi drzwiami frontowymi. Podniosła rękę powoli do ust i zęby ukąsiły ten jej piękny kciuk. Pod oczami miała fioletowe sińce, twarz bladą, znękaną.

Posłała mi półuśmiech.

— Halo — powiedziała cienkim, łamiącym się głosem. — Co...? — wróciła do ogryzania paznokci.

— Nie pamięta mnie pani? — spytałem. — Doghouse Reilly, człowiek, który wyrósł za wysoko. Pamięta pani?

Skinęła głową i przelotny uśmiech przemknął przez jej twarz.

— Spróbujemy wejść razem — zaproponowałem. — Mam klucze. Klawo?

— Coo...?

Odsunąłem ją na bok, wetknąłem klucz do zamka, otworzyłem drzwi i wepchnąłem ją do środka. Zamknąłem drzwi i zatrzymałem się nasłuchując. W dziennym świetle pokój wyglądał okropnie. Chińskie makaty na ścianach, dywan, pretensjonalne lampy, meble z drewna tekowego, dobrana bez gustu feeria barw, pal ofiarny, flakon z eterem i laudanum — wszystko to w dziennym świetle miało przykry posmak dopiero co zakończonego przyjęcia.

Staliśmy tak milcząc i przyglądając się sobie. Dziewczyna próbowała zachować mały uśmiezek na twarzy, ale jej twarz była zbyt zmęczona, by to na niej wymusić. Nie spuszczałem z niej wzroku. Uśmiech znikł jak woda w piasku. Pod oszołomionymi, ogłupiałymi i pustymi oczami widziałem bladą, nieprzyjemną, ziarnistą skórę. Białawy język oblizywał kąciki warg. Ładna, źle wychowana i niezbyt inteligentna mała dziewczyna, która zbyt daleko zaszła na drodze upadku i której nikt nie powstrzymał. Do diabła z tymi wszystkimi bogaczami! Przyprawiali mnie o obrzydzenie. Skręciłem papierosa, odsunąłem kilka książek z biurka i usiadłem na nim. Zapaliłem papierosa, wydmuchnąłem chmurę dymu i zająłem się obserwacją kciuka, zawieszając na moment wszelką działalność. Carmen stała przede mną jak niegrzeczna dziewczynka w biurze swego chlebodawcy.

— Co pani tu robi? — spytałem wreszcie.

Zaczęła skubać materiał płaszcza. Nie odpowiadała.

— Jak wiele pani pamięta z dzisiejszej nocy?

Tym razem odpowiedziała. W jej oczach zapaliły się chytre lisie iskierki.

— Pamiętam? O czym? Dzisiejszej nocy byłem chora. Byłem w domu. — Jej głos brzmiał gardłowo, ledwie dochodził do moich uszu.

— A jakże, była pani. Jak wszyscy diabli!

Jej oczy błysnęły, zgasły jednak bardzo szybko.

— Zanim zabrałem panią do domu, była pani tutaj. Siedziała pani na tym krześle — wskazałem je — na pomarańczowym szalu. I dobrze pani to pamięta.

Powolny rumieniec oblewał jej gardło. Zdziwiłem się. Potrafiła się jeszcze rumienić. Coś w rodzaju przebłysku niewinności. Żuła nieprzerwanie kciuk.

— Pan... był tym... — wyszeptała.

— Ja. Jak wiele pani zapamiętała?

— Czy pan jest z policji? — spytała niepewnie.

— Nie. Jestem przyjacielem pani ojca.

— Nie jest pan policjantem?

— Nie.

Wydała z siebie lekkie westchnienie.

— Czego pan chce?

— Kto go zabił?

Ramiona jej zdrząły, twarz pozostała nieruchoma.

— Kto jeszcze... wie?

— O Geigerze? Tego nie wiem. Policja nie, bo inaczej już by tu gospodarzyła. Może Joe Brody.

Był to strzał w ciemność, ale sprawił, że zaskomliła.

— Joe Brody?!

Zamilkliśmy obydwój. Ja szarpałem papierosa, ona jadła kciuk.

— Niech pani, na miłość boską, nie udaje takiej sprytnej — powiedziałem. — Wygląda to na scenę z lekko przestarzałego romansidła. Czy Brody go zastrzelił?

— Zastrzelił? Kogo?

— Święty Jezusie! — powiedziałem. Obraziła się na mnie. Broda jej lekko opadła.

— Tak — powiedziała uroczyście. — Joe to zrobił.

— Dlaczego?

— Tego nie wiem — potrząsnęła głową, jakby próbując samej sobie wmówić, że nie wie.

— Często go pani ostatnio widywała?

Jej ręce powędrowały wreszcie w dół i splotły się tam w mały, kunsztowny węzełek.

— Raz czy dwa razy. Nienawidzę go.

— Wobec tego wie pani, gdzie on mieszka.

— Tak.

— I nie lubi go już pani ani trochę?

— Nienawidzę go!

— To znaczy, cieszyłaby się pani, gdyby został w to wszystko zamieszany?

Znowu w jej oczach zobaczyłem pustkę. Zbyt szybko jak na nią zadawałem pytania. Tylko że trudno było zadawać je jeszcze wolniej.

— Czy byłaby pani gotowa oświadczyć policji, że zastrzelił go Joe Brody? — próbowałem wysondować.

Nagle na jej twarzy pojawił się paniczny strach.

— Naturalnie jeżeli będę mógł zniszczyć te zdjęcia w stroju Ewy — dodałem uspokajająco.

Zachichotała. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Gdyby wrzeszczała albo płakała, albo opadła na podłogę w ciężkim zemdleniu, wszystko byłoby w porządku. Ale ona po prostu zachichotała. Cała sprawa nagle wydała się jej śmieszna. Pozwoliła się sfotografować w pozie Izis, ktoś świsnął zdjęcie, ktoś zastrzelił u jej nóg Geigera, była bardziej pijana niż wszyscy uczestnicy

zjazdu byłych kombatantów razem wzięci, a jej cała sprawa nagle wydała się być świetnym żartem. Chichotała. Chichot stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej wypełniał pokój, niczym natrętny odgłos drapania szczurów za boazerią. Zaczynała wpadać w histerię. Ześliznąłem się z biurka, podszedłem do niej i uderzyłem ją w policzek.

— Zupełnie jak ubiegłej nocy — powiedziałem. — Zabawna z nas para. Reilly i Sternwood, dwa Pierroty próbujące zrobić z siebie błaznów.

Chichot zamilkł, ale policzek nie wywarł na niej większego wrażenia niż te z poprzedniej nocy. Prawdopodobnie wszyscy jej przyjaciele i kochankowie zmuszeni byli wcześniej czy później ją policzkować. Doskonale ich rozumiałem. Usiadłem znów na biurku.

— Pan się nie nazywa Reilly — stwierdziła poważnie. — Nazywa się pan Philip Marlowe. Jest pan prywatnym detektywem. Powiedziała mi o tym Viv. Pokazała mi pańską wizytówkę. — Poglądziła się po uderzonym policzku. Uśmiechnęła się do mnie, tak jakbym stanowił dla niej niezwykle miłe towarzystwo.

— Coś musi pani pamiętać — zacząłem — skoro wróciła pani do tego domu, żeby odnaleźć zdjęcie. Nie mogła się pani dostać do środka, prawda?

Podbródek zaczął się jej trząść. Usiłowała się uśmiechnąć. Nie spuszczała ze mnie oka. Byłem wzywany do wkroczenia na wojenną ścieżkę. Powiniennem wrzasnąć „jeeach” i wyzwąć ją na udeptaną ziemię.

— Zdjęcie zniknęło — wyjaśniłem. — Szukałem go wczoraj w nocy, zanim odwiozłem panią do domu. Prawdopodobnie zabrał je Brody. Mam nadzieję, że nie nabrała mnie pani opowiadając o Brodym?

Gorliwie potrząsnęła głową.

— Tylko tak panią podpuszczam — powiedziałem. — Niech pani o tym wszystkim nie myśli. Niech pani nie mówi żywej duszy, gdzie pani była ostatniej nocy i teraz. Proszę tego nie mówić nawet Vivian. Niech pani zapomni o tym, że tu była. Proszę wszystko zostawić Reilly'emu.

— Ale przecież nie nazywa się pan... — wyjąkała i nagle urwała, energicznie potrząsając głową, jakby zgadzała się z tym, co powiedziałem, czy też z tym, co sama właśnie w tej chwili pomyślała. Oczy jej zwięziły się i poczerniały niczym wyszczerbiona emalia barowej tacy. Przyszedł jej do głowy pomysł.

— Niestety, muszę już iść do domu — odezwała się takim tonem, jakbyśmy razem byli na herbacie.

— Ależ oczywiście.

Nie poruszyłem się. Obrzuciła mnie uwodzicielskim spojrzeniem i podeszła do drzwi. Trzymała już rękę na klamce, gdy nagle usłyszeliśmy zbliżający się warkot silnika samochodowego. Spojrzała na mnie pytająco. Wzruszyłem ramionami. Samochód zatrzymał się przed domem. Strach wykrzywił jej twarz. Słysząc czyjeś kroki, a w chwilę później rozległ się dzwonek. Carmen spoglądała na mnie przez ramię, jej ręka ciągle kurczowo trzymała klamkę. Wyglądała niemal śmiesznie w tym strachu. Dzwonek rozlegał się nieprzerwanie. Nagle ucichł. Ktoś włożył klucz do zamka. Carmen odskoczyła od drzwi i stanęła nieruchomo. Drzwi zostały otwarte z rozmachem. Do hallu wszedł pośpiesznie jakiś mężczyzna i zobaczywszy nas zamarł. Patrzył na nas mimo wszystko spokojnie, całkowicie opanowany.

Był to szary mężczyzna. Wszystko w nim było szare, oprócz wypucowanych czarnych pantofli i dwóch różowych brylantów, wpiętych w szary jedwabny krawat. Nosił szarą koszulę i szary, wspaniale skrojony dwurzędowy garnitur z miękkiej flaneli. Kiedy zobaczył Carmen, zdjął z głowy szary kapelusz. Włosy miał również szare, delikatne, osypujące się. Gęste szare brwi przydawały mu nieokreślonego sportowego wyglądu. Miał ostro zarysowaną brodę, orli nos, szare, myślące oczy, które patrzyły jakby z ukosa, z powodu ukośnie opadającej górnej powieki.

Stał w pełnej szacunku postawie, jedną ręką opierając się o drzwi, w drugiej trzymając szary kapelusz i uderzając nim o udo. Wyglądał na człowieka twardego, nie sprawiał jednak wrażenia brutalnego rzeźmieszka. Raczej doskonale zahartowanego na powietrzu amatora konnej jazdy. Nie był to jednak amator konnej jazdy. Był to Eddie Mars.

Zamknął za sobą drzwi i włożył rękę do krytej kieszeni płaszcza. Kciuk pozostał na zewnątrz i świecił w ciemnym hallu jasną plamą. Uśmiechnął się do Carmen. Miał przyjemny, bez troski uśmiech. Dziewczyna oblizwała wargi i spojrzała na niego. Strach znikł z jej twarzy. Uśmiechnęła się odpowiadając na jego uśmiech.

— Proszę mi wybaczyć to najście — powiedział — ale dzwonek nie przywołał nikogo do drzwi. Czy pan Geiger jest w pobliżu?

— Nie — odpowiedziałem. — My również nie wiemy, gdzie on jest. Drzwi były otwarte i dlatego weszliśmy do domu.

Przytaknął i dotknął twarzy brzegiem kapelusza.

— Państwo są oczywiście przyjaciółmi pana Geigera?

— Tylko znajomymi z interesu. Wpadliśmy po książkę.

— Książkę? Naprawdę? — powiedział to szybko i z ożywieniem i jak mi się wydawało, chytrym tonem, jakby wiedział wszystko o książkach Geigera. Następnie spojrzał znów na Carmen i wzruszył ramionami.

Przesunąłem się w kierunku drzwi.

— No, musimy uciekać — powiedziałem. Wziąłem dziewczynę pod rękę, ale ona przyglądała się Eddiemu Marsowi. Wyraźnie jej się podobał.

— Czy mam coś przekazać, kiedy Geiger wróci? — spytał Eddie uprzejmym tonem.

— Nie chcielibyśmy panu sprawiać kłopotu.

— Szkoda — powiedział wiele znaczącym tonem. Szare oczy zabłysły, a kiedy podszedłem bliżej, by otworzyć drzwi, jego wzrok niespodziewanie stwardniał. — Dziewczyna może się wynosić — stwierdził beznamiętnie — ale z panem, przyjacielu, chciałbym zamienić kilka słów.

Puściłem ramię Carmen i posłałem mu zdziwione spojrzenie.

— Awanturnik, co? — powiedział cicho. — Niech pan nie podskakuje. Mam na zewnątrz w samochodzie dwóch chłopców, którzy zawsze robią dokładnie to, czego od nich zażądam.

Carmen wydała z siebie jakiś dźwięk i wybiegła przez drzwi. Jej kroki oddalały się pospiesznie, zmierzając w dół wzgórza. Nie widziałem jej samochodu, prawdopodobnie pozostawiła go gdzieś dalej.

— Co do diabła... — zacząłem.

— Skończ pan te brednie — westchnął Eddie Mars. — Coś tu jest nie w porządku. Zamierzam stwierdzić co to takiego. Jeżeli ma pan ochotę wydłubać sobie trochę ołowiu z brzucha, to niech pan spróbuje mi przeszkodzić.

— Och, och — powiedziałem — jaki twardy facet.

— Tylko wtedy, gdy potrzeba, mój przyjacielu. — Nie spojrzał już na mnie. Obszedł pokój dookoła, marszcząc czoło i w ogóle nie zwracając na mnie uwagi.

Wyjrzałem przez frontową rozbitą szybę we frontowym oknie. Zobaczyłem wystający zza żywoplotu przód samochodu. Silnik był zapuszczony.

Eddie Mars dostrzegł purpurowy flakon i dwie pozłacane szklanki na biurku. Powąchał jedną szklankę, potem flakon. Pełen niesmaku uśmiech wykrzywił mu usta.

— Ten obrzydliwy skurwysyn... — powiedział beznamiętnie.

Pomruczał coś, obejrzawszy kilka książek, obszedł biurko i zatrzymał się przed palem ofiarnym z wmontowaną w niego soczewką aparatu. Dokładnie mu się przyjrzał i spojrzał na podłogę u stóp pala. Poruszył mały dywanik nogą i schylił się błyskawicznie. Ukląkł na jedno ze swoich szarych kolan. Biurko zasłaniało go częściowo przede mną. Wydał z siebie ostry, gwałtowny okrzyk. Poderwał się na równe nogi. Ramię powędrowało błyskawicznie do kieszeni płaszcza i czarny luger wykwitł w jego ręce.

— Krew — powiedział. — Tu na podłodze, pod dywanem.

Masa krwi.

— Naprawdę? — spytałem, robiąc wrażenie zaciekawionego.

Osunął się na fotel za biurkiem i przysunął do siebie aparat telefoniczny w kolorze owoców morwy. Zmarszczywszy czoło przełożył lugera do lewej ręki. Spojrzał z głębokim niezadowoleniem na telefon, ściągając przy tym gęste szare brwi i marszcząc mocno skórę u nasady nosa.

— Sądzę, że musimy wezwać policję — stwierdził.

— Naturalnie, dlaczego nie.

Oczy mu się zwęziły. Pozory opadły. Miałem przed sobą dobrze ubranego, zimnego rzezimieszka z lugerem w dłoni. Nie był zachwycony tym, że się z nim zgadzam.

— Do diabła, kim pan właściwie jest, przyjacielu?

— Nazywam się Marlowe, jestem detektywem.

— Nigdy o panu nie słyszałem. Kim była ta dziewczyna?

— Klientką. Geiger próbował zacisnąć jej pętlę na szyi. Szantażykiem. Przyszliśmy tutaj, żeby z nim o tym pomówić. Nie było go. Drzwi były otwarte, więc weszliśmy, żeby poczekać. Nie mówiłem panu o tym?

— To bardzo wygodne — powiedział. — Otwarte drzwi. Zwłaszcza jak się nie ma klucza.

— Owszem. A jak pan wszedł w posiadanie swojego?

— Czy to pańska sprawa, przyjacielu?

— Mógłbym z tego zrobić moją sprawę.

Zaśmiał się oszczędnie i podniósł rondo kapelusza, przesuwając go na tył głowy.

— A ja mógłbym pańską sprawę zamienić na moją sprawę!

— To się panu nie będzie opłacało. Honorarium jest zbyt niskie — odparłem.

— W porządku, Sokole Oko. Dom należy do mnie. Geiger jest moim lokatorem. No, jak pan teraz wygląda?

— Zna pan bardzo miłych ludzi — stwierdziłem.

— Biorę ich takimi, jakimi są. Przychodzą do mnie różni. — Spojrzał na lugera, wzruszył ramionami i wsadził go pod płaszcz. — Ma pan jakiś pomysł, przyjacielu?

— Całe mnóstwo. Ktoś zastrzelił Geigera. Geiger zastrzelił kogoś i uciekł. Albo w ogóle byli to jacyś dwaj nieznani faceci. Albo Geiger należał do sekty i składał przed palem ofiarę krwi. Albo miał jeść na kolację kurczaka, a przywykł kurczaki trzymać w salonie.

Człowiek w szarym ubraniu obrzucił mnie ponurym spojrzeniem.

— Poddaję się — powiedziałem. — Lepiej będzie, jak pan wezwie swoich znajomych ze śródmieścia.

— Nie wiem, o co panu chodzi — zawarczał. — Nie chwytam tej pańskiej gierki.

— No dalej, wezwij pan chłopców w mundurkach. Szalenie się ucieszą, jak pana tu spotkają. Przeżuwał to w bezruchu. Wargi zacisnęły mu się w wąziutką kreseczkę.

— Dalej nie wiem, o co panu chodzi — powiedział napiętym głosem.

— Może ma pan dzisiaj wyjątkowo zły dzień. Znam pana dobrze, panie Mars. Znam również Klub pod Cyprysami w Las Olindas. Mocna gra dla mocnych ludzi. Miejscową policję ma pan w kieszeni, w Los Angeles jest również wszystko tłusto posmarowane. Jednym słowem: pełna ochrona. Geiger też pracował w branży, w której potrzebuje się ochrony. Sądzę, że od czasu do czasu pomagał mu pan swoimi wpływami, tym bardziej że przecież był pańskim lokatorem...

Poblądle wargi stężyły w twardym grymasie.

— A w jakiej to branży działał Geiger?

— W literaturze porno.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

— Ktoś go wreszcie dopadł — powiedział miękko. — Pan wie coś o tym. Nie pokazał się dzisiaj w sklepie. Pracownicy nie wiedzą, gdzie jest. Nie odpowiada też na telefony do domu. Właśnie dlatego przyszedłem. Chciałem sprawdzić. Znalazłem krew na podłodze pod dywanem. A także pana i dziewczynę.

— Trochę za grubymi nićmi szyte — stwierdziłem. — Ale jeśli znajdzie pan odpowiedniego słuchacza, może pan sprzedać całą historyjkę. Czegoś pan jednak nie zauważył. Mianowicie: ktoś wyniósł dzisiaj książki z jego sklepu, wspaniałe książeczki, które wypożyczał.

Pstryknął ze zniecierpliwieniem palcami.

— Powinienem był o tym pomyśleć, przyjacielu. Wygląda na to, że doskonale pan się w tym wszystkim orientuje. No i jak pan to znajduje?

— Jestem przekonany, że Geiger został zastrzelony. Jestem też przekonany, że to jego krew. Wywiezienie książek wyjaśnia, dlaczego ukryto na pewien czas ciało. Ktoś przejmuje jego interes i potrzebuje trochę czasu, żeby to zorganizować.

— W ten sposób ten ktoś daleko nie zajedzie — powiedział Eddie ponuro.

— Kto to mówi? Pan? Z pańską parą rewolwerowców siedzących w samochodzie? Mieszkamy w wielkim mieście, Eddie! Ostatnio wprowadziło się tutaj trochę twardych facetów. Wiadomo... przestępczość w wielkich aglomeracjach...

— Cholernie wiele pan mówi... Za wiele — przerwał Eddie Mars. Gwizdnął ostro dwa razy przez zęby. Trzasnęły drzwi samochodu i ktoś zaczął biec wśród żywopłotu. Mars zamigotał znowu lugerem, wycelowując jego lufę w moją pierś. — Niech pan otworzy drzwi!

Klamka poruszyła się i odezwał się jakiś głos. Otwór lugera wyglądał jak dziura czarnego tunelu na Drugiej Ulicy. Mimo to ani drgnąłem. Postanowiłem zacząć przyzwyczajając się do myśli, że moje ciało nie jest kuloodporne.

— Niech je pan sobie sam otworzy, Eddie. Kim pan, do diabła jest, żeby wydawać mi rozkazy? Niech pan lepiej będzie miły, a wtedy może panu pomogę wykaraskać się z tego.

Podniósł się sztywno, okrążył koniec biurka i podszedł do drzwi. Otworzył je, nie spuszczać ze mnie oka. Do pokoju wpadło dwóch mężczyzn i od razu wpakowali ręce pod marynarki. Jeden z nich był oczywiście byłym bokserem — dobrze zbudowany, bladolicy młodzieniec ze zdemolowanym nosem i uchem w kształcie kalafiora. Drugi był chudym blondynem z trupią twarzą i blisko osadzonymi, pozbawionymi koloru oczami.

— Sprawdźcie tego faceta — odezwał się Eddie Mars. — Czy nie ma przy sobie przypadkiem spluwy.

Blondyn wyciągnął rewolwer o krótkiej lufie i wycelował go we mnie. Bokser podszedł niezgrabnie i dokładnie obmacał mi kieszenie. Obracałem się przed nim jak znudzona piękność, mierząca u krawcowej nową suknię wieczorową.

— Nie ma broni — powiedział bełkotliwie.

— Zobacz, kto to jest.

Bokser wpakował rękę do wewnętrznej kieszeni mojej marynarki i wyciągnął portfel. Otworzył go i przez dłuższą chwilę studiował zawartość.

— Nazywa się Philip Marlowe. Mieszka w Hobart Arms na ulicy Franklina. Licencja prywatnego detektywa, legitymacja wystawiona przez departament kryminalny... to wszystko. — Wsunął mi portfel z powrotem do kieszeni, dał lekko po twarzy i odwrócił się.

— Zjeżdżajcie — rozkazał Eddie Mars.

Obaj rewolwerowcy wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Słyszałem, jak wsiedli do samochodu. Zapuscili silnik i trzymali go znów na biegu.

— No, niech pan mówi — odezwał się Eddie Mars. koniuszki jego brwi zbiegły się, tworząc daszek na czole.

— Nie mam zamiaru wypaplać wszystkiego, coś panu jednak chcę powiedzieć. Zlikwidować Geigera tylko po to, żeby przejąć jego interes nie było zbyt mądrym posunięciem. Nie jestem pewien, czy to się właśnie tak stało, nawet biorąc pod uwagę fakt, że Geiger z pewnością nie żyje. Jestem pewien, że ten, kto zajął się książkami, doskonale się we wszystkim orientuje. Jestem również pewien, że piękna blondynka z jego sklepu jest na wpol żywa ze strachu, z jakichś tam powodów. Prócz tego domyślam się, kto przetransportował książki.

— Kto?

— To należy do tej części sprawy, o której nie chcę paplać. Mam klientkę, jak panu wiadomo.

Zmarszczył nos.

— Ta... — urwał pospiesznie.

— Spodziewam się, że pan zna tę dziewczynę?

— Kto wziął te książki, przyjacielu?

— Nie jestem aż tak szczery, Eddie. Zresztą dlaczego miałbym być?

Położył lugera na biurku i uderzył w niego otwartą dłonią.

— Właśnie dlatego — powiedział. — A poza tym sprawa mogłaby się panu opłacić.

— To już lepiej. Niech pan zostawi tę pukawkę. Zawsze wolałem słuchać dźwięku pieniędzy. Za ile zamierza mnie pan przekupić?

— To zależy od tego, co pan potrafi zrobić.

— A co pan ma do roboty?

Rąbnął mocno pięścią w biurko.



— Słuchaj no, przyjacielu! Ja zadaję pytanie, a pan odpowiada mi następnym. W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Chcę wiedzieć, gdzie jest Geiger z powodów czysto osobistych. Nigdy nie podobało mi się jego zajęcie i nigdy go też nie osłaniałem. Tak się złożyło, że ten dom należy do mnie. W tej chwili zupełnie mnie to nie uszczęśliwia. Zdaję sobie sprawę, że wszystko, co pan wie, nie jest jeszcze ujawnione, gdyż w przeciwnym wypadku dom roiłby się od gromady grzebiących w tym śmietniku glin. Albo po prostu nie ma pan żadnych informacji na sprzedaż. Coś mi się zdaje, że to pan sam potrzebuje małej ochrony, mój drogi. Więc niech pan gada!

Dobrze mu się zdawało, ale nie miałem zamiaru dać mu tego zauważyć. Wyjąłem papierosa, wyciągnąłem zapalną i pstryknąłem nią o szklane oko ofiarnego pala.

— Ma pan rację — stwierdziłem. — Jeśli Geigerowi rzeczywiście coś się stało, muszę o tym, co wiem, zameldować policji. W ten sposób cała historia stanie się własnością publiczną i w ten sposób nie będę miał co sprzedawać. Dlatego też mam zamiar, za pańskim zezwoleniem naturalnie, spłynąć stąd po prostu.

Twarz mu pobladła pod opalenizną. Przez chwilę wyglądał jak ordynarny bandzior. Ręka mu drgnęła unosząc broń. W tej samej chwili spytałem niedbale:

— Nawiasem mówiąc, jak się miewa pani Mars?

Przez moment myślałem, że posunąłem się trochę za daleko. Jego drżąca ręka zacisnęła się na rewolwerze. Mięśnie twarzy napięły się.

— Zjeżdżaj — powiedział cichutko. — Mam gdzieś, dokąd teraz pójdziesz i co będziesz robił. Dam ci tylko jedną dobrą radę: nie mieszaj mnie do swoich sprawek, bo inaczej pożałujesz, że nie nazywasz się na przykład Murphy i nie mieszkasz w Limerick.

— Wolałbym w górach, niedaleko Clonmel — wtrąciłem. — Słyszałem, że ma pan przyjaciela, który pochodzi z tamtych okolic.

Pochylił się nad biurkiem. Oczy mu zlodowaciały, znieruchomiał. Podszedłem do drzwi, otworzyłem je i obejrzałem się, by na niego spojrzeć. Wiódł za mną wzrokiem, ale pochylone szare ciało nie wykonało żadnego ruchu. W jego oczach wyczytałem nienawiść.

Wyszedłem z domu, przedostałem się przez labirynt żywopłotu i ruszyłem w górę wzgórze w kierunku mego samochodu. Wsiadłem, wykręciłem i pojechałem w dół wzgórze. Nikt do mnie nie strzelał. Przejechałem kilka przecznic, zakręciłem, wyłączyłem silnik i siedziałem spokojnie przez kilka minut. Nikt mnie nie śledził. Wróciłem do Hollywood.

## Rozdział XIV

Była za pięć piąta, kiedy stanąłem obok głównego wejścia domu czynszowego na Randall Place. Kilka okien było już oświetlonych, radia pobekiwały w zapadającym zmierzchu. Pojechałem windą na trzecie piętro i ruszyłem długim, wyłożonym zielonym dywanem korytarzem, pokrytym boazerią z kości słoniowej. Chłodny powiew ciągnął od otwartych drzwi hallu do przeciwpożarowego wyjścia. Przy drzwiach oznaczonych numerem czterysta pięć widniał mały, zrobiony z kości słoniowej guzik dzwonka. Przycisnąłem go i czekałem, jak mi się wydawało, dość długo. Wreszcie drzwi uchyliły się bezszelestnie na szerokość stopy. Było coś podejrzanego w sposobie, w jaki zostały otwarte. Otworzył mi długonogi, barczysty mężczyzna o ciemnobrązowych oczach, osadzonych w ciemnej, pozbawionej wyrazu twarzy. Wyglądało na

to, że nauczył się kontrolować swoją mimikę już dość dawno temu. Jego włosy wyglądały, jakby były zrobione ze stalowej wełny, wyrastającej gdzieś z tyłu głowy, dzięki czemu brązowe czoło sprawiało wrażenie niezwykle wysokiego i nadawało mu, przy pobieżnym spojrzeniu, wygląd myśliciela. Ponure oczy sondowały mnie bez cienia zaangażowania. Długie, brązowe palce trzymały kraniec drzwi. Milczał.

— Geiger — powiedziałem.

Twarz ani drgnęła. Wyciągnął gdzieś spoza drzwi papierosa, wetknął go między wargi i wypuścił mały obłoczek dymu. Spoza tego leniwego, pogardliwego dmuchnięcia doszedł mnie chłodny, powolny głos, beznamiętny jak głos krupiera w domu gry.

— Co pan powiedział?

— Geiger. Arthur Gwynn Geiger. Facet od książek.

Mężczyzna zdawał się analizować moje słowa. Spuścił oczy na koniec papierosa. Jego druga ręka, ta która trzymała drzwi, zniknęła z zasięgu wzroku. Po ruchu jego ramion można się było domyślić, że wykonywała jakieś czynności.

— Nie znam nikogo o tym nazwisku — powiedział. — Czy on mieszka gdzieś w pobliżu? Zaśmiałem się. Nie spodobało mu się to. Jego oczy nabrały odpychającego wyrazu.

— Pan nazywa się Joe Brody? — spytałem.

Brązowa twarz skamieniała.

— No i co z tego — odpowiedział. — Chcesz czegoś, bracie, czy szukasz rozrywki?

— A więc pan jest Joe Brody — powtórzyłem. — I nie zna pan nikogo o nazwisku Geiger. Bardzo śmieszne.

— Tak? Być może. Ma pan specyficzne poczucie humoru. Niech się pan produkuje gdzie indziej.

Oparłem się o drzwi i posłałem mu marzący uśmiech.

— Pan ma książki, Joe. A ja mam listę frajerów. Powinniśmy to omówić.

Nie spuszczał oczu z mojej twarzy. W pokoju rozległ się niewyraźny dźwięk, jakby żabka od zasłony uderzyła delikatnie w metalową szynę. Zerknął przez ramię do wnętrza. Otworzył drzwi szerzej.

— Dlaczego nie... Jeśli pan myśli, że coś z tego wyjdzie — powiedział chłodno. Usunął się z przejścia. Przeszedłem obok niego.

Był to wesoły pokój, dobrze urządzony i nie przeładowany meblami. Weneckie okno, otwarte w tej chwili na kamienny balkon wychodziło na wzgórze. Obok okna zauważyłem zamknięte drzwi, a obok drzwi wejściowych jeszcze inne drzwi zawieszoną na nich pluszową kotarą, umocowaną na cienkim mosiężnym pręcie.

Pośrodku ściany, na której nie było żadnych drzwi stał tapczan. Usiadłem więc na nim. Brody zamknął drzwi wejściowe i podszedł do wysokiego dębowego biurka, obitego płaskimi, kwadratowymi gwoździami. Na biurku stała kasetka z cedrowego drzewa z połączanymi zawiasami. Zaniósł kasetkę do fotela ustawionego pomiędzy drzwiami i usiadł. Położyłem kapelusz obok siebie na tapczanie i czekałem.

— Proszę, słucham — rozpoczął Brody. Otworzył pudełko cygar i wyrzucił niedopałek papierosa do stojącej obok popielniczki. Włożył do ust długie, cienkie cygaro. — Może cygaro? — spytał i nie czekając na odpowiedź, rzucił jedno w moją stronę.

Schwyciłem je w locie. Brody wyciągnął broń z pudełka cygar i wycelował ją w mój nos. Spojrzałem na to, co wyciągnął. Był to czarny rewolwer, z typu używanego przez policję, o dużym kalibrze. Na razie nie miałem żadnego kontrargumentu.

— Dobrze zrobione, prawda? — zauważył. — Niech pan będzie tak uprzejmy i wstanie na chwilę. Niech pan podejdzie dwa metry naprzód. Może pan zaczerpnąć trochę powietrza, kiedy będzie się pan ruszał. — Jego głos miał ową wypracowaną beznamietność, typową dla bandytów z filmów. Wszyscy bandyci z filmów przemawiają w ten właśnie sposób.

— No, no — mruknąłem, nie poruszając się ani o cal. — Tak dużo rewolwerów w tym mieście, a tak mało rozsądku. Jest pan drugim facetem, którego spotykam w ciągu godziny i któremu wydaje się, że złapał Pana Boga za nogi, tylko dlatego, że trzyma w ręku spluwę. Niech pan nie będzie głupi, Joe, niech pan ją odłoży.

Zmarszczył brwi i wysunął ku mnie podbródek. W oczach miał nienawiść.

— Tamten facet nazywa się Eddie Mars — uzupełniłem. — Słyszał pan kiedykolwiek, o nim?

— Nie. — Ciągłe trzymał broń wycelowaną we mnie.

— Jeśli kiedykolwiek dowie się, gdzie pan spędził ostatnią deszczową noc, zlikwiduje pana raz na zawsze, tak jak się likwiduje fałszywy czek.

— A cóż moja osoba może znaczyć dla Eddiego Marsa? — spytał chłodno Brody. Opuścił jednak rewolwer na kolana.

— Wydaje mi się, że ma w związku z panem jakieś niemiłe wspomnienia — powiedziałem.

Przyglądaliśmy się sobie. Spod pluszowej kotary zasłaniającej drzwi wyglądał czubek spiczastego damskiego pantofla.

Brody zaczął teraz spokojnym tonem.

— Niech pan mnie źle nie zrozumie. Nie jestem zawodowym rzeźmieszkiem, jestem po prostu ostrożny. Nie mogę wiedzieć, u licha, co panu naprawdę siedzi w głowie. Z równym powodzeniem mógłby pan być płatnym mordercą.

— Nie jest pan jednak dość ostrożny — przerwałem. — Ta pańska gierka z książkami Geigera była bardzo nieostrożna.

Wziął głęboki, powolny oddech i bezszelestnie wypuścił powietrze. Oparł się o poręcz krzesła, skrzyżował długie nogi i położył rewolwer na kolanach.

— Niech pan nie bajeruje samego siebie, że nie użyję tej zabawki, jeśli zajdzie potrzeba — powiedział. — Co mi pan chce opowiedzieć?

— Niech pan pozwoli swojej przyjaciółce w spiczastych pantoflach wyjść z za zasłony — odezwałem się. — Zmęczy się, próbując tak długo wstrzymać oddech.

Nie odwracając spojrzenia od mojego brzucha Brody zawołał:

— Chodź tu, Agnes!

Zasłona odchyliła się i zielonooka, kołysząca się w biodrach popielata blondynka z magazynu Geigera dołączyła do nas. Przyglądała mi się ze źle ukrywaną złością. Drżały jej nozdrza, oczy miała zaszepione. Sprawiała wrażenie bardzo nieszczęśliwej.

— Od razu, cholera jasna, wiedziałam, że przyniesie pan nieszczęście — warknęła w moim kierunku. — Uprzedzałam Joego, żeby się pilnował!

— Zostaw to gadanie — przerwał jej Brody. — Joe pilnuje się dość dobrze. Zapal światło, żebym wiedział, dokąd wygarnąć, gdybym musiał zlikwidować tego faceta.

Blondynka zapaliła wielką kwadratową stojącą lampę. Opadła na fotel i siedziała sztywno, jakby nosiła zbyt ciasny pasek do pończoch. Włożyłem cygaro w usta i oderwałem koniuszek. Kiedy wyciągałem zapałki i przypalałem cygaro, rewolwer Brody'ego uważnie śledził moje ruchy. Pyknąłem ze smakiem i powiedziałem:

— Lista klientów, o której mówiłem, jest zaszyfrowana. Nie rozwikłałem jeszcze kodu, ale mogę powiedzieć, że znajduje się tam około pięciuset nazwisk. Ma pan tutaj dwanaście skrzyń książek, przynajmniej o tylu wiem. Musi w nich być co najmniej pięćset egzemplarzy. Dużo więcej jest z pewnością aktualnie w czytaniu, ale powiedzmy, licząc ostrożnie, że jest ich także pięć setek. Aktywa są bardzo poważne, nawet jeśli zaniży się je o pięćdziesiąt procent, to pozostaje niezła sumka. Pańska przyjaciółka orientuje się w tym bardzo dokładnie. Jeżeli za wypożyczenie będzie brał pan tylko jednego dolara, co naturalnie nie jest zbyt wygórowaną stawką, gdyż tego rodzaju towar jest w cenie, to i tak interes przyniesie panu sumę, która szybko przekroczy kapitał. A kapitał Geigera, jak sędzę, posiada w tej chwili pan. Naturalnie, dla takiej sumy warto zastrzelić faceta.

Blondynka wrzasnęła:

— To wariat, ten przeklęty jajogłowy...!

Brody zawarczał ze złością, odsłaniając zęby:

— Zamknij się! Na litość boską, trzymaj język za zębami!

Opadła w fotelu, przeżywając mękę poniżenia i skrywanej furii. Srebrne paznokcie skrobały pończochy na kolanach.

— Naturalnie, to nie jest interes dla prostaczków — ciągnąłem niemal tkliwie. — Potrzebny jest do tego ktoś tak zręczny, jak pan, Joe. Powinien pan umieć wzbudzać zaufanie. Potrzebny jest elegancki człowiek, właśnie taki, jak pan. Zdaje pan sobie przecież sprawę, że ludzie, którzy wydają pieniądze na tego rodzaju erotyczne podniety, są zwykle nerwowi niczym stare panny, które nigdy nie umieją trafić do toalety. Osobiście uważam szantaż, jako zajęcie uboczne, za wielki błąd. Jestem za tym, żeby go wyłączyć, zająć się wyłącznie uczciwą sprzedażą i ciągnąć zyski z wypożyczania książek.

Ciemnobrązowe oczy Brody'ego uważnie lustrowały moją twarz. Jego rewolwer ciągle jeszcze wykazywał nie słabnące zainteresowanie moimi żywotnymi organami.

— Jest pan zabawnym facetem — powiedział obojętnym tonem. — Kto niby jest właścicielem tego wspaniałego interesu?

— Pan — odparłem. — To znaczy, prawie.

Blondynka głośno przełknęła ślinę i nastawiła uszu.

Brody pominął milczeniem moją uwagę. Przyglądał mi się tylko bacznie.

— Coś podobnego! — zawołała blondynka. — Siedzi pan tutaj i opowiada nam, że Geiger prowadził taki interes na jednej z głównych ulic miasta? Jest pan szalony!

Mrugnąłem do niej.

— Oczywiście że opowiadam. Każdy człowiek zdaje sobie sprawę, że taka branża istnieje. Hollywood stworzyło popyt na te rzeczy. Jeśli taki sklep egzystuje, to właśnie przy głównej ulicy. Jest to wygodne dla każdego policjanta. Z tych samych powodów dla jakich policja uznaje dzielnice z czerwonymi latarniami. Wie wówczas doskonale, że ma wszystko pod ręką i że w każdej chwili może położyć na tym łapę.

— Mój Boże! — wrzasnęła blondynka. — Pozwalasz temu chamowi siedzieć tutaj i obrzucać mnie kalumniami? I to wtedy, kiedy ty masz w ręce rewolwer, a on tylko cygaro w gębie?

— Bawi mnie to — burknął Brody. — Facet dobrze myśli. A teraz zamknij gębę i trzymaj ją cały czas zamkniętą, żebym ci jej nie musiał zatrzasać. — Pogroził jej niedbale rewolwerem.

Blondynka, odwróciwszy twarz do ściany, z trudem łapała powietrze. Brody spojrzął na mnie i spytał przebiegle:

— A w jaki to sposób doszedłem do tego wspaniałego interesu?

— Zastrzelił pan Geigera, żeby to wszystko przejąć. Ostatniej deszczowej nocy. Pogoda była jak wymarzona na postrzelanie sobie. Bieda polega na tym, że nie był pan sam, kiedy go pan likwidował. Albo pan tego nie spostrzegł, co uważam za niemożliwe, albo też miał pan takiego pietra, że na nic nie zważał. Choć, z drugiej strony, utrzymał pan nerwy na wodzy na tyle, by wyciągnąć kasetę z aparatu fotograficznego, a po pewnym czasie powrócić i ukryć zwłoki Geigera. Chciał pan mieć czas na to, by zabrać ze sklepu wszystkie książki, zanim policja odkryje morderstwo.

— Znakomicie — powiedział Brody pogardliwie. Rewolwer poruszył się na jego kolanach. Ciemna, opalona twarz stwardniała, jakby była wyrzeźbiona. — Bawi się pan w zgadywanki, mistrzu. Ma pan cholerne szczęście, że to nie ja zastrzeliłem Geigera!

— Mimo to pociągną pana za to do odpowiedzialności — stwierdziłem zyczliwym tonem. — Mógł pan kazać go zabić.

Głos Brody'ego jakby ścichł.

— Myśli pan, że będą mogli mi przylepić tę sprawę?

— Naturalnie.

— W jaki sposób?

— Istnieje ktoś, kto tak właśnie zezna. Powiedziałem panu, że był przy tym świadek. Niech pan lepiej nie zadziera ze mną, Joe.

Teraz dopiero wybuchnął:

— Ta przekłeta mała, zwariowana na punkcie mężczyzn dziwka! — warknął. — Byłaby do tego zdolna. Do diabła z nią! Właśnie ona byłaby zdolna.

Usiadłem wygodniej i uśmiechnąłem się do niego.

— Znakomicie. Wiedziałem, że to właśnie pan ma jej zdjęcie w stroju Ewy.

Nie powiedział ani słowa. Blondynka również milcząca. Dałem im czas, żeby to przetrawili. Powoli twarz Brody'ego przybrała naturalny wygląd. Wydawało się, że zrobiło mu się lżej. Położył rewolwer na końcu stolika stojącego przy fotelu, trzymał jednak blisko niego prawą dłoń. Strząsnął popiół z cygara na dywan i spojrzał na mnie oczami, które zamieniły się w dwie wąziutkie szparki.

— Wydaje mi się, że uważa mnie pan za idiotę — stwierdził.

— Raczej za przeciętnego szantażystę. Niech mi pan odda zdjęcia.

— Jakie zdjęcia?

Potrząsnąłem głową.

— Stawia pan na złą kartę, Joe. Pozowanie na niewinność nic panu nie da. Albo pan był sam owej nocy tam, na miejscu, albo też otrzymał pan zdjęcie od kogoś, kto tam był. Wie pan o tym, że mała tam była, ponieważ kazał pan swojej przyjaciółce przestraszyć panią Regan, że zawiadomi pan policję o morderstwie. Żeby to zrobić musiał pan albo wszystko widzieć, albo też wejść w posiadanie zdjęcia, będąc poinformowanym, gdzie i kiedy zostało zrobione. Niech pan się nie stawia i zacznie działać rozsądnie.

— Muszę dostać trochę pieniędzy — powiedział Brody. Odwrócił głowę, żeby popatrzeć na swoje zielonookie blond szczęście. Niestety, w tej chwili nie była to już zielonooka fascynująca blondynka. Sprawiała raczej wrażenie zdechłego psa.

— Żadnych pieniążków, mój drogi — wyjaśniłem. Spojrzał na mnie ponuro spode łba.

— Jak pań na to wpadł?

Wyciągnąłem portfel i pokazałem mu swoją legitymację.

— Śledziłem Geigera na polecenie mojego klienta. Dlatego też byłem wczoraj w nocy niedaleko jego domu. Słyszałem strzały, dostałem się do środka. Nie widziałem mordercy, ale widziałem całą resztę.

— I trzymał pan głowę na kłódkę? — warknął Brody.

Włożyłem portfel do kieszeni.

— Tak. Przynajmniej do tej pory Dostanę te zdjęcia czy nie?

— Co z książkami? — spytał Brody. — Jak pan wpadł na ślad?

— Jechałem za nimi od sklepu Geigera aż dotąd. Mam nawet świadka.

— Tego skurwysynka?

— Jakiego skurwysynka?

Spojrzał na mnie ponuro.

— Ten gnojek, który pracuje w sklepie. Zwiął, kiedy ciężarówka odjechała. Agnes nie wie, gdzie się zamelinował.

— Bardzo dobrze — stwierdziłem, uśmiechając się do niego. — Ten problem trochę mnie trapił. Czy któreś z was było już w domu Geigera? Przed ostatnią nocą?

— Ani razu — zaprzeczył Brody gwałtownie. — Więc ona twierdzi, że to ja go zastrzeliłem, co?

— Kiedy już będę miał zdjęcia w rękę, może uda mi się jej wytłumaczyć, że jest w błędzie. Nie była całkiem trzeźwa.

Brody westchnął.

— Ona mnie śmiertelnie nienawidzi. Wyrzuciłem ją. Zapłaciła mi oczywiście, ale i tak nie mogłem tego zrobić. Jest zbyt zboczona jak dla takiego zwykłego faceta jak ja. — Poprawił się na krześle. — No dobrze, ale jak będzie z jakąś małą sumką? Jestem zupełnie goły. Musimy jakoś przebrnąć z Agnes przez ten okres biedy.

— Nie za pieniądze mojej klientki.

— Niech pan posłucha...

— Niech pan odda zdjęcia, Brody.

— Do diabła z panem — powiedział. — Wygrał pan. Wstał i włożył rewolwer do wewnętrznej kieszeni.

Lewą ręką pogmerał w płaszczu. Na jego twarzy odbiło się rozgoryczenie. Nagle zabrzmiał dzwonek u drzwi, i to zabrzmiał donośnie.

## Rozdział XV

Dzwonek wyraźnie nie podobał się Brody'emu. Zaciśnął wargi i ściągnął mocno brwi. Jego twarz przybrała ordynarny, przebiegły wyraz.

Dzwonek ciągle śpiewał u drzwi. Przyznam, że i mnie się to nie podobało. Gdyby przypadkiem gośćmi byli Eddie Mars i jego chłopcy, to prawdopodobnie zamieniłbym się w chłodny kawałek padliny, tylko dlatego że znajdowałem się w tym mieszkaniu. Gdyby to była policja, jako wytłumaczenie mojej obecności u Brody'ego mógłbym skierować w ich stronę wyłącznie uprzejmy uśmiech. Gdyby to natomiast był ktoś z przyjaciół Brody'ego — oczywiście zakładając, że w ogóle miał takich — to mogliby się okazać bardziej niebezpieczni od niego.

Dzwonek nie podobał się również blondynce. Podniosła się wzburzona i zamachała ręką. Napięcie nerwowe sprawiło, że jej twarz postarzała się i zbrzydła.

Obserwując mnie bacznie Brody otworzył szufladę w biurku i wyciągnął mały rewolwer z rękojścią z kości słoniowej. Podał go blondynce. Drżąc na całym ciele podeszła do niego i wzięła broń.

— Usiądź obok niego — rozkazał ostrym tonem Brody. — Trzymaj go w szachu, z dala od drzwi. Jeżeli zaczniesz robić dowcipy, zrób to, co będziesz uważała za stosowne. Jeszcze nas nie dostali, dziecińko!

— Och, Joe — jęknęła blondynka. Zbliżyła się do mnie, usiadła na tapczanie i wycelowała rewolwer w moje udo. Histeryczny błysk w jej oczach zupełnie nie przypadł mi do gustu.

Dzwonek przestał dzwonić. Zastąpiło go szybkie, niecierpliwe pukanie. Brody wpakował rękę do kieszeni, w której znajdował się jego colt. Otworzył drzwi lewą ręką. Carmen Sternwood wepchnęła go z powrotem do pokoju, używając w tym celu małego rewolweru, wycelowanego wprost w zaciśnięte usta Brody'ego.

Brody cofnął się przed nią, poruszając ustami, z wyrazem paniki na twarzy. Carmen zatrzasnęła za sobą drzwi, nie zwracając uwagi ani na mnie, ani na Agnes. Kroczyła powoli za Brodym, wysunawszy koniuszek języka spomiędzy zębów. Brody wyciągnął rękę z kieszeni i zaczął wykonywać pojednawcze gesty.

Agnes przeniosła lufę rewolweru ze mnie na Carmen. Momentalnie wyciągnąłem rękę, oplotłem jej palce swoimi, naciskając jednocześnie kciukiem bezpiecznik. Miałem to już z głowy. Broń była zabezpieczona. Nie wypuszczałem jej jednak z dłoni. Stoczyłem milczącą potyczkę, na którą ani Carmen, ani Brody nie zwrócili najmniejszej uwagi. Wreszcie trzymałem broń w swojej ręce. Agnes ciężko oddychała, drżąc na całym ciele. Twarz Carmen była jakby wyrzeźbiona z kości słoniowej. Oddech miała świszczący, a jej głos brzmiał głucho, kiedy powiedziała:

— Oddaj moje zdjęcia, Joe!

Brody przełknął ślinę i spróbował wydobyć z siebie uśmiech.

— Oczywiście, maleńka, oczywiście.

Mówił cichym, stłumionym głosem, tak różnym od głosu, którym przemawiał do mnie, jak różni się dźwięk wydawany przez skuter od hałasu dziesięcotonowej ciężarówki.

— Zastrzeleń Geigera — powiedziała Carmen. — Widziałam to. Oddaj mi moje zdjęcia.

Brody pozieleniał.

— Ej, chwileczkę, Carmen — zawołałem.

Jasnowłosa Agnes nagle odżyła. Skłoniła głowę i wpiła zęby w moją prawą rękę. Zrobiłem trochę hałasu i strząsnąłem ją z siebie.

— Posłuchaj, dziecińko — skowyczał Brody. — Posłuchaj przez chwileczkę...

Blondynka, opluwszy mnie, rzuciła się na moją nogę i spróbowała ją ugryźć. Uderzyłem ją niezbyt mocno kolbą rewolweru w głowę. Osunęła się u moich nóg i oplotła je ramionami. Upadłem na tapczan. Blondynka była silna. Nie wiem, czy sprawiła to miłość, czy strach, czy mieszanina tych uczuć.

Brody usiłował pochwycić mały rewolwer, który znajdował się tak blisko jego twarzy. Żle go jednak ujął. Rozległ się ostry, niespodziewany i niezbyt głośny wystrzał. Kula roztrzaskała szybę w oknie. Brody zajęczał straszliwie, upadł na podłogę i szarpnął Carmen za nogi. Upadła jak kłoda, a mały rewolwer poleciał w kąt pokoju. Brody skoczył na kolana i sięgnął do kieszeni.

Tym razem uderzyłem Agnes w głowę nie starając się o zbytnią delikatność. Kopnąłem ją, by puściła moje nogi i wstałem. — Brody rzucił na mnie okiem. Pokazałem mu rewolwer. Przestał grzebać w kieszeni.

— Mój Boże — jęknął. — Przecież nie pozwoli pan, żeby mnie zabiła.

Zacząłem się śmiać. Śmiałem się jak idiota, nie mogłem zapanować nad sobą. Jasnowłosa Agnes siedziała na podłodze, trzymając ręce na dywanie, z szeroko otwartymi ustami, z kosmykiem metalicznie połyskujących jasnych włosów na prawym oku. Carmen poruszała się na czworakach, sycząc. Jej mały rewolwer połyskiwał w kącie. Czołgała się ku niemu wytrwale.

Skinąłem na Brody'ego trzymaną w ręce spluwą.

— Niech pan wstanie, przecież nic się panu nie stało!

Skoczyłem w stronę raczkującej dziewczyny i podniosłem jej rewolwer. Spojrzała na mnie i zaczęła chichotać. Włożyłem broń do kieszeni i poklepałem ją po grzbiecie.

— Wstawaj, aniołku. Wyglądasz jak pekińczyk.

Z kolei podszedłem do Brody'ego, przytknąłem mu rewolwer do brzucha i wyciągnąłem colta z bocznej kieszeni. Nareszcie zawładnąłem wszelką bronią, jaką wystawiono w tym pokoju na pokaz. Napakowałem sobie nią kieszenie i wyciągnąłem rękę do Brody'ego.

— Dawaj.

Skinął głową, oblizując wargi. W jego oczach wciąż jeszcze czaił się lęk. Wyciągnął z kieszeni grubą kopertę i podał mi ją. Zawierała wywołaną kliszę i pięć odbitek.

— Jest pan pewien, że to wszystko?

Skinął głową. Wsadziłem kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki i odwróciłem się. Agnes powróciła na tapczan i doprowadzała do porządku włosy. Pełnymi wścieklej nienawiści oczami pożerała Carmen. Carmen była już na nogach i zbliżała się do mnie z wyciągniętą ręką, sycząc i chichocząc. W kącikach jej ust ukazała się piana. Małe, białe zęby wyglądały spoza warg.

— Czy mogę je teraz dostać? — spytała z bojaźliwym uśmiechem.

— Przechowam je. Proszę teraz iść do domu.

— Do domu?

Podszedłem do drzwi i wyjrzałem na korytarz. Z hallu ciągnął chłodny, uspokajający powiew. Żaden podekscytowany sąsiad nie wisiał u drzwi. Cichy strzał z rewolweru o małym kalibrze i dźwięk wybitej szyby to odgłosy nie wywołujące większego wrażenia w naszych czasach. Przytrzymałem drzwi i skinąłem na Carmen. Podeszła do mnie, uśmiechając się niepewnie.

— Proszę pójść do domu i poczekać tam na mnie — powiedziałem uspokajającym tonem.

Uniosła kciuk, kiwnęła głową i prześliznęła się koło mnie. Zanim wyszła, dotknęła palcami mojego policzka.

— Zaopiekuje się pan Carmen, prawda? — zagruchała.

— Jasne.

— Pan jest bardzo przystojny.

— Och, to, co pani widzi, to jeszcze nic—powiedziałem. — Na prawym udzie mam wytatuowaną tancerkę z Bali.

Oczy jej się zaokrągliły. Powiedziała: „fe, fe” i pogroziła mi palcem. Wreszcie wyszeptała:

— Czy mogę dostać mój rewolwer?

— Nie teraz. Przyniosę go pani później.

Zarzuciła mi zniecierpliwioną rękę na szyję i pocałowała w usta.

— Pan mi się podoba — powiedziała. — Bardzo pan się podoba małej Carmen.



Przebiegła szybko przez hall, niczym chłopiec goniący drozda, pomachała ręką ze schodów i zniknęła mi z oczu. Wróciłem do mieszkania Brody'ego.

## Rozdział XVI

Przede wszystkim podszedłem do okna i obejrzałem rozbity w dolnej części małą szybkę. Kula Carmen potłukła szkło, ale nie zrobiła dziury. Dziura była w ścianie. Nietrudno było ją dostrzec wprawnym okiem. Zasłoniłem kotarą okno i wyjąłem z kieszeni broń Carmen. Rewolwer miał kaliber 22. Rękojeść zrobiono z macicy perłowej, w którą wciśnięto małą, owalną srebrną płytkę z wygrawerowanym napisem: „Dla Carmen od Owena”. Ta dziewczyna ze wszystkich robiła przestępców.

Włożyłem broń do kieszeni, usiadłem obok Brody'ego i spojrzałem w brązowe, oszołomione oczy. Minęła minuta. Blondynka poprawiała makijaż, posługując się puderniczką. Brody wyrzucał we wszystkie strony kłęby dymu z papierosa.

— Zadowolony pan? — zasyczał.

— Na razie. Dlaczego próbował pan szantażować panią Regan, a nie generała?

— Już go raz wycisnąłem. Sześć czy siedem miesięcy temu. Wydawało mi się, że tym razem wścieknie się i zawiadomi policję.

— Skąd pan wiedział, że pani Regan nic mu nie powie?

Przez chwilę namyślał się, pełen powagi, paląc papierosa i nie spuszczać ze mnie oka. Wreszcie spojrzał na mnie i spytał:

— Czy pan ją dobrze zna?

— Widziałem ją zaledwie dwa razy. Widocznie pan zna ją dużo lepiej, skoro zaryzykował pan ten szantaż.

— Prowadzi światowe życie, bawi się. Przypuszczam, że w jej życiu było wiele ciemnych sprawek, co do których wołałaby pozostawić generała w nieświadomości. Jestem przekonany, że pięć tysięcy dolarów to dla niej drobnostka.

— Niezupełnie ma pan rację — powiedziałem. — Zostawmy to jednak. Jest pan bez grosza, co?

— Zdobywam parę centów co miesiąc i próbuję związać koniec z końcem.

— W jaki sposób zarabia pan na życie?

— Ubezpieczenia. Pracuję w firmie ubezpieczeniowej.

— Pójdzie panu lepiej, kiedy już pan ruszy z nowym interesem. Czy książki są w pana mieszkaniu?

Kłapnął zębami i zamachał ręką. Powoli wracała mu pewność siebie.

— Do cholery, nie! Oddałem je na przechowanie.

— Zamówił pan człowieka, by je tu przywiózł i natychmiast potem sprowadził pan ludzi z firmy zajmującej się przechowywaniem rzeczy, żeby je stąd wywieźć?

— Jasne. Nie chciałem ich przewozić prosto ze sklepu Geigera, nie?

— Bardzo zřęcznie — stwierdziłem z głębokim podziwem. — Nic więcej obciążającego nie ma pan w mieszkaniu?

Spojrzał na mnie z niepokojem i gwałtownie potrząsnął głową.

— To bardzo dobrze — powiedziałem. Spojrzałem na Agnes. Skończyła poprawiać makijaż i przyglądała się teraz ścianie, patrząc oczami bez wyrazu i prawie nie słysząc tego, co mówiliśmy. Widać było po niej zmęczenie, typowe po przeminieciu tak wielkiego napięcia. Brody błysnął wojowniczo oczami;

— No?

— W jaki sposób uzyskał pan zdjęcie?

Spojrzał na mnie ponurym wzrokiem.

— Niech pan posłucha: dostał pan to, czego chciał, i to bardzo tanio. Zrobił pan fajną czystą robotę. Niech pan teraz poleci do swego wspaniałego klienta. Nie mam z tym nic wspólnego. Nie wiem nic o żadnym zdjęciu, prawda Agnes?

Blondynka rozwarła powieki i spojrzała na niego z niejasnym, ale i niezbyt pochlebny wyrazem w oczach.

— Porywczy, ale niekonsekwentny chłopak. Zawsze mi się to trafia. Nigdy na mojej drodze nie stanął mężczyzna trzymający fason od początku do końca. Nigdy.

Uśmiechnąłem się do niej.

— Czy sprawiłem pani dużo bólu?

— Tyle, ile każdy mężczyzna, którego spotkałam.

Spojrzałem znów na Brody'ego. Ugniatał nerwowo papierosa w palcach. Ręce mu leciutko drżały. Tylko twarz, brązowa twarz gracza była jeszcze spokojna.

— Musimy wspólnie obmyśleć jakąś historyjkę — powiedziałem. — Na przykład Carmen. W ogóle jej tu nie było. To bardzo ważne. Nie było jej tu. Widział pan ducha.

Brody zaśmiał się ironicznie.

— Jeżeli pan tak sobie życzy, przyjacielu, no i jeśli... — w tym miejscu wyciągnął rękę i poruszył palcami, jakby liczył pieniądze.

Skinąłem głową.

— Zobaczymy. Możliwe, że znajdzie się jakieś skromne odszkodowanie. Ale niech pan nie liczy na tysiące. W żadnym wypadku. A teraz: skąd pan ma to zdjęcie?

— Jakiś facet wsunął mi je ukradkiem.

— Aha. Jakiś facet, który akurat przechodził ulicą i którego by pan pewnie nie mógł rozpoznać, i którego nigdy w życiu przedtem pan nie widział!

Brody ziewnął.

— Wypadło mu to z kieszeni — mrugnął znacząco.

— Lepiej. Ma pan alibi na tę noc, pokerowa gębo?

— Po prostu byłem tutaj. Z Agnes... Zgoda, Agnes?

— Joe, pan znów zaczyna opowiadać historie, które mnie napawają przykrością.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, otwierając przy okazji szeroko również usta. Papieros wisiał przyklejony do wargi.

— Uważa pan, że jest wielkim cwaniakiem — powiedziałem — ale w rzeczywistości jest pan cholernym głupcem. Jeżeli pan nawet nie zatańczy w St. Quentin gazowej polki, to mimo wszystko czeka pana wiele długich, nudnych i samotnych lat.

Przyklejony do wargi papieros zadrżał. Popiół spadł na marynarkę.

— I pomyśleć, za jakiego pan uważa siebie mądrą!

— Zamknij drzwi z tamtej strony — zawarczał nieoczekiwanie. — Dość mam tej zabawy. Znikaj. Spływaj pan.

— Doskonale. — Wstałem, podszedłem do dębowego biurka, wyjąłem oba rewolwery z kieszeni, ułożyłem je paralelnie na obu końcach suszki, podniosłem kapelusz z podłogi przed tapczanem i poszedłem w kierunku drzwi.

Brody szczechnął:

— Hej!

Odwrociłem się. Papieros poruszył się w jego ustach jak laleczka na sprężynie.

— Między nami wszystko jest w porządku, nie? — spytał.

— Czemu nie? Mieszkamy w wolnym kraju. Nie musi się pan wystrzegać więzienia, jeśli pan tak pragnie się tam dostać. Oczywiście, jeśli jest pan obywatelem Stanów Zjednoczonych. A jest pan?

Patrzył na mnie w milczeniu, miętosząc w ustach papierosa. Jasnowłosa Agnes odwróciła powoli głowę i też mi się przyglądała. W ich oczach czytałem mieszaninę cwaniactwa, zwątpienia i bezsilnej złości. Agnes podniosła gwałtownym ruchem srebrne paznokcie i odrzuciła włosy z czoła, szarpnąwszy je przy tym gwałtownie. Brody odezwał się nagle stłumionym głosem:

— Nie pójdzie pan chyba na policję, stary? W każdym razie nie zrobi pan tego pracując dla Sternwoodów. Wiem zbyt wiele na temat tej rodziny. Ma pan te swoje zdjęcia i na tym sprawa chyba się kończy. Niech pan zjeżdża wreszcie do swego chlebodawcy sprzedać te rewelacje!

— Niech pan się wreszcie zdecyduje — poradziłem. — Powiedział pan, żebyśmy zniknęli. Byłem już w drodze do drzwi, kiedy pan na mnie zawołał. Zatrzymałem się. Teraz znowu mam wyjść. Czego pan właściwie chce?

— Nie ma pan nic na mnie, nie? — powiedział Brody.

— Tylko dwa małe morderstwa. Dwie niewielkie zmiany w pańskim środowisku.

Podskoczył. Prawdopodobnie na kilka centymetrów, ale mnie wydało się, że na kilkadziesiąt. Rozszerzone oczy odsłoniły biel rogówki kontrastującej z pociemniałą tęczówką źrenic. Opalenizna na jego twarzy przybrała zielonkawy odcień. Jasnowłosa Agnes wydała stłumiony, zwierzęcy ryk i schowała głowę między poduszki na tapczanie. Stałem obok i podziwiałem smukłość jej ud.

Brody zwilżył wargi.

— Niech pan siada, stary. Może mam coś jeszcze dla pana. Co ma znaczyć ta ciemna aluzja do dwóch morderstw?

Oparłem się o drzwi.

— Gdzie był pan wczoraj wieczorem około godziny wpół do ósmej, Joe?

Jego wargi poruszyły się gniewnie, ale spuścił oczy na podłogę.

— Obserwowałem pewnego faceta, właściciela znakomitego interesu. Geigera. Chciałem sprawdzić, czy potrzebuje współnika. Chciałem też wykryć, czy ma jakieś poważne powiązania. Odkryłem, że ma wpływowych przyjaciół, w przeciwnym razie nie mógłby prowadzić interesu tak otwarcie. Ale ci ważniacy nie przychodzili do jego domu. Wyłącznie panie.

— Nie obserwował pan zbyt uważnie — powiedziałem. — Co dalej?

— Poprzedniej nocy byłem na ulicy obok domu Geigera. Padał gwałtowny deszcz, tak że uwięziony w samochodzie niewiele widziałem. Jeden samochód stał przed domem Geigera, a drugi trochę dalej, bardziej w górę wzgórza. Dlatego wołałem zostać na ulicy. Tam, gdzie stałem, parkował wielki buick. Po pewnym czasie przeszedłem na drugą stronę i zapuściłem do środka żurawia. Był zarejestrowany na nazwisko Vivian Regan. Ponieważ nic się nie wydarzyło, wyniosłem się. To wszystko □ machnął ręką z papierosem. Badał oczami moją twarz.

— To jest prawdopodobne — zgodziłem się. — Czy pan wie, gdzie teraz znajduje się ten buick?

— Skąd mam wiedzieć?

— W garażu szeryfa. Został wyciągnięty dziś przed południem niedaleko rybackiego mola, z wody głębokiej na około czterdzieści metrów. W samochodzie znaleziono, nieboszczyka. Najpierw został ogłuszony, a potem jego wóz skierowano w stronę mola, włączając ręczny gaz.

Brody oddychał ciężko. Jedną nogą postukiwał rytmicznie o podłogę.

— Boże! Człowieku, przecież nie może mi pan przyszyć tej sprawy — powiedział głucho.

— Dlaczego nie? Przecież pan sam powiedział, że samochód stał przed domem Geigera. Pani Regan nie używała go wczoraj wieczorem. Jej kierowca, młody człowiek o nazwisku Owen Taylor, pojechał nim bez pozwolenia. Pojechał na pogawędkę do Geigera. Był zwariowany na punkcie Carmen i nie podobały mu się zabawy, jakie Geiger z nią uprawiał. Wszedł przez tylne drzwi do domu, trzymając w ręce rewolwer i zobaczył Geigera w momencie, kiedy ten robił zdjęcie nagiej Carmen. Rewolwer wystrzelił — rewolwery zresztą często strzelają. Geiger upadł, a Owen uciekł, zabierając ze sobą negatyw. Pan go śledził, dogonił i odebrał mu zdjęcie. No, bo w jaki jeszcze inny sposób mógł pan je zdobyć?

Brody oblizwał suche wargi.

— No tak, ale to jeszcze nie dowód, że ja go zastrzeliłem. Słyszałem strzały i widziałem mordercę, jak zbiegał po schodach, jak wskoczył do buicka i odjechał. Pojechałem za nim. Pędził na zachód do Sunset. Za Beverly Hills zjechał z szosy i zatrzymał się. Wtedy podjechałem i zabawiłem się w policjanta. Miał rewolwer, ale nie miał zbyt mocnych nerwów, więc go znokautowałem. Przeszukałem jego ubranie i dowiedziałem się, kim jest. Zabrałem kasetę z filmem z czystej ciekawości. Zastanawiałem się, co to wszystko znaczy, kiedy tamten nagle odzyskał przytomność i wyrzucił mnie z samochodu. Znikł mi z oczu, zanim się pozbierałem. Więcej go nie widziałem.

— A skąd pan wiedział, że to Geiger został zastrzelony? — spytałem gburowatym tonem.

Brody wzruszył ramionami.

— Tak przypuszczam, ale mogę się mylić. Kiedy wywołałem kliszę i zobaczyłem, co przedstawia, byłem tego prawie pewien, a kiedy Geiger nie przyszedł dziś rano do swego sklepu i nie odpowiadał na telefony, wszystko stało się dla mnie jasne. Wtedy też pomyślałem, że to najlepsza okazja, by skontaktować się ze Sternwoodami, wyciągnąć trochę pieniędzy na podróż i zniknąć na jakiś czas.

Skinąłem głową.

— To brzmi dość przekonująco. Może rzeczywiście nie brał pan udziału w morderstwie. Gdzie pan ukrył zwłoki Geigera?

Uniósł wysoko brwi i roześmiał się.

— Ta—ta—ta, co pan wygaduje! Myśli pan, że wróciłbym tam, żeby zająć się ciałem, wiedząc, że w każdej chwili może wyjechać zza rogu kilka samochodów pełnych policji? O nie, przyjacielu! Taki frajer to już ja nie jestem.

— Ktoś jednak ukrył zwłoki — powiedziałem.

Brody znów wzruszył ramionami. Uśmiech nie opuszczał jego twarzy. Widziałem, że mi nie wierzy. Kiedy mi się tak przypatrywał z niedowierzaniem, po raz drugi tego wieczoru rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Brody poderwał się gwałtownie, oczy mu stwardniały. Spojrzał na leżący na biurku rewolwer.

— No, to mamy ją znowu — warknął.

— Nawet jeżeli to ona, to tym razem bez broni — pocieszyłem go. — Nie ma pan innych przyjaciółek?

— Jedna mi wystarczy — warknął znowu. — Dostyc mam tej gry w ciuciubabkę.

Pomaszerował do biurka, wziął swojego colta i trzymając go lufą w dół, podszedł do drzwi. Położył lewą rękę na klamce, nacisnął ją, uchylił drzwi i nachylił się ku szparze, trzymając broń przyciśniętą do uda.

— Brody? — spytał jakiś głos.

Brody odpowiedział coś, czego nie dosłyszałem. Zabrzmiały dwa stłumione strzały. Musiały zostać oddane z bardzo bliskiej odległości. Brody osunął się miękko wzdłuż drzwi, które zamknęły się z trzaskiem, pchnięte ciężarem jego ciała. Jego nogi odsunęły dywan z podłogi. Lewa ręka opadła z klamki i bezwładne ramię głucho stuknęło o podłogę. Głowa uderzyła mocno o drzwi. Leżał nieruchomo. Colt tkwił wciąż jeszcze w jego prawej dłoni.

Rzuciłem się przez pokój, odsunąłem ciało na tyle, by przecisnąć się przez drzwi. Jakaś kobieta wyglądała z uchylonych drzwi położonego naprzeciwko mieszkania. Na jej twarzy widać było przerażenie. Wskazała mi ręką z długimi paznokciami na schody.

Rzuciłem się pędem przez hall, ścigając dudniące przede mną na klatce schodowej kroki. Kiedy znalazłem się w hallu drzwi zamykały się właśnie bezgłośnie. Słysząc tylko czyjeś stopy, kłapiące w biegu o płyty chodnika. Popchnąłem drzwi, nim zdążyły się zatrzasnąć i znalazłem się na ulicy.

Wysoki człowiek bez kapelusza, w skórzanej marynarce biegł po jezdni, klucząc między zaparkowanymi samochodami. Odwrócił się i nagle ujrzałem przed sobą płomień. Dwa ciężkie uderzenia trafiły w otynkowaną ścianę tuż obok mnie. Człowiek pobiegł dalej, wyminął dwa samochody i zniknął.

Ktoś zjawił się przede mną i zawołał:

— Co się stało?

— Jakaś strzelanina — odpowiedziałem.

— Boże! — i błyskawicznie czmychnął do hallu. Ruszyłem szybko chodnikiem do mego samochodu, wsiadłem i zapuściłem motor. Jechałem wolno wzdłuż ulicy. Wszystkie zaparkowane po obu stronach ulicy samochody stały ze zgaszonymi silnikami. Wydawało mi się, że słyszę jakieś kroki, ale nie byłem tego pewien. Minąłem dwie przecznice, zawróciłem na skrzyżowaniu i pojechałem z powrotem. W pewnym momencie usłyszałem gdzieś na chodniku przytłumiony gwizd. Zatrzymałem się obok stojącego już na jezdni samochodu, prześliznąłem się między dwoma innymi samochodami i ukryłem się za nimi. Wyciągnąłem z kieszeni mały rewolwer Carmen.

Odgłos kroków stawał się coraz głośniejszy, a pogwizdywanie coraz radośniejsze. W chwilę później zobaczyłem skórzaną marynarkę. Wyszedłem pomiędzy samochodów i spytałem:

— Ma pan ogień?

Młody chłopak odwrócił się do mnie, sięgając prawą ręką do górnej kieszeni marynarki. Jego oczy błyszczały w świetle latarni. Wilgotne, ciemne oczy w kształcie migdałów, osadzone w bladej i przystojnej twarzy, otoczonej czupryną spadających na czoło czarnych włosów. Naprawdę przepiękny chłopak. Chłopak ze sklepu Geigera.

Stał przede mną i przyglądał mi się milcząc, z prawą ręką sięgającą do kieszeni, ale nie zanurzoną, jeszcze w niej dostatecznie głęboko. Trzymałem mały rewolwer lufą w dół, wzdłuż nogi.

— Musiał pan bardzo kochać swój skarb — powiedziałem.

— Odczep się — zaproponował mi łagodnym głosem. Stał spokojnie, unieruchomiony między zaparkowanym samochodem a wysokim na półtora metra parkanem.

W górze ulicy zawyła policyjna syrena. Rzucił nerwowo głową dosłyszawszy ten dźwięk. Przycisnąłem lufę rewolweru do skórzanej marynarki.

— Ja czy gliny? — zapytałem.

Szarpnął głową w bok, jakbym go uderzył.

— Kim pan jest? — warknął.

— Przyjacielem Geigera.

— Z drogi, skurwysynie!

— Ten rewolwer ma bardzo mały kaliber, dziecinko. Mogę ci tak przyładować w pepek, że będziesz mógł chodzić o własnych siłach dopiero za trzy miesiące. Ale wyżyjesz. Tak, żebyś był w stanie dojść do tej nowej fajnej komory gazowej w St. Quentin.

Zaklął szpetnie. Usiłował włożyć rękę głębiej do kieszeni. Przycisnąłem rewolwer mocniej do jego brzucha. Odetchnął głęboko, wyciągnął rękę z kurtki i opuścił ją bezwładnie. Jego szerokie ramiona nagle opadły.

— Czego chcesz? — wyszeptał.

Sięgnąłem do jego marynarki i wyciągnąłem rewolwer.

— Siadaj do samochodu, chłoptysiu. — Szedłem niemal przytulony do jego pleców. Podeszliśmy do samochodu. — Siadaj za kierownicą, mały. Poprowadzisz.

Wśliznął się na siedzenie, a ja zająłem miejsce obok niego.

— Przepuść wozy policyjne. Będą myśleli, że ruszyliśmy, kiedy rozległ się dźwięk syren. Potem pojedziemy do domu.

Włożyłem rewolwer Carmen do kieszeni i przycisnąłem go chłopakowi do żeber. Spojrzałem w tylne okno. Skowyt syren stał się już bardzo głośny. Pośrodku ulicy rosły dwa czerwone światła, zlały się w jedno, kiedy mijał nas ryczący sygnałem policyjny wóz.

— Ruszamy — rozkazałem.

Młodzieniec wykręcił i ruszył w dół ulicy.

— Teraz pojedziemy do domu — zadysponowałem. – Na Laverne Terrace.

Jego piękne usta drgnęły. Skierował samochód na zachód w stronę ulicy Franklina.

— Jesteś naiwniakiem — powiedziałem. — I to łatwym do rozszyfrowania. Jak się nazywasz?

— Karol Lundgren — odparł martwym głosem.

— Zastrześliłeś nie tego co trzeba. Joe Brody nie zabił twojego kochanka.

Wypowiedział dwa niecenzuralne słowa i pojechaliśmy dalej.

## Rozdział XVII

Srebrny półksiężyc ledwie przeświecał przez mgłę pomiędzy wierzchołkami drzew na Laverne Terrace. Z położonego u stóp wzgórza domu rozlegały się głośne dźwięki radia. Młody człowiek prześliznął się przez labirynt żywopłotu przed domem Geigera. Zgasił silnik i siedział z rękami na kierownicy, patrząc wprost przed siebie. Najlżejsze światło nie przeświecało przez żywopłot.

— Jest ktoś w domu, synu? — spytałem.

- Sam powinienesz wiedzieć — odburknął.
- A skąd?
- Od... się.
- Taki sposób prowadzenia rozmowy już niejednego kosztował założenie sztucznej szczęki — zauważyłem.

Zaprezentował niewątpliwie własne zęby w oszczędnym uśmiechu. Kopnął drzwi i wysiadł. Stał z rękami w kieszeniach i spoglądał spoza żywoplotu na drzwi wejściowe.

- No dobra — powiedziałem. — Masz przecież klucz. Wchodzimy.
- Kto ci powiedział, że mam klucz?
- Nie rób ze mnie głupiego, synu. Twój pieszczoszek dał ci. Masz tu przecież sympatyczny i schludny męski pokój. Przeganiał cię wprawdzie z niego, kiedy spodziewał się damskiej wizyty. Był jak Cezar: mężem dla kobiet, żoną dla mężczyzn. Wyobraź sobie, młodzieńcze, że bez pudła rozpoznają członków tego bractwa.

Trzymałem rewolwer wciąż jeszcze wycelowany mniej więcej w jego stronę, ale mimo to rzucił się na mnie. Zarobiłem cios w podbródek. Udało mi się odskoczyć na tyle szybko, by nie upaść, ale i tak poczułem uderzenie. Zadał je z całą siłą, ale na szczęście pederasty nie mają żelaznych pięści, nawet jeśli na to wyglądają.

Rzuciłem chłopcu rewolwer pod nogi i powiedziałem:

- Tego ci trzeba?

Pochylił się z szybkością błyskawicy. Nie było nic zniewieściałego w tym ruchu. Opuściłem pięść na jego szyję. Powalił się na bok, próbując sięgnąć po broń. Leżała jednak za daleko. Podniosłem rewolwer i wrzuciłem go do samochodu. Młodzieniec stanął na czworakach, patrząc z ukosa rozszerzonymi oczami. Kaszłał i potrząsał głową.

- Nie chcesz walczyć? — prowokowałem. — Boisz się, że stracisz na wadze?

Chciał walczyć. Wyskoczył jak strzała wypuszczona z cięciwy i próbował schwycić mnie za kolana. Odskoczyłem w bok, złapałem go za szyję i wziąłem, według wszelkich zasad klasycznej sztuki, w krawat. Kopał nogami, skrobiąc wokół błoto, miał jednak na tyle swobody w rękach, że okładał mnie nimi po wszelkich możliwych miejscach. Zacisnąłem chwyt. Złapałem lewą ręką nadgarstek prawej, uniosłem prawe biodro i przez moment zastygliśmy tak w bezruchu. Wyglądaliśmy jak zawieszona w mglistym świetle księżycy dwie groteskowe figury, szurające stopami po drodze i dyszące z wysiłku.

Trzymałem teraz prawe przedramię na jego tchawicy i naciskałem na nią całą siłą obu rąk. Powoli jego nogi zaczęły się osuwać, a oddech cichnąć. Był jak zakuty. Lewa noga osunęła się bezwładnie na ścieżkę, kolana mu zmiękły. Przetrzymałem go tak kilkadziesiąt sekund. Osunął się w moje ramiona, stał się bardzo ciężki, tak że z trudem go utrzymywałem. Wreszcie puściłem go. Rozciągnął się u moich nóg. Podeszedłem do samochodu i wyjąłem ze skrytki na dokumenty parę ręcznych kajdanek. Wykręciłem mu ręce do tyłu i zatrzasnąłem kajdanki. Wziąłem go pod pachy, podniosłem i oparłem o żywoplot tak, by nie był widziany z ulicy. Sam siadłem za kierownicą i odprowadziłem samochód kilkaset metrów w górę ulicy.

Kiedy wróciłem, młodzieniec był ciągle jeszcze nieprzytomny. Otworzyłem drzwi, wciągnąłem go do hallu i zatrzasnąłem drzwi. Zaczął głębiej oddychać. Włączyłem lampę. Jego oczy zamrugały, otwierając się i spróbował skupić wzrok na mnie.

Pochyliłem się nad nim, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości od jego głowy i kolan, i powiedziałem:

— Zachowuj się spokojnie, bo oberwiesz tyle samo albo i więcej. Po prostu leż spokojnie i wstrzymuj oddech. Wstrzymuj go tak długo, jak tylko możesz, aż poczujesz, że twarz ci czernieje, a oczy wychodzą z orbit i że musisz zaczerpnąć powietrza właśnie teraz, tyle tylko że właśnie teraz siedzisz przywiązany do krzesła w małej, schludnej komorze gazowej w St. Quentin i walczysz ze wszystkich sił, by tego nie zrobić, bo płuca wypełnia ci nie powietrze lecz cyjanowodór. I to jest właśnie to, co w naszym stanie nazywa się humanitarnym straceniem przestępcy.

— Od... się — powiedział z westchnieniem, łagodnym, osłabionym głosem.

— Bądź spokojny, chłopcze — poradziłem. — Jeszcze zmiękniesz. I opowiesz akurat wszystko to, co chcemy wiedzieć, mało tego, nie opowiesz niczego, co nas nie interesuje.

— Od... się.

— Powtórz to jeszcze raz, a ułożę cię do dłuższego snu.

Wargi mu zadrgały. Pozostawiłem go leżącego na podłodze z nadgarstkami skutymi na plecach, z policzkiem przyciśniętym do dywanu, ze zwierzęcą nienawiścią w błyszczących oczach. Zapaliłem jeszcze jedną lampę i wszedłem do korytarza położonego na tyłach salonu. Sypialnia Geigera sprawiała wrażenie nietkniętej. Nacisnąłem klamkę drzwi prowadzących do pomieszczenia naprzeciwko sypialni. Tym razem nie były zamknięte na klucz. W pokoju panował chwiejny półmrok, a w powietrzu unosił się zapach drzewa sandałowego. Na niewielkiej mosiężnej tacy stojącej na komodzie leżało kilka wypalonych kadzideł. Dwie wysokie, czarne świece, umieszczone w ozdobnych, stojących na krzesłach z wysokimi oparciami lichtarzach, dawały przyćmione światło.

Ciało Geigera leżało na łóżku. Dwa zerwane ze ściany pasy chińskiej makaty były ułożone w kształcie krzyża świętego Andrzeja na środku ciała i przykrywały zakrwawioną część chińskiego kaftana. Dalej spoczywały sztywne, wyprostowane nogi, ubrane w czarną piżamę. Stopy obute były ciągle w chińskie pantofle na grubych, filcowych podszwach. Ramiona miał skrzyżowane na dwóch kawałkach chińskiego jedwabiu, skrzyżowane nadgarstki rąk leżały bezwładnie na barkach, palce rąk były wyprostowane i ściśle do siebie przylegały. Usta miał zaciśnięte, a wąsiki a la Charlie Chaplin wyglądały groteskowo, jakby były doklejone. Szeroki nos był przeraźliwie blady, powieki niedomknięte, pomiędzy nich rzucało słabe błyski i mrugało do mnie w świetle świec szklane oko.

Nie dotknąłem go. Nie podszedłem nawet bliżej. Wiedziałem, że był zimny jak lód i sztywny jak deska.

Czarne świece migotały w przeciągu, który wywoływały otwarte drzwi. Czarne krople wosku spływały na lichtarze. Powietrze w pokoju było ciężkie, trujące. Wyszedłem, zamknąłem za sobą drzwi i wróciłem do salonu. Chłopak nie poruszył się nawet. Stałem cicho i nasłuchiwałem dźwięku syren. Wszystko zależało od tego, jak szybko Agnes zacznie mówić i co powie. Jeśli wymieni nazwisko Geigera, policja zjawi się w jednej chwili. Może jednak przez wiele godzin będzie milczała. Może nawet udało jej się uciec z mieszkania Brody'ego.

Spojrzałem znów na młodzieńca.

— Nie chciałbyś usiąść, synu?

Zamknąłem oczy i udawał, że zasypia. Podszedłem do biurka, wyciągnąłem aparat telefoniczny w kolorze morwy i nakręciłem numer Berniego Ohlsa. Wyszedł do domu o szóstej. Nakręciłem jego domowy numer. Natychmiast podniósł słuchawkę.

— Tu Marlowe — powiedziałem. — Czy pańscy chłopcy znaleźli dziś rano u Owena Taylora rewolwer?



Słyszałem, jak odchrząknął, i słyszałem, że starał się opanować głos, aby nie okazać zaskoczenia.

— Odpowiedź na to pytanie znajdzie pan rano w prasie w sprawozdaniu policyjnym — odpowiedział.

— Jeżeli go znaleźli, to były w nim trzy puste gilzy, prawda?

— Skąd pan, u diabła, o tym wie? — spytał spokojnie Ohls.

— Niech pan przyjedzie na Laverne Terrace, numer; 7244. Pokażę panu, w co weszły kule.

— Tak po prostu, co?

— Właśnie, po prostu — przytaknąłem.

— Niech pan wyjrzy przez okno, a zobaczy pan, jak wyjeżdżam zza rogu — powiedział Ohls. — Mam nadzieję, że tym razem działał pan trochę ostrożniej niż zwykle — dodał.

— Ostrożnie to może nie jest tutaj najważniejsze słowo — odparłem.

## Rozdział XVIII

Ohls stał koło mnie i przyglądał się chłopakowi, który siedział na tapczanie, oparty o ścianę. Ohls obserwował go milcząc, a jego bezbarwne, nastroszone, sztywne brwi zaokrągliły się.

— Czy przyznaje się pan, że zastrzelił Brody'ego?

Chłopak wypowiedział aksamitnym głosem swoje ulubione przekleństwo.

Ohls westchnął i spojrzał na mnie.

— Nie musi się do tego przyznawać — powiedziałem. — Mam jego rewolwer.

— O Boże! — westchnął Ohls. — Szkoda, że nie dostaję dolara za każdym razem, kiedy ktoś mi w ten sposób melduje o przestępstwie. Trochę to dziwaczne, nie?

— Nie widzę w tym nic dziwnego.

— A ja tak — stwierdził Ohls i odwrócił się. — Zadzwoń do Wilde'a. Pojedziemy tam teraz i weźmiemy ze sobą tego bękarta. Może jechać ze mną, a pan pojedzie za nami jako ubezpieczenie, na wypadek gdyby próbował dać mi po łbie.

— Jak podoba się panu ta sypialnia obok?

— Nadzwyczajnie — odpowiedział Ohls. — W pewnym sensie jestem zadowolony, że ten szczeniak Taylor wyleciał z mola. Nie byłbym szczególnie zadowolony posyłając go do komory gazowej za zlikwidowanie tego bydlaka.

Wszedłem jeszcze raz do sypialni, zdmuchnąłem czarne świece i zamknąłem drzwi. Wyszedłem, pozostawiając za sobą smużkę dymu unoszącą się ze zgaszonych knotów. Kiedy znalazłem się znów w jadalni, Ohls stawił właśnie chłopaka na równe nogi. Tamten przyglądał mu się zwężonymi czarnymi oczami, ze stwardniałą twarzą, bladą i zimną niczym zamrożony kawałek baraniego łożu.

— Idziemy — powiedział Ohls, ujmując go pod ramię w taki sposób, jakby się nim brzydził.

Zgasilem lampy i wyszedłem za nimi z domu. Wsiadliśmy do samochodu i pojechałem za Ohlsem — dwa bliźniacze światła odblaskowe, toczące się w dół długiego, nierównego wzgórza. Miałem nadzieję, że jest to moja ostatnia wyprawa na Laverne Terrace.

Taggart Wilde, prokurator rejonowy, mieszkał na rogu Czwartej Ulicy i parku Lafayette'a w białym murowanym domu, wielkim jak remiza tramwajowa, z czerwoną kamienną bramą wjazdową, za którą ciągnęło się kilka akrów dobrze utrzymanego trawnika. Był to jeden z tych

solidnych, staromodnych domów, które ostają się w bardziej nowoczesnym otoczeniu rozrastającego się miasta. Wilde pochodził ze starej kalifornijskiej rodziny, która mieszkała w Los Angeles prawdopodobnie jeszcze wtedy, gdy miasto to było tylko zwykłą osadą.

Przed domem stały dwa samochody: wielka czarna limuzyna oraz wóz policyjny, w którym siedział rozciągnięty kierowca w mundurze, pałac papierosa. Ohls podszedł do niego, powiedział mu coś i kierowca zaczął obserwować chłopaka siedzącego w samochodzie Ohlsa.

Podeszliśmy do domu i nacisnęliśmy dzwonek u drzwi. Otworzył nam schludnie przystrzyżony mężczyzna i poprowadził nas przez hall i wielki ciemny salon do jeszcze jednego hallu. Zapukał do drzwi, otworzył je na oścież i przytrzymał przed nami. Znaleźliśmy się w ozdobionym witrażami gabinecie, którego ogromne, otwarte okno wychodziło na ciemny o tej porze ogród, z majaczącymi tajemniczo kształtami drzew. Spoza okna dochodził zapach kwiatów i mokrej ziemi. Na ścianach wisiały ciemne olejne portrety, regały ugięły się od książek, stało też kilka wygodnych foteli. Nad wszystkim unosił się zapach dobrych, drogich cygar.

Taggart Wilde siedział za biurkiem. Otyły mężczyzna w średnim wieku, o jasnoniebieskich oczach, które sprawiały wrażenie przyjaznych, choć w gruncie rzeczy takie nie były. Przed nim stała filiżanka czarnej kawy, w lewej ręce trzymał schludnymi, zadbanymi palcami cienkie cygaro.

Obok biurka, w niebieskim, skórzanym fotelu, siedział mężczyzna o ostrych rysach twarzy i zimnych oczach, chudy jak patyk i odpychający jak właściciel lombardu. Gładka skóra na twarzy wyglądała tak, jakby się dopiero co ogolił. Nosił doskonale odprasowany brązowy garnitur, w krawacie tkwiła czarna perła. Miał długie, szczupłe palce intelektualisty. Sprawiał wrażenie gotowego przyjąć każde wezwanie.

Ohls przysunął sobie do biurka krzesło i usiadł na nim.

— Dobry wieczór, panie Cronjager. To jest Philip Marlowe, prywatny detektyw. Akurat wdepnął w niezłą awanturę — uśmiechnął się.

Cronjager spojrzał na mnie nie witając się. Oglądał mnie bezceremonialnie, jakby patrzył na zdjęcie. Wreszcie skinął ledwie dostrzegalnie głową.

— Niech pan siada, Marlowe — powiedział Wilde. — Spróbuję wydobyć coś od kapitana Cronjagera, ale wie pan, jak to jest.

Usiadłem i zapaliłem papierosa, Ohls zwrócił się do Cronjagera:

— Czego dowiedział się pan na temat morderstwa przy Randall Place?

Cronjager wygiął kciuk tak, że coś mu strzeliło w stawie. Powiedział nie podnosząc oczu:

— Jeden trup, dwie kule. Dwa rewolwery, z których nie strzelano. W dole ulicy blondynka, usiłująca odjechać samochodem, który nie należał do niej. Jej własny stał zresztą obok. Tej samej marki. Zachowywała się bardzo histerycznie, więc moi ludzie aresztowali ją. Podczas przesłuchania zaczęła sypać. Była w mieszkaniu, kiedy Brody dostał te kule. Twierdzi, że nie widziała mordercy.

— To wszystko? — spytał Ohls.

Cronjager uniósł lekko brwi.

— Przecież to wydarzyło się zaledwie godzinę temu. Czego się pan spodziewa? Filmu ze sfotografowanym morderstwem?

— Może chociażby sylwetki mordercy — zauważył Ohls.

— Wysoki młody facet w skórzanej kurtce... jeżeli można to nazwać opisem.

— Siedzi w moim samochodzie — powiedział Ohls. — Jest w kajdankach. Marlowe załatwił już tę drobnostkę za pana. To jego rewolwer. — Ohls wyciągnął broń chłopaka z kieszeni i położył w rogu biurka. Cronjager przyjrzał się rewolwerowi nie dotykając go.

Wilde chrząknął. Oparł się wygodniej o fotel i podniósł do ust cygaro. Pochylił się do przodu, by upić łyk kawy ze stojącej przed nim filiżanki, następnie wyjął z wewnętrznej kieszeni surduta jedwabną chusteczkę, otarł nią wargi schował ją z powrotem.

— Wchodzą tu w grę jeszcze dwa morderstwa — powiedział Ohls, szczypiąc skórę na końcu podbródka.

Kapitan Cronjager wyraźnie zeszywniał. Jego ponure oczy zamieniły się w dwa stalowe ostrza.

Ohls ciągnął dalej:

— Słyszał pan o samochodzie, który wyciągnięto dzisiaj rano z martwym facetem w środku? Cronjager zaprzeczył. Jego twarz wciąż miała ten sam odpychający wyraz.

— Zabity był kierowcą w pewnej bardzo bogatej rodzinie — wyjaśnił Ohls. — Szantażowano ich z powodu sprawek jednej z córek. Prokurator Wilde polecił owej rodzinie pana Marlowe. Marlowe mocno nadstawiał karku w tej całej sprawie, panie Cronjager.

— Uwielbiam prywatnych detektywów, którzy przy tego rodzaju sprawach nadstawiają karku — warknął Cronjager. — Nie musi pan przedstawiać tego wszystkiego z taką cholerną skromnością, Ohls.

— Naprawdę? — zapytał Ohls. — Wcale nie zamierzałem być taki cholernie skromny. Nie tak znowu często mam okazję być cholernie skromny wobec policji miejskiej. Na ogół tracę zbyt wiele czasu, by kierować pańskimi krokami, a to po to, by pan i pańscy podwładni nie połamali sobie nóg przypadkiem!

Cronjagerowi zbiełały nozdrza. Oddychał z lekkim świstem, doskonale słyszalnym w cichym pokoju. Powiedział niezwykle cicho:

— Nie musi pan uczyć moich ludzi, co mają robić, cwaniaku.

— O! o tym to się jeszcze przekonamy — odparł Ohls. — Kierowca, o którym mówiłem i który zatonął przy Lido, zastrzelił ostatniej nocy człowieka. Na pańskim terenie, kapitanie. Człowieka o nazwisku Geiger, właściciela interesu z pornograficzną literaturą, mieszczącego się przy jednej z głównych ulic Hollywood. Geiger mieszkał razem z bubkiem, który siedzi w moim samochodzie. To znaczy, chciałem powiedzieć: żył z nim, żeby już wszystko było dla pana jasne.

Cronjager spojrział na Ohlsa poważnie.

— Wygląda na to, że cała ta sprawa może się rozrosnąć do bardzo brzydkiego skandalu — powiedział.

— Z własnego doświadczenia wiem, że do brzydkich skandali rozrasta się większość spraw prowadzonych przez policję — warknął Ohls i zwrócił w moją stronę swoje nastroszone brwi. Pański czas nadawania, Marlowe. Niech pan to opowie.

Opowiedziałem.

Opuściłem jednak dwie sprawy, chociaż nie bardzo wiedziałem dlaczego. Wizytę Carmen w mieszkaniu Brody'ego i popołudniową wizytę Ediego Marsa w domu Geigera. Resztę wydarzeń przedstawiłem dokładnie tak, jak miały miejsce.

Kapitan Cronjager nie spuszczał ze mnie wzroku ani przez chwilę. Ale żadne uczucie nie zmieniło rysów tej twarzy, podczas trwania mojej opowieści. Kiedy zakończyłem, milczał przez

dłuższą chwilę. Wilde milczał również. Od czasu do czasu wypuszczał dymek ze swego cygara i podnosił do ust filiżankę kawy. Ohls z zainteresowaniem przyglądał się swemu kciukowi.

Kapitan Cronjager odchylił się w fotelu, założył nogę na nogę i oplótł nerwowymi palcami kolano. Jego szczupła twarz zmarszczyła się w ponurym grymasie. Zwrócił się do mnie z zabójczą grzecznością:

— A więc pański bohaterski wyczyn polegał na nie meldowaniu policji o morderstwie, które wydarzyło się w nocy, a potem na zachowywaniu milczenia w ciągu następnego dnia, co w konsekwencji doprowadziło do tego, że bobasek Geigera miał możliwość popełnić dziś wieczorem kolejne morderstwo?

— Tak to wygląda — przyznałem. — Byłem w dość trudnej sytuacji. Prawdopodobnie zapomniałem o czymś, ale musiałem myśleć o tym, że przede wszystkim powinienem ochraniać swoją klientkę, a poza tym nie mogłem przewidzieć, że chłopak będzie strzelał do Brody'ego.

— To przewidzieć może wyłącznie policja, Marlowe — stwierdził ironicznie Cronjager. — Gdybyśmy natychmiast dowiedzieli się o śmierci Geigera, to książki z jego sklepu nigdy nie dotarłyby do mieszkania Brody'ego. Szczeniak nie poszedłby za śladem i nie zastrzeliłby go. Nawiasem mówiąc, dni Brody'ego były i tak policzone. Tak zwykle bywa z facetami tego rodzaju. Mimo to życie jest życiem.

— Zgoda — potwierdziłem — ale niech pan to powie swoim policjantom następnym razem, kiedy zastrzelą przerażonego drobnego złodziejaszka, uciekającego ze skradzioną książeczką oszczędnościową po ulicy.

Wilde uderzył donośnie obiema rękami o blat biurka.

— Dostyc tego — przerwał. — Dlaczego jest pan zupełnie przekonany, Marlowe, że Taylor zastrzelił Geigera? Nawet jeśli broń, z której został zastrzelony Geiger, znajdowała się w kieszeni Taylora czy w jego samochodzie, nie ma pewności, że właśnie on był mordercą. Rewolwer mógł być podsunęty, powiedzmy przez Brody'ego, który był faktycznym mordercą.

— Fizycznie taka sytuacja jest możliwa, ale psychologicznie zupełnie nieprawdopodobna — zaprotestowałem. — Zbyt wiele zbiegałoby się tu przypadków, nie ma to też żadnych podstaw, jeśli wziąć pod uwagę charakter Brody'ego i jego dziewczyny albo też plany, jakie snuł Brody. Rozmawiałem z Brodym bardzo długo. Był drobnym rzeźmieszkiem, ale z pewnością nie mordercą. Miał dwa rewolwery, ale żadnego nie nosił przy sobie. Szukał sposobu, żeby wtrzyąć się do interesu Geigera, o którym przecież wszystko wiedział, dzięki swojej dziewczynie. Opowiedział mi, że od dłuższego czasu obserwował Geigera, żeby dowiedzieć się, kto go osłania. W to wierzę, ale wierzyć, że zastrzelił Geigera po to, by zdobyć jego książki, uciekł z kompromitującym zdjęciem, które Geiger zrobił Carmen Sternwood, a później podłożył rewolwer w samochodzie Taylora i wreszcie strącił ten samochód do oceanu — to znaczy zakładać cholernie wiele wiążących się ze sobą okoliczności, zbyt wiele, by mogły być prawdziwe. Taylor miał motyw: zazdrość i miał możliwość zabicia Geigera. Bez zezwolenia swoich chlebodawców wziął należący do nich samochód. Zastrzelił Geigera na oczach dziewczyny, czego nigdy nie zrobiłby Brody, nawet gdyby rzeczywiście był mordercą. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś, kto miał z Geigerem interesy natury czysto handlowej, mógł zrobić coś podobnego. Taylor natomiast tak. Zmusiło go do tego kompromitujące zdjęcie Carmen Sternwood.

Prokurator Wilde chrząknął i spojrzał przeciągle na kapitana Cronjagera. Cronjager wydał z siebie coś w rodzaju parsknięcia, Prokurator Wilde spytał:

— Co to za sprawa z tym, ukryciem zwłok? Nie widzę i w tym żadnego sensu.

— Prawdopodobnie zrobił to ten mały—stwierdziłem— chociaż nic na ten temat jeszcze nie powiedział. Brody nie przestąpił progu domu Geigera, po tym jak ten został zastrzelony. Chłopak wrócił prawdopodobnie w tym czasie, kiedy odwoziłem do domu Carmen. Naturalnie bał się policji. Był przecież homoseksualistą. Uważał pewnie za dobry pomysł ukrycie zwłok do czasu zabrania wszystkich swoich rzeczy. Jak wskazywały ślady na dywanie, wywlókł zwłoki przez frontowe drzwi i położył je w garażu. Następnie zapakował wszystko to, co do niego należało i wyniósł rzeczy. Dopiero później w nocy, nim trup zeszywniał, ruszyło go sumienie, że nie postąpił jak należy wobec swego ukochanego. Wtedy wrócił, wciągnął go z powrotem do mieszkania i ułożył na łóżku. Naturalnie, to są tylko moje przypuszczenia.

Prokurator Wilde skinął głową.

— Dziś rano udał się do sklepu, jakby nic się nie wydarzyło. Oczywiście, miał się na baczności. Kiedy Brody kazał odesłać książki, chłopak dowiedział się, jakie jest miejsce ich przeznaczenia. Wówczas doszedł do przekonania, że ten człowiek właśnie dla książek zastrzelił Geigera. Możliwe, że wiedział dużo więcej o Brodym i o dziewczynie, niż tamci się spodziewali. Jak się panu wydaje, Ohls?

— Dowiemy się tego — odpowiedział Ohls. — Ale to i tak nie rozwiąże kłopotów kapitana Cronjagera. Dręczy go fakt, że wszystko wydarzyło się ubiegłej nocy, a on dowiedział się dopiero teraz.

— Myślę, że znajdę jakiś sposób, żeby sobie z tym poradzić — powiedział kwaśno kapitan. Rzucił na mnie szybkie spojrzenie i natychmiast odwrócił wzrok.

Prokurator Wilde strząsnął popiół z cygara i powiedział:

— No więc, niech pan pokaże eksponaty, Marlowe.

Opróżniłem kieszenie i położyłem na biurku: trzy weksle in blanco, wizytówkę Geigera przeznaczoną dla generała Sternwooda, zdjęcia Carmen, niebieski notatnik z napisanymi sztyfem nazwiskami i adresami. Klucze Geigera oddałem już Ohlsowi.

Prokurator Wilde obejrzał to wszystko, cały czas pykając cygaro. Ohls także zapalił jedno z tych swoich krótkich cygar i siedział, wypuszczając spokojnie kłęby dymu aż pod sufit. Kapitan Cronjager oparł się o biurko, przyglądając się temu, co położyłem przed prokuratorem.

Wilde puknął palcem w trzy podpisane przez Carmen weksle.

— Myślę, że były to tylko próbne balony. Gdyby generał Sternwood wykupił weksle, byłoby to dowodem, że obawia się czegoś dużo gorszego. Dopiero wówczas Geiger przykręciłby śrubę. Czy wie pan, czego boi się generał Sternwood? — popatrzył na mnie. Pokręciłem przecząco głową.

— Opowiedział pan nam wszystko, ze wszystkimi szczegółami? — zapytał prokurator.

— Opuściłem tylko kilka spraw czysto osobistych. Chciałbym je w dalszym ciągu zachować dla siebie, panie prokuratorze.

Kapitan Cronjager powiedział „ha!” i westchnął z głębokim zaangażowaniem.

— Dlaczego? — indagował spokojnie prokurator.

— Dlatego, że mój klient ma prawo do ochrony wobec każdej władzy, aż do sądu przysięgłych. Posiadam licencję zezwalającą mi na uprawianie zawodu prywatnego detektywa. Wydaje mi się, że określenie „prywatny” ma jakieś znaczenie. Policja hollywoodzka ma do zbadania dwa morderstwa, oba już rozwikłane. W obydwu znany jest morderca i motyw. W rękach policji znajduje się także narzędzie zbrodni. Szantaż natomiast nie powinien być ujawniany tak długo, dopóki nazwy pewnych organizacji są zamieszane w tę sprawę.

— Dlaczego? — spytał znów Wilde.

— W porządku — powiedział sucho Cronjager. — Jesteśmy zachwyceni, że możemy oddać szacunek panu prywatnemu detektywowi za jego bohaterskie czyny.

— Chciałbym panu coś pokazać — powiedziałem.

Wstałem, wyszedłem z budynku i wziąłem z samochodu książkę, którą odebrałem klientowi Geigera. Umundurowany kierowca stał obok samochodu Ohlsa. Chłopak siedział w środku, wygodnie rozparty.

— Powiedział coś? — spytałem.

— Zrobił mi propozycję — wyjawiał policjant spluwając. — Puściłem ją jednak mimo uszu.

Wróciłem do domu, położyłem książkę na biurku Wilde i rozwinąłem papier, w który była zapakowana. Kapitan korzystał właśnie z telefonu stojącego w rogu biurka. Odwiesił słuchawkę w chwili, kiedy wchodziłem do pokoju.

Wilde przejrzał książkę z kamienną twarzą, zamknął ją i podsunął kapitanowi. Ten otworzył ją, przerzucił kilka stron i gwałtownie zatrzasnął. Na policzkach wystąpiły mu duże czerwone plamy.

— Niech pan przestudiuje stempelek z datami na wewnętrznej stronie okładki — poradziłem.

Kapitan znów otworzył książkę i spytał niechętnie:

— No i co z tego?

— Jeżeli zajdzie potrzeba, zeznam pod przysięgą, że książka ta pochodzi ze sklepu Geigera. Blondynka o imieniu Agnes będzie również musiała zeznać, jaki charakter miał ten sklep. Dla każdego człowieka, który ma choć trochę oleju w głowie, jest jasne, że sklep był tylko pretekstem dla zupełnie innej działalności. Hollywoodzka policja, pozwalając na prowadzenie takiego sklepu, powinna kierować się jakimiś specjalnymi powodami. Ośmielam się przypuszczać, że sąd przysięgłych będzie chciał znać te powody.

Prokurator uśmiechnął się.

— Sądy przysięgłych rzeczywiście stawiają niekiedy takie bolesne pytania... — powiedział.

— W daremnym raczej wysiłku, by dowiedzieć się, dlaczego nasze miasta są takie a nie inne...

Kapitan Cronjager zerwał się nagle na równe nogi i nałożył kapelusz.

— Jestem tu jeden, przeciwko trzem — warknął. — Stoję na czele wydziału morderstw. To że Geiger zajmował się pornograficzną literaturą, to nie mój interes. Ale muszę przyznać, że sprawa ta postawi w złym świetle także mój wydział, jeżeli gazety zabiorą się do prania brudów. Czego wy właściwie, panowie, chcecie? Wilde spojrział na Ohlsa, który powiedział spokojnie:

— Chcę panu przekazać aresztowanego. Proszę za mną.

Ohls wstał. Kapitan spojrział na niego dziko i wyszedł z pokoju. Ohls ruszył za nim. Kiedy drzwi się zamknęły, prokurator zabębnił palcami o blat biurka i skierował na mnie swoje jasnyniebieskie oczy.

— Musi pan zrozumieć, co czuje policjant, kiedy musi zatuszować coś takiego. Być może będzie musiał pan złożyć oświadczenie... nawet z wpisaniem go do akt. Mimo to sądzę, że uda mi się rozdzielić te dwa morderstwa i nie mieszać do sprawy nazwiska generała Sternwooda. Czy pan wie, dlaczego właściwie nie wytargałem pana za ucho?

— Nie. Spodziewałem się, że oberwie mi pan oba.

— Ile pan zarabia na tym wszystkim?

— Dwadzieścia pięć dolarów dziennie i koszty.

— Czyli, jak dotychczas wyniosło to pięćdziesiąt dolarów plus kilka groszy na benzynę?

— Coś koło tego.

Przechylił głowę na jedno ramię i potarł grzbietem małego palca skórę na podbródku.

— I za tę sumę jest pan gotów napytać sobie biedy z nierespektowanie połowy przestrzeganych w tym kraju przepisów prawa?

— Nie robię tego chętnie — odpowiedziałem. — Ale jak do diabła, mogę postąpić inaczej? Przyjąłem sprawę. Sprzedaję to, co mam do sprzedania, by zarobić na życie Mam troszkę odwagi i inteligencji, którą dała mi opłacalność, i jestem gotów walczyć do ostatka, nie zważając na konsekwencje, żeby ochronić mojego klienta.. Jeśli chodzi o tuszowanie spraw, to sam byłem policjantem, jak pan wie, panie prokuratorze. Robi się to nagminnie w każdym dużym mieście. Policja jest normalnie bardzo zasadnicza, jeśli tak zwany amator pragnie coś zatuszować, a sama robi to co drugi dzień, żeby zadowolić swoich przyjaciół albo kogoś, kto ma wpływy. Nie załatwiłem jeszcze całej sprawy. Wciąż ją prowadzę. I w dalszym ciągu będę działał tak, jak działałem, naturalnie jeśli będzie to konieczne.

— Niech się pan liczy z tym, że kapitan Cronjager odbierze panu licencję — mruknął prokurator. — Powiedział pan, że kilka spraw osobistych zachowa pan w tajemnicy. Czy są bardzo ważne?

— Jeszcze ciągle nie zakończyłem swojej misji — powiedziałem i spojrzałem mu prosto w oczy.

Prokurator Wilde uśmiechnął się otwartym uśmiechem Irlandczyka.

— Chciałbym panu coś powiedzieć, mój chłopcze. Mój ojciec był bardzo zaprzyjaźniony z generałem Sternwoodem. Zrobiłem wszystko, na co pozwala mój urząd, a być może nawet więcej, żeby uchronić starszego pana od trosk. Ale na dłuższą metę to niemożliwe. Jego dwie córki po prostu muszą prędzej czy później uwikłać się w cos takiego, czego nie będzie można zatuszować, szczególnie ten słodki blond bachor. Nie powinny być nigdzie puszczane bez dozoru. Muszę to wytknąć generałowi. Wydaje mi się, że nie ma pojęcia, jaki jest dzisiejszy świat. Jest jeszcze jedna sprawa, którą pragnę z panem omówić, korzystając z okazji, że jesteśmy sam na sam i że nie muszę traktować pana urzędowo. Mogę się założyć o jednego dolara przeciwko kanadyjskiemu centowi, że generał obawia się, iż jego zięć, były przemytnik alkoholu, jest zamieszany w jakiś sposób w całą sprawę i angażując pana, pragnie uzyskać potwierdzenie, że tak nie jest. Co pan o tym myśli?

— To, co słyszałem o Reganie, nie pozwala myśleć o nimi jak o szantażyście. Miał tam przecież gniazdko uwite w puchu, a mimo to odszedł.

— Jak miękki był ten puch — wtrącił prokurator — nie możemy wiedzieć ani pan, ani ja. Należał do tego rodzaju mężczyzn, dla których puch jest za miękki. Czy generał powiedział panu, że poszukuje Regana?

— Powiedział mi, że chętnie dowiedziałby się, gdzie jest Regan i jak mu się powodzi. Był bardzo do niego przywiązany. Zmartwił go sposób, w jaki Regan odszedł nie mówiąc mu nawet „do widzenia”

Prokurator osunął się głębiej w fotelu i zmarszczył czoło

— Rozumiem — powiedział zmienionym głosem. Jego ręka sięgnęła po rekwizyty leżące na biurku. Odłożył niebieski notatnik Geigera, pozostałe dowody rzeczowi przysunął do mnie.

— Równie dobrze może pan to wszystko wziąć z powrotem — stwierdził. — Mnie to nie interesuje.

Była już prawie jedenasta, kiedy odstawiłem samochód i podszedłem do domu na Hobart Arms. Drzwi zamykano o dziesiątej, musiałem więc pa służyć się własnym kluczem. Wewnątrz, w opustoszałym kwadratowym hallu, znajdował się jakiś mężczyzna który na mój widok włożył wieczorną gazetę za donice z palmą, a niedopałek papierosa wetknął do kadzi, w której palma rosła. Wstał, pomachał ku mnie kapeluszem i powiedział:

— Szef chce z panem porozmawiać. Niech pan lepiej pozostawi swoich przyjaciół na zewnątrz, stary.

Stałem spokojnie i przyglądałem się jego spłaszczonemu nosowi i zamienionej w kalafior muszli usznej.

— Czego chce?

— A co cię to obchodzi? Trzymaj swój nos z daleka od jego spraw, a wtedy wszystko będzie okay. Jego ręka gmerała w okolicach wewnętrznej kieszeni rozpiętego płaszcza.

— Śmierdę policją — powiedziałem. — Jestem zbyt zmęczony, żeby mówić, żeby jeść i żeby myśleć. Ale jeśli sądzisz, że nie jestem równie zmęczony, żeby słuchać rozkazów Eddiego Marsa, to postaraj się wyciągnąć spluwę, zanim nie rozwalę ci drugiego ucha.

— Bujda. Nie masz przy sobie rewolweru. — Patrzył na mnie bezczelnie. Ściągnął ciemne, sztywne brwi, kąciaki ust mu opadły.

— Wczoraj, mój drogi Lanny, wczoraj. Nie biegam zawsze taki goły.

Zamachał lewą ręką.

— W porządku, jesteś górą. Nie dostałem rozkazu, żeby kogoś rozwalić. Sam od niego wszystko usłyszysz.

— Im później, tym lepiej — powiedziałem i obróciłem się za nim w chwili, kiedy mnie mijają, zmierzając do drzwi. Otworzył je i wyszedł, nie oglądając się. Roześmiałem się z własnej głupoty, podszedłem do windy i pojechałem do swego mieszkania. Wyciągnąłem z kieszeni mały rewolwer Carmen i uśmiechnąłem się do niego. Wyczyściłem go starannie, naoliwiłem i zawinałem w kawałek flaneli. Zamknąłem go na klucz w jednej z szuflad. Nalałem sobie drinka i właśnie kiedy go piłem, zadzwonił telefon.

Usiadłem na biurku.

— Jest pan dzisiaj szczególnie bezczelny — odezwał się głos Eddiego Marsa.

— Wielki, bezczelny, szybki, najeżony kolcami. Czym mogę panu służyć?

— Tam jest policja, wie pan gdzie. Nie wmieszał mniej pan do tej sprawy, co?

— Dlaczego nie miałbym tego zrobić?

— Jestem miły dla tych, którzy są dla mnie mili, przyjacielu. I bardzo niemiły dla tych, którzy nie są dla mnie mili.

— Niech pan się dobrze przysłucha. Usłyszysz pan, jak szczękają mi zęby.

Roześmiał się sucho.

— Więc jak: wmieszał mnie pan czy nie?

— Nie. Chociaż niech mnie diabli, jeśli wiem dlaczego. Chyba dlatego, że sprawa jest dostatecznie zagmatwana i bez pańskiego udziału.

— Dziękuję. Kto go zastrzelił?

— Znajdzie to pan jutro w gazetach... Może.

— Chciałbym już wiedzieć.



- Czy pan zawsze dostaje to, czego pragnie?
- Nie. To ma być odpowiedź, przyjacielu?
- Zastrzelił go ktoś, o kim pan nigdy nie słyszał. Niech to pana zadowoli.
- Jeżeli to tak wygląda, to może któregoś dnia ja też oddam panu przysługę.
- W takim razie niech pan położy słuchawkę i pozwoli mi pójść do łóżka.

Zaśmiał się znowu.

- Szuka pan Rusty'ego Regana, prawda?
- Wygląda na to, że kupa ludzi tak myśli, ale to nieprawda.
- Gdyby pan go szukał, mógłbym podsunąć panu jakiś pomysł. Niech pan do mnie kiedyś wpadnie. Obojętne kiedy. Będzie mi miło pana zobaczyć.

— Być może.

— A więc do tego być może. — W słuchawce coś pstryknęło.

Siedziałem i trzymałem ją przy uchu, czując chłodną wściekłość. Nakręciłem numer Sternwoodów i słuchałem sygnału dłuższą chwilę, aż wreszcie odezwał się uprzejmy głos lokaja:

- Tu mieszkanie generała Sternwooda.
- Mówi Marlowe. Czy pan mnie sobie przypomina? Poznałem pana sto lat temu, a może wczoraj.

— Tak, panie Marlowe. Naturalnie, przypominam sobie pana.

— Czy pani Regan jest w domu?

— Tak, tak mi się wydaje. Czy mógłby pan...

Przerwałem mu. Nagle zmieniłem zamiar.

— Nie. Chciałem pana tylko prosić o przekazanie wiadomości. Proszę jej powiedzieć, że mam zdjęcia. Wszystkie. I że wszystko jest w porządku.

— Tak... tak... — Wydawało mi się, że głos mu lekko drży. — Ma pan zdjęcia... wszystkie zdjęcia... i wszystko jest w porządku... Tak, proszę pana... Jeżeli wolno mi, proszę przyjąć serdeczne podziękowania.

Po pięciu minutach ponownie rozległ się dzwonek telefonu. Opróżniłem kieliszek i to sprawiło, że poczułem ochotę na zjedzenie obiadu, o czym do tej pory zupełnie zapomniałem. Wyszedłem, pozwalając telefonowi dzwonić. Kiedy wróciłem, dzwonił znowu. Z przerwami wydzwaniał tak do wpół do pierwszej. Zgasilem światło, otworzyłem okno, zawinałem telefon w gazetę i położyłem się spać. Miałem po dziurki w nosie rodziny Sternwooda.

Następnego ranka studiowałem wszystkie trzy poranne gazety, siedząc nad porcją jajek na bekonie. Sprawozdania były tak bliskie prawdy, jak normalnie bywają sprawozdania gazetowe, czyli tak jak Mars jest bliski Saturna. Żadne z nich nie łączyło Owena Taylora, kierowcy samochodu, który spadł z rybackiego mola w Lido, z morderstwem w egzotycznej willi w Laurel Canyon. Żadne nie wspominało nic na temat rodziny Sternwoodów, Ohlsa i mnie. Owen Taylor był tylko kierowcą bogatej rodziny. Kapitan Cronjager, szef wydziału zabójstw policji hollywoodzkiej, zbierał laury za wykrycie obu spraw, które prawdopodobnie wynikły na tle porachunków związanych z mętym interesem, prowadzonym przez niejakiego Geigera na tyłach Hollywood Boulevard. Brody zastrzelił Geigera, a Karol Lundgren zastrzelił z zemsty Brody'ego. Policja aresztowała Lundgreną, który przyznał się do winy. Miał bardzo złą opinię i prawdopodobnie był studentem. Policja zatrzymała również jako koronnego świadka Agnes Lozelle, sekretarkę Geigera.

To była ładna dziennikarska robota. Odnosiło się wrażenie, że Geiger został zastrzelony wczorajszej nocy, Brody w godzinę później, a kapitan Cronjager wyjaśnił oba morderstwa w

ciągu czasu potrzebnego na zapalenie papierosa. O samobójstwie Taylora nie pisano na pierwszych stronach. Zamieszczono zdjęcie samochodu z zasłoniętą tablicą rejestracyjną, stojącego na pokładzie barki transportowej. Gazety twierdziły, że Owen Taylor był chorowity i ostatnio bardzo przygnębiony. Jego rodzina mieszkała w Dubuque, tam też odesłano zwłoki. Władze nie zarządziły śledztwa w tej sprawie.

## Rozdział XX

Kapitan Gregory, szef Wydziału do Spraw Zaginionych Osób, opuścił moją wizytówkę i ułożył ją równolegle do krawędzi szerokiego biurka. Przyglądał jej się dłuższą chwilę, z głową przechyloną na jedno ramię, wreszcie chrząknął i obróciwszy się w obrotowym fotelu, zapatrzył się przez okno na płaski dach gmachu sądu, oddalony o jakieś pół długości przecznicy. Był to potężny mężczyzna o zmęczonych oczach i niespiesznych ruchach nocnego stróża. Jego głos brzmiał płasko i beznamiętnie.

— A więc prywatny detektyw — powiedział nie patrząc na mnie i wciąż wyglądając przez okno. Dym unosił się pasmami z przytrzymywanej niedbale w kąciku warg pocerniałej fajki z korzenia wrzośca — W czym mogę panu pomóc?

— Pracuję dla generała Guya Sternwooda, 3765 Alta Brea Crescent, West Hollywood.

Kapitan Gregory wypuścił lekki obłoczek dymu, nie otwierając przy tym ust.

— Jaką sprawą pan się zajmuje?

— Nie tą samą co i pan, ale mimo wszystko myślę, że będzie mi pan mógł w czymś pomóc.

— A to w czym?

— Generał Sternwood jest bogatym człowiekiem — powiedziałem. — Jest starym przyjacielem ojca prokuratora naszego rejonu. Jeżeli wynajmuje sobie chłopca na posyłki na cały dzień, to nie dlatego, żeby obrażać policję. Jest to po prostu luksus, na który może sobie pozwolić.

— Skąd panu przyszło do głowy, że zajmuję się czymś związanym z generałem Sternwoodem?

Skwitowałem pytanie milczeniem. Kapitan Gregory obrócił się powoli i ciężko na swoim fotelu i postawił olbrzymie stopy na pokrywającym podłogę gabinetu linoleum. W atmosferze gabinetu wyczuwałem zatechły posmak wieloletniej rutyny. Gregory spojrział na mnie ponuro.

— Nie chciałbym panu zajmować czasu, kapitanie — powiedziałem i cofnąłem o jakieś dziesięć centymetrów krzesło, na którym siedziałem.

Nie poruszył się. Po prostu wpatrywał się we mnie pozbawionymi wyrazu, zmęczonymi oczami.

— Zna pan prokuratora rejonowego?

— Tak. Kiedyś dla niego pracowałem. Znam również bardzo dobrze jego głównego pomocnika, Berniego Ohlsa.

Gregory podniósł słuchawkę i wymamrotał w nią:

— Dajcie mi Ohlsa z biura prokuratora rejonowego. — Trzymał rękę na telefonie i czekał. Minęło kilka minut. Dymek unosił się z jego fajki. Oczy o twardym wyrazie patrzyły

nieruchomo przed siebie. Zadzwęczał dzwonek. Gregory wyciągnął rękę po moją kartę wizytową... — Ohls...? Ali Gregory z centralnego biura komisariatu. Niejaki Philip Marlowe jest w tej chwili w moim biurze. Z wizytówki, którą mi wręczył, wynika, że jest detektywem prywatnym. Chce uzyskać ode mnie pewne informacje... Tak? Jak wygląda?... Dziękuję.

Odłożywszy słuchawkę wyjął fajkę z ust i ubił w niej tytoń grubym ołówkiem. Zrobił to uważnie i z takim namaszczeniem, jakby to była najważniejsza rzecz, jaką miał dzisiaj zrobić. Odchylił się w fotelu i patrzył na mnie jeszcze przez chwilę.

— Co pan chce wiedzieć?

— Tylko tyle, czy sprawa posunęła się naprzód.

Zastanowił się.

— Czy chodzi o Regana? — spytał wreszcie.

— Oczywiście.

— Zna go pan?

— Nigdy go nie widziałem. Słyszałem tylko, że jest przystojnym Irlandczykiem, ma ponad trzydzieści lat, że kiedyś zajmował się przemytem alkoholu i że ożenił się ze starszą córką generała Sternwooda, ale nie było to zbyt szczęśliwe małżeństwo. Zostałem też poinformowany, że zniknął mniej więcej miesiąc temu.

— Niech Sternwood dziękuje z tego powodu opatrności, zamiast angażować prywatne talenty do szukania igły w stogu siana.

— Generał darzy Regana wielką sympatią. Takie rzeczy zdarzają się na świecie. Starszy pan jest kaleką i zapewne czuje się bardzo samotny. Regan bardzo często dotrzymywał mu towarzystwa.

— A jak pan sądzi, może pan zrobić coś więcej od nas?

— Niewiele, a właściwie nic, jeśli chodzi o znalezienie Regana. Ale jest jeszcze druga sprawa: chodzi o tajemniczy szantaż. Pragnę mieć pewność, że Regan nie bierze w tym udziału. Byłoby to łatwiejsze, gdybym wiedział, gdzie on jest lub gdzie go nie ma.

— Mój drogi, bardzo chętnie bym panu pomógł, ale sam nic nie wiem. Ten człowiek zatarł za sobą wszelkie ślady... Tak to wygląda.

— Czy to jest możliwe, biorąc pod uwagę doskonałość organizacji, którą pan reprezentuje? — spytałem.

— Tak... a jednak jest to możliwe... przynajmniej na pewien czas. — Nacisnął na guzik dzwonka, znajdujący się na biurku. W bocznych drzwiach ukazała się głowa kobiety w średnim wieku. — Proszę mi przynieść teczkę Rusty'ego Regana.

Drzwi zamknęły się. Gregory i ja obserwowaliśmy się nawzajem w absolutnym milczeniu. Wreszcie drzwi otworzyły się ponownie i kobieta położyła na biurku zieloną teczkę. Kapitan Gregory podziękował jej skinieniem głowy. Włożył na nos okulary w grubej oprawie i powoli przeglądał dokumenty znajdujące się w tezcze. Zacząłem ugniatać w palcach papierosa.

— Zniknął szesnastego września — powiedział Gregory. — Jedynym ważnym szczegółem jest fakt, że tego dnia kierowca Sternwoodów miał wolny dzień i nikt nie widział momentu, kiedy Regan wyjeżdżał swoim samochodem z garażu. W każdym razie było to późnym popołudniem. Znaleźliśmy samochód w cztery dni później w garażach należących do eleganckich bungalów do wynajęcia, w pobliżu Sunset Towers. Właściciel garażu zameldował w wydziale zajmującym się kradzieżami samochodów, że stoi u niego samochód, który nie należy do żadnego mieszkańca bungalów. To miejsce nazywa się Casa de Gro. Wiąże się z tym coś, o czym w tej chwili nie mogę panu powiedzieć. Nie mogliśmy się dowiedzieć, kto

odstawił ten wóz. Badaliśmy odciski palców, nie znaleźliśmy jednak żadnych. Nic nie wskazywało na to, że samochodu używano do jakiejś lewej roboty, choć można to podejrzewać. Sprawa tego wozu łączy się zresztą z czymś innym, o czym powiem panu za chwilę.

— Myślę, że łączy się z żoną Eddiego Marsa, która również figuruje na liście osób zaginionych — powiedziałem.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— No tak. Przeprowadziliśmy rozmowy z mieszkańcami tych bungalowów i stwierdziliśmy, że tam mieszkała. Zniknęła mniej więcej w tym samym czasie co Regan, około dwóch dni później. Pokazywał się z nią mężczyzna podobny z opisu do Regana, ale wszelka identyfikacja była niemożliwa. W naszym zawodzie ma się czasami to cholerne szczęście, że jakaś starsza pani, wyglądająca przez okno, zobaczy przebiegającego jegomościa i pozna go potem nawet po sześciu miesiącach. Jeśli jednaki chodzi o pracowników hotelowych to mogą nie rozpoznać faceta, nawet jeśli się im podsunie dobre zdjęcie.

— Szczerze mówiąc, właśnie tego oczekuje się od obsługi hoteli — powiedziałem.

— Taak... Eddie Mars i jego żona nie mieszkali razem ale utrzymywali przyjacielskie stosunki, tak przynajmniej twierdzi Eddie. Możliwości jest kilka. Regan miał zawsze przy sobie piętnaście tysięcy dolarów w gotówce, jak słyszałem. To kupa forsy, ale Regan wyglądał na faceta zdolnego wyjąć tę forszę na wierzch, bez względu na to, czy mu się ktoś przyglądał czy nie. Pieniądze nie grały dla niego większej roli. Jego żona twierdzi, że nigdy nie wziął od starego Sternwooda ani jednego centa, że zadowolił się mieszkaniem i utrzymaniem oraz packardem, który mu kiedyś ofiarowała. Czy to panu pasuje do byłego przemytnika alkoholu, który się bogato ożenił?

— Nie rozumiem tego — przyznałem.

— A więc mamy tutaj faceta, który znika, nosząc w kieszeni spodni piętnaście tysięcy dolarów, o których wszyscy wiedzą. Cóż, są to w końcu jakieś pieniądze... Proszę mi wierzyć, panie Marlowe, że czułbym się szczęśliwy, mając w kieszeni piętnaście tysięcy dolarów przy moich dwóch chłopakach, którzy właśnie studiują. Naturalnie nasuwa się myśl: ktoś chciał go z tych pieniędzy wyłuskać, ale posunął się za daleko, tak że w rezultacie musiał go zaciągnąć na pustynię i zasadzić wśród kaktusów. Ale nie wydaje mi się to aż tak proste. Regan miał przy sobie broń i umiał się z nią obchodzić. Miał poza tym dość doświadczenia w tych sprawach, i to nie tylko z okresu przemytniczego. Słyszałem, że w 1922 roku dowodził całą brygadą podczas zamieszek w Irlandii. Taki facet nie jest łatwym łupem dla byle jakiego rzeźmieszka. To że jego samochód stał w garażu, wskazuje na to, że ten, kto go zastrzelił, wiedział o jego romansie z żoną Eddiego Marsa.

— Ma pan jakieś zdjęcie? — spytałem.

— Jego tak, jej nie. To jest dość dziwne. Zresztą w tej sprawie jest sporo dziwnych okoliczności. Proszę — rzucił w moją stronę błyszczącą odbitkę.

Zobaczyłem typową irlandzką twarz, raczej smutną niż wesołą, raczej skupioną niż zuchwałą. Nie była to twarz zabijaki, ale również nie była to twarz człowieka, wobec którego można sobie na wiele pozwolić. Miał proste, ciemne brwi, mocno zarysowane łuki brwiowe, szerokie czoło, gęste, przylizane włosy, wąski, krótki nos i szerokie usta. Podbródek był mocno zarysowany, choć to wrażenie łagodziła szerokość ust. Była to odrobinę naprężona twarz człowieka, który szybko się decyduje i wiele ryzykuje. Oddałem zdjęcie. Wiedziałem, że poznam tę twarz, jeśli ją kiedykolwiek zobaczę.

Kapitan Gregory wystukał popiół z fajki, napełnił ją ponownie i ubił tytoń kciukiem. Zapalił fajkę, wypuścił kilka kłębow dymu i zaczął mówić:

— Naturalnie, mogli być ludzie, którzy wiedzieli, że był sympatią żony Eddiego Marsa. Eddie mógł o tym nie wiedzieć, ale — co zdumiewające — właśnie wiedział. Nie bardzo go to zresztą obchodziło. Obserwowaliśmy go dość dokładnie w tym okresie. Oczywiście, Eddie nie zastrzelił Regana z zazdrości. To by zbyt jasno przemawiało przeciwko niemu.

— To zależy od tego, jak jest sprytny — powiedziałem. Być może prowadzi podwójną grę. Kapitan Gregory zaprzeczył ruchem głowy.

— Jeśli jest na tyle sprytny, żeby prowadzić to swoje hazardowe przedsięwzięcie, to jest i za sprytny na coś takiego. Rozumiem, o co panu chodzi. Chodzi o to, że mógł zrobić coś głupiego, wiedząc, że nikt nie będzie się po nim tego spodziewał. Policja patrzy na tę sprawę inaczej. Deptaliśmy mu wtedy po piętach tak, że aż mu to zawadzało w interesach. Jak do tej pory Eddie jest zupełnie czysty. Zazdrość to nie jest motyw dla takiego typu. Ludzie zajmujący się tym, co Eddie, mają znakomity zmysł do handlu i interesów. Potrafią robić to, co jest dla nich wygodne, wyłączając zupełnie swoje własne uczucia. Nie, stanowczo to wykluczam. Jeśli się mylę i jeśli pan mi to udowodni, to jestem gotów połknąć własny palec.

— A czego pan nie wyklucza?

— Żony Marsa i samego Regana. Była blondynką, ale nie musiała nią pozostać. Nigdy nie znaleziono jej samochodu, a więc prawdopodobnie uciekli razem. Mieli duże fory w stosunku do nas, około czternastu dni. Gdyby nie samochód Regana, prawdopodobnie w ogóle nie odkrylibyśmy sprawy. No cóż, jesteśmy do tego w moim wydziale przyzwyczajeni, zwłaszcza, jeśli to wszystko dotyczy tak zwanych „dobrych rodzin”. I naturalnie, wszelkie nasze działania muszą być okryte pełną dyskrecją. — Odchylił się w fotelu i głucho walnął ciężką dłonią zwiniętą w pięść w poręcz fotela. — Nie widzę żadnej innej możliwości prócz czekania. Rozesłaliśmy listy gończe, jest jednak jeszcze za wcześnie, żeby to dało jakiegokolwiek wyniki. Regan miał piętnaście tysięcy, o których my wiemy. Dziewczyna musiała też mieć coś przy sobie, może sporo w kosztownościach. Pewnego dnia jednak wypłuczą się z forsy. Wtedy Regan zagra w karty, wystawi czek albo napisze list. Prawdopodobnie mieszkają pod obcym nazwiskiem, w obcym mieście, ale żyją na tej stopie, na jakiej żyli przedtem. I dlatego będą musieli wrócić do dawnego trybu życia.

— Co robiła dziewczyna, zanim wyszła za mąż za Eddiego Marsa?

— Była śpiewaczką kabaretową.

— Mógłby pan zdobyć jakieś jej stare zdjęcia reklamowe?

— Nie. Eddie prawdopodobnie ma parę, ale się do tego nie przyznaje. Chce, żeby ją zostawić w spokoju. Nie mogę go do niczego zmusić. Ma bliskich przyjaciół w mieście, w przeciwnym wypadku nie mógłby robić i tego, co robi. Czy te wszystkie mądrości mogą się panu na coś przydać? — mruknął.

— Nie znajdzie pan ani jego, ani jej — powiedziałem. — Pacyfik jest zbyt blisko.

— To, co powiedziałem o swoim palcu, jest wciąż aktualne. Znajdziemy go, chociaż to może potrwać. Rok albo dwa...

— Nie wiem, czy generał Sternwood będzie jeszcze tak długo żył — powiedziałem.

— Zrobiliśmy wszystko, co tylko mogliśmy zrobić. Gdyby wyznaczył nagrodę, względnie zainwestował w tę sprawę trochę pieniędzy, moglibyśmy posunąć się naprzód. Władze miejskie nie przyznają mi tyle pieniędzy, ile to by mogło kosztować. — Skierował na mnie te swoje

wielkie oczy i ściągnął nastroszone brwi. — Czy pan naprawdę myśli, że Eddie zlikwidował ich oboje?

— Ale skąd! — odpowiedziałem z uśmiechem. — To był tylko żart. Właściwie myślę tak samo, jak pan, kapitanie. Regan po prostu uciekł z dziewczyną, która znaczyła dla niego dużo więcej niż inna bogata dziewczyna, z którą mu się źle żyło. Nawiasem mówiąc, w tej chwili ta dziewczyna nie jest jeszcze wcale taka bogata.

— To znaczy, że pan ją zna, prawda?

— Tak. Na razie prowadzi zwariowany tryb życia, ale sądzę, że kiedy ją to wyczerpie, ustatkuje się.

Odczrząknął w odpowiedzi, podziękowałem mu więc za zmarnowany czas i informacje i wyszedłem. Kiedy ruszyłem sprzed gmachu komendy policji, pojechał za mną szary plymouth. Pozwoliłem mu zbliżyć się do siebie na bocznej ulicy. Nie skorzystał jednak z okazji, więc zgubiłem go, by móc się zająć własnymi sprawami.

## Rozdział XXI

Starłem się trzymać z daleka od rodziny Sternwoodów. Wszedłem do mego biura. Siadłem na obrotowym fotelu za biurkiem i zamyśliłem się. Porywisty wiatr wdzierał się przez okna, wnosił do pokoju sadze z gazowych palników kuchni sąsiedniego hotelu. Pomyślałem, że trzeba by było wyjść i zjeść coś, że życie jest właściwie dość bezbarwne, że mógłbym wypić drinka, ale to prawdopodobnie nie przyda niczemu barw, zwłaszcza, że picie drinka w samotności i o tej porze nie będzie z pewnością zabawne. Kiedy sobie tak rozmyślałem, zadzwonił Norris. W charakterystyczny dla niego, niezwykle grzeczny sposób powiedział, że generał czuje się źle i że po tym, co przeczytano mu z gazet, uważa, że moja praca dobiegła końca.

— Naturalnie, jeśli chodzi o Geigera — powiedziałem. — Poza tym, wie pan chyba, że to nie ja go zastrzeliłem.

— Generał wcale tak nie myśli, panie Marlowe.

— Czy generał wie cokolwiek o zdjęciach, o które tak troszczyła się pani Regan?

— Nie, proszę pana, na pewno nie.

— Czy pan wie, co właściwie wręczył mi generał?

— Tak, proszę pana. Trzy weksle i jeden list.

— Zgadza się. Zwrócę to. Jeśli zaś chodzi o fotografie, wydaje mi się, że będzie najlepiej, jeśli je po prostu zniszczę.

— Naturalnie, proszę pana. Pani Regan wielokrotnie próbowała dodzwonić się do pana wczoraj wieczorem...

— Byłem w mieście, żeby się upić.

— Tak, proszę pana. Jestem przekonany, że to było konieczne. Generał polecił mi przesłać panu czek na pięćset dolarów. Czy to pana zadowala?

— O, to więcej niż hojnie — stwierdziłem.

— Przypuszczam, że możemy uznać sprawę za załatwioną?

— Całkowicie. I to tak skutecznie jak piwnicę z bombą zegarową w środku.

— Dziękuję panu bardzo. Proszę mi wierzyć, że jesteśmy wobec pana bardzo zobowiązani. Jeżeli generał będzie się lepiej czuł... możliwe że już jutro... będzie mu naprawdę przyjemnie, gdy będzie mógł panu osobiście podziękować.

— Jak to miło — odpowiedziałem. — Przyjdę oczywiście i wypiję trochę tego doskonałego koniaku, tym razem być może mieszając go z szampanem.

— Zatroszczę się o to, żeby był dobrze zamrożony — obiecał stary lokaj, a w jego głosie pobrzmiwało coś w rodzaju zadowolenia.

A więc sprawa była załatwiona. Powiedzieliśmy sobie do widzenia i razem odwiesiliśmy słuchawki. Przez otwarte okno dolatywał aromat kawy z pobliskiego baru, ale straciłem na razie apetyt. Wyciągnąłem butelkę z biurka, poczęstowałem sam siebie i oddałem się uczuciu próżności.

Postanowiłem podsumować całą sprawę. Rusty Regan pozostawił masę pieniędzy i piękną żonę, żeby udać się w nieznaną z blondynką wątpliwej kondyty, która w dodatku była żoną ni mniej, ni więcej tylko takiego hochsztaplera jak Eddie Mars. Regan zniknął nie pozostawiając śladu i mogło być po temu wiele powodów. Generał był zbyt dumny albo zbyt ostrożny, by podczas pierwszej wizyty powiedzieć mi, że Wydział Osób Zaginionych policji stanowej zajmuje się już tą sprawą. Wydział Osób Zaginionych zabrnął w ślepy zaułek i najwyraźniej uważał, że nie warto sobie całą tą sprawą zawracać głowy. Regan zrobił to, co zrobił, i było to najzupełniej jego prywatną sprawą. Uważałem, tak jak kapitan Gregory że Eddie Mars z pewnością nie mieszałby się w sprawę podwójnego morderstwa tylko dlatego, że ktoś sprzątnął mu sprzed nosa blond Wenus, z którą w dodatku nie mieszkał. Może go to nawet trochę zdenerwowało, ale interesy są interesami, a poza tym ktoś działający w okolicy Hollywood ma i tak zbyt dużo na głowie, żeby jeszcze przejmować się sprawą blondynki, która zeszła z drogi cnoty. Naturalnie, gdyby ta ucieczka łączyła się z dużą sumą pieniędzy, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale piętnaście tysięcy to nie była duża suma dla Eddiego Marsa. Nie był drobnym rzezimieszkiem w rodzaju Brody'ego.

Geiger nie żył i Carmen musiała sobie znaleźć inny czarny charakter, który by jej dostarczał egzotycznych podniet i upijał się z nią. Nie sądziłem, żeby miała z tym zbyt wiele trudności. Mogła po prostu stanąć na kilka minut na rogu byle jakiej ulicy, zrobiwszy przy tym tę swoją niewinną minkę. Miałem nadzieję, że następny szantażysta obejdzie się z nią łagodniej, że raczej zadowolony się drobnymi sumami otrzymywanymi przez dłuższy czas, niż podejmie ryzyko wielkiego, jednorazowego interesu.

Pani Regan знаła Eddiego Marsa bardzo dobrze i nie miała żadnych problemów z pożyczaniem od niego pieniędzy. Było to zupełnie naturalne, skoro tak często grała w ruletkę i tak często przegrywała. Każdy właściciel klubu gry zawsze pożyczycie pieniądze dobremu klientowi, jeśli ten znajdzie się w potrzebie. Prócz tego Eddiego Marsa i panią Regan łączyła jeszcze inna sprawa: zaginiony Regan. On był jej mężem, kobieta, z którą uciekł, była jego żoną.

Karol Lundgren, młodziutki morderca z ograniczonym zasobem słów, był na dłuższy czas unieszkodliwiony, nawet gdyby w wyniku wyroku sądowego nie zasiadł na krześle w komorze gazowej. Zresztą mógłby uniknąć tego krzesła tylko wtedy, gdyby wystąpił z prośbą o ułaskawienie — nie będzie go bowiem stać na dobrego adwokata. Agnes Lozelle znajdowała się w tej chwili za kratkami, pilnie strzeżona jako koronny świadek oskarżenia. Jeśli Lundgren wyśle prośbę o ułaskawienie albo przyzna się do winy, wówczas Agnes Lozelle nie będzie już więcej potrzebna. Sąd i władze nie będą miały zamiaru zajmować się sklepem Geigera, a poza tą sprawą nie można jej niczego zarzucić.

Rozumując w ten sposób znalazłem się w ślepych zaułku. Zataiłem jedno morderstwo, nie powiadomiłem też w ciągu dwudziestu czterech godzin władz o tym, co się stało. Na szczęście wciąż jeszcze miałem w kieszeni licencję prywatnego detektywa, a w dodatku w mojej kieszeni

spoczywał czek na pięćset dolarów. Najśluszniesze, co powinienem w tej chwili zrobić, to wypić jeszcze jedną szklaneczkę, by wymieść z własnej głowy cały ten śmietnik.

Zamiast tego zrobiłem coś niezwykle sprytnego. Zadzwoiłem do Eddiego Marsa i oznajmiłem mu, że wieczorem przybędę do Las Olindas, żeby z nim porozmawiać. Oto na czym polegał mój zdrowy rozsądek.

Około godziny dziewiątej pojechałem do Las Olindas. Październikowy księżyc stał wysoko na zamglonym niebie. Kasyno mieściło się na skraju miasta, w niejednorodnym stylowo wiejskim dworku, niegdyś letniej rezydencji człowieka o nazwisku De Cazens, potem był tu hotel. W tej chwili było to ciemne, ogromne, niesympatyczne gmaszysko, otoczone cyprysami, którym zawdzięczało swoją nazwę. Dom miał olbrzymie balkony ozdobione ornamentem w kształcie zwiniętych liści, tu i ówdzie były rozmieszczone wieżyczki, okna ozdobiono rżniętymi; w szkle witrażami, z tyłu widać było wielkie puste stajnie, a z całości emanowała nostalgiczna atmosfera rozkładu.

Eddie Mars pozostawił zewnętrzny wygląd domu bez zmian. Zaparkowałem samochód na ulicy pod mrugającą lampą latarni i ruszyłem wilgotną żwirowaną ścieżką do głównego wejścia. Portier w suto szamerowanym srebrem surducie wpuścił mnie do wielkiej, pustej, słabo oświetlonej sali, skąd ogromne, nikiące w ciemnościach dębowe schody majestatycznie prowadziły na pierwsze piętro. Oddałem portierowi kapelusz i płaszcz i czekałem nasłuchując muzyki i gwaru głosów dochodzących zza podwójnych grubych drzwi. Wydawało się, że dochodzą z bardzo daleka, niemal z innego świata. Po schodach schodził właśnie blondyn, który był z Eddiem Marsem i z eks—bokserem w mieszkaniu Geigera. Uśmiechnął się do mnie blado i poprowadził przez wyłożony dywanem hall do gabinetu szefa.

Wszedłem do wielkiego kwadratowego pokoju z głęboko osadzonym w wykuszu oknem i ogromnym kamiennym kominkiem, w którym leniwie płonęły gałęzie jałowca. Ściany pokryte były boazerią z drewna włoskiego orzecha. W powietrzu czuło się chłodny zapach morza.

Matowe biurko Eddiego Marsa zupełnie nie pasowało do tego wnętrza, jak zresztą nie pasowałyby tu każda rzecz pochodząca z naszego stulecia. Na podłodze leżał jasnobrazowy dywan, w kącie stał obudowany aparat radiowy, a na nim samowar i ustawiony na miedzianej tacy serwis do herbaty z chińskiej porcelany. Zastanawiałem się, do czego to może służyć. W drugim końcu gabinetu zobaczyłem drzwi opatrzone zamkiem stosowanym w kasach pancernych. Widziałem, że ma tarczę z cyframi i literami.

Eddie uśmiechnął się do mnie serdecznie, przywitał uściskiem dłoni i wskazał na zamknięte drzwi:

— Byłoby bardzo niebezpiecznie wynieść kasę nie naruszając tych drzwi — wyjaśnił z ożywieniem. — Miejscowa policja wpada tu do mnie każdego ranka, kiedy ją otwieram. Mam z nimi taką umowę.

— Wspomniał pan, że ma coś dla mnie—powiedziałem. — Co to takiego?

— Dlaczego pan się tak spieszy. Niech pan usiądzie i napije się czegoś.

— Właściwie to wcale się nie spieszę — stwierdziłem. —Ale nie mamy chyba innego tematu do rozmowy jak tylko interesy.

— Zaproponuję panu coś do picia i jestem pewien, że będzie to panu smakowało — oświadczył Eddie. Napełnił dwa kieliszki i postawił jeden obok czerwonego skórzanego fotela. Sam pozostał przy biurku, skrzyżowawszy nogi i włożywszy rękę do bocznej kieszeni błękitnego smokinga. W stroju wieczorowym wyglądał dużo brutalniej niż w garniturze z szarej flaneli,



wciąż jeszcze wyglądał jednak na zahartowanego amatora końskiej jazdy. Wypiliśmy i skinęliśmy do siebie porozumiewawczo głowami.

— Czy był pan tu już kiedyś? — spytał.

— W czasie prohibicji. Gry hazardowe nie bawią mnie aż tak szampańsko.

— Jeśli się nie ma pieniędzy... — uśmiechnął się. — Powinien pan zajrzeć dzisiaj do sali gry. Jest tam pańska znajoma. Gra bardzo wysoko. Słyszałem, że szczęście jej sprzyja. To Vivian Regan.

Odstawiłem kieliszek, poczęstowałem się cygarem ozdobionym monogramem Eddiego.

— Szczerze mówiąc, bardzo podobało mi się pańskie wczorajsze postępowanie — powiedział Eddie. W pierwszej chwili byłem wściekły, ale później zrozumiałem powody, które panem kierowały. Czuję, że chodzilibyśmy doskonale w jednym zaprzęgu, pan i ja. Ile panu jestem winien?

— Za co?

— Ciągłe taki ostrożny? Małe przecieki z centralnego komisariatu. Inaczej nie mógłbym prowadzić interesu. Otrzymuję wszystkie wiadomości z pierwszej ręki, jeszcze ciepłe, i absolutnie nie w tej postaci, w jakiej później ukazują się w gazetach — zademonstrował mi wielkie białe zęby.

— Tak? A czego się pan dowiedział? — spytałem.

— Nie chce pan pieniędzy?

— Zrozumiałem, że ma pan dla mnie jakieś informacje.

— Informacje? Czego dotyczące?

— Ma pan bardzo krótką pamięć. Chodzi o Regana.

— Ach tak — machnął ręką i jego paznokcie zabłysły w przyćmionym świetle okrytej abażurem lampy, rzucającej dyskretny krąg światła na sufit. — Słyszałem, że uzyskał pan już te informacje. Wydawało mi się, że jestem winien panu niewielką gratyfikację. Jestem przyzwyczajony do płacenia za względnie przyzwoity stosunek do mojej osoby.

— Nie przyszedłem tutaj po napiwek. Dostaję pieniądze za to, co robię. Niezbyt wiele według pańskich kryteriów, ale mimo to wychodzę jakoś na tym. Trzymam się też dobrej zasady, żeby mieć tylko jednego klienta. To nie pan zastrzelił Regana, prawda?

— Nie. Czy pan tak naprawdę myślał?

— Ciągłe uważam że nie przekracza to pańskich możliwości.

Uśmiechnął się.

— Teraz bawi się pan w kiepskie dowcipy.

Zaśmiałem się również.

— No jasne. Nigdy nie widziałem Regana, widziałem natomiast jego zdjęcie. Nie miałby pan odpowiednich ludzi do takiej roboty. A skoro już mówimy na ten temat, bardzo pana proszę o nie przesyłanie mi więcej rewolwerowców z rozkazami. Mógłbym wpaść w histerię i kogoś zastrzelić.

Eddie Mars popatrzył przez szkło kieliszka na ogień, odstawił naczynie na brzeg biurka i otarł wargi cieniutką batystową chusteczką.

— Wiele spraw pana interesuje... W rzeczywistości nie jest pan poważnie zainteresowany sprawą Regana, prawda?

— Nie, zawodowo zupełnie nie. Nie otrzymałem nawet takiego polecenia. Znam jednak kogoś, kto bardzo chciałby wiedzieć, gdzie on jest.

— Chyba, do cholery, panu nie mówiła...

— Myślę o jej ojcu.

Eddie ponownie wytarł usta chusteczką, obejrzał ją, jakby spodziewał się tam znaleźć co najmniej ślady krwi. Ściągnął grube, szare brwi i potarł palcem nos.

— Geiger próbował szantażować generała — powiedziałem. — Generał nie przyznał się do tego, ale wydaje mi się, że był na wpół przekonany, iż za tym szantażem kryje się Regan.

Eddie Mars zaśmiał się □ Geiger próbował tego z każdym. To była jego idee—fixe. Kazał sobie wystawiać weksle, które były prawdziwe... jak najbardziej prawdziwe, ale nigdy nie odważyłby się przesłać takiego weksła do sądu. Wręczał je z subtelnymi grzecznosciami klientowi, sam pozbawiając się pozornie wszelkich argumentów. Jeżeli okazywało się, że ktoś dał się nastraszyć i wyciągnął forsy, zabierał się do dzieła. Jeśli nie wyciągnął forsy, wycofywał się.

— Mądra główka — zauważyłem. — Wycofywał się. Tylko tyle, że się na tym przejechał. Skąd pan o tym wszystkim wie?

Wzruszył ze zniecierpliwieniem ramionami.

— Na litość boską, byłbym szczęśliwy, gdybym mógł znać tylko połowę sprawek, o których mi donoszą! Najgorszą lokatą kapitału w interesie, jaki prowadzę, jest zbyt duża wiedza o ludziach. A więc jeśli chodziło tylko o Geigera, mamy to za sobą. Wykluczono pana z tej rozgrywki,

— Wykluczono i opłacono.

— Bardzo mi przykro. Żałuję, że stary Sternwood nie wynajął za okazałą sumę takiego znakomitego faceta jak pan na stałe, choćby dla utrzymania swoich dwóch prześlicznych córeczek przez przynajmniej dwa wieczory w domu.

— Dlaczego?

Skrzywił się.

— Są przysłowiową plagą. Weźmy tę brunetkę. To prawdziwa zaraza dla mojego lokalu. Kiedy przegrywa, gra jak szalona. W wyniku tego siedzę tutaj z pełnym portfelem pokwitowań, których mi nikt nie zdyskontuje, nawet za najniższą cenę. Przecież ona nie ma własnych pieniędzy oprócz kieszonkowego, które otrzymuje od generała, a nikt w końcu nie wie, co głosi jego testament. Kiedy natomiast wygrywa, zabiera moje własne, prawdziwe pieniądze do swojego ślicznego domku.

— No, ale przecież następnej nocy znowu do pana wracają — zauważyłem.

— Część z nich na pewno. Ale na dłuższą metę to ja jestem przegrany, a nie ona.

Spojrzał na mnie poważnie, jakby to wszystko rzeczywiście mnie obchodziło. Zastanawiałem się, dlaczego uznał za konieczne opowiedzieć mi to wszystko. Ziewnąłem i opróżniłem do dna kieliszek.

— Zjrę teraz do sali gry i obejrzę sobie to pańskie przedsiębiorstwo — uniosłem się z fotela.

— Dobrze, bardzo proszę — powiedział, wskazując drzwi, znajdujące się obok tych zaopatrzonych w pancerny zamek. — Tędy przejdzie pan do sali.

— Wolę raczej wejście przeznaczone dla frajerów.

— Oczywiście, jeśli ma pan ochotę. W każdym razie, zostajemy przyjaciółmi?

— Jak najbardziej — zgodziłem się. Wstałem i uścisnęliśmy sobie ręce.

— Może w przyszłości będę mógł naprawdę wyświadczyć panu przysługę. Tym razem dowiedział się pan wszystkiego od kapitana Gregory.

— To znaczy, że i jego też pan kupił?

— Nie jest tak źle. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

Patrzyłem na niego przez chwilę, po czym podszedłem do drzwi, przez które tutaj wszedłem. Kiedy je otworzyłem, odwróciłem się.

— Niech mi pan powie, czy wysyłał pan szarego plymoutha, żeby mnie śledził?

Oczy mu się rozszerzyły. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

— Do diabła, nie! Do czego by mi było to potrzebne?

— Ją też nie umiałem sobie tego wytłumaczyć — powiedziałem i wyszedłem. Odniosłem wrażenie, że to zdumienie było zbyt szczere, by mogło być nieprawdziwe. Wydawało mi się nawet, że się trochę zaniepokoił. Nie przychodziły mi jednak na myśl żadne przyczyny takiego stanu rzeczy.

## Rozdział XXII

Było około wpół do jedenastej. Mała meksykańska orkiestra była wyraźnie zmęczona graniem ściszonych rumb, których nikt nie tańczył. Jeden z muzyków ocierał koniuszki palców, tak jakby sprawiały mu ból, wkładając jednocześnie do ust papierosa tym samym, niemal bolesnym ruchem. Czterech innych pochylało się jednocześnie, jakby na dany znak, wyciągało spod krzeseł kieliszki, pociągało z nich łyk, oblizywało usta i błyskało oczami. Tequila — miało to znaczyć. Najprawdopodobniej pili wodę mineralną. To przedstawienie było tak samo niepotrzebne jak muzyka. Nikt na nich nie patrzył.

Sala musiała być kiedyś przeznaczona na tańce. Eddie Mars przerobił ją tylko o tyle, o ile wymagał tego interes. Żadnych chromów, żadnych załamanych świateł, wydostających się spod narożnych gzymsów, żadnych rzeźb z topionego szkła ani foteli o krzyczących barwach i wypolerowanych poręczach, nic z typowej dla Hollywood pseudonowoczesnej techniki urządzania wnętrz. Światło padało z ciężkich kryształowych żyrandoli, ściany pokryte były czerwonym adamaszkiem, odrobinę wypłowiałym od upływu czasu i poczerniałym od kurzu, ale doskonale pasującym do pokrytej parkietem podłogi, której zresztą widać było tylko kawałek, tuż przed podium dla meksykańskiej orkiestry. Resztę pokrywał kosztowny dywan, w tym samym czerwonym kolorze. Parkiet został zrobiony z dwunastu rodzajów drewna — od birmańskiego drzewa tekowego począwszy, poprzez kilka odcieni dębu, na przypominającym mahoń różowym drewnie skończywszy. Wszystko to układało się w wypracowany, finezyjny wzór.

Był to wciąż jeszcze piękny pokój, tyle że zajmowano się w nim teraz ruletą zamiast rytmicznymi, staroświeckimi tańcami.

Przy przeciwległej do wejścia ścianie stały trzy stoły połączone mosiężnym ogrodzeniem, które jednocześnie oddzielało krupiera od grających. Grano przy wszystkich trzech stołach, ale tłum tłoczył się tylko przy środkowym. Poznałem czarną główkę Vivian Regan. Podszedłem do baru w kącie sali i wziąłem kieliszek rumu. Barman stał naprzeciwko mnie po drugiej stronie baru i obserwował grono dobrze ubranych ludzi przy środkowym stole.

— Dziś wygrała kupę forsy — powiedział. — Ta wysoka czarnowłosa koza.

— Kto to jest? — spytałem.

— Nie wiem, jak się nazywa, ale przychodzi tu bardzo często.

— Do licha, pan po prostu nie chce wiedzieć, jak ona się nazywa — sprostowałem.

— Pracuję tutaj, proszę pana — odpowiedział bez urazy. — Jest zupełnie sama. Kawaler, z którym przysłała, upił się i trzeba go było wynieść do samochodu.

— Odwiozę ją do domu — powiedziałem.

— Odwiezie pan diablicę — ostrzegł. — Czy mam przygotować panu koktajl, czy woli pan czysty rum?

— Wolę czysty, jeśli w ogóle go wolę — powiedziałem.

Towarzystwo otaczające środkowy stół rozstało się.

Dwóch mężczyzn w wieczorowych strojach ruszyło w stronę drzwi. Dostrzegłem szyję Vivian i jej odsłonięte ramiona. Nosila głęboko wyciętą suknię ze zgniłozielonego aksamitu. Była zbyt rozebrana, nawet jak na kasyno gry. Tłum zwarł się znowu i znowu nie widziałem nic oprócz jej czarnej głowy. Obaj mężczyźni skręcili od drzwi do baru i zamówili dwie szklanki whisky z wodą sodową. Jeden z nich był wyraźnie podniecony. Wytarł zarumienioną twarz nie pierwszej czystości chusteczką. Wzdłuż jego spodni biegły jedwabne lampasy, tak szerokie, że przywodziły na myśl pasma ruchu na autostradzie.

— Chłopie, taka passa! W życiu czegoś takiego nie widziałem — powiedział piskliwie. — Osiem wygranych po kolei, i to wszystko „czerwone”. Chłopie, to jest naprawdę ruleta, jakiej już więcej nie można nigdy zobaczyć!

— Mam dosłownie gęsią skórę — powiedział drugi. — Stawia wszystkie tysiące na jeden raz. Po prostu nie może przegrać!

Wpakowali nosy do szklanek z trunkiem, wychylili go jednym haustem i poszli sobie.

— Co za mędrki z tych facetów — powiedział barman przeciągając sylaby. — Wspaniała passa, ale w Hawanie widziałem kiedyś taką starą babę z końską twarzą...

Gwar przy sąsiednim stole wzmógł się nagle i przebijający się przez niego spokojny głos z cudzoziemskim akcentem powiedział:

— Będę bardzo wdzięczny, jeżeli łaskawie zaczeka pani cierpliwie chwileczkę. Bank został rozbity. Pan Mars powinien się tu za chwilę zjawić.

Postawiłem kieliszek na barze i ruszyłem do stołu. Mała meksykańska orkiestra zaczęła głośno grać tango. Nikt jednak nie tańczył ani też nie miał zamiaru tego robić. Przecisnąłem się przez gromadę ludzi w popołudniowych i wieczorowych, a nawet sportowych strojach aż do środkowego stołu. To tam została zatrzymana gra. Dwaj krupierzy stali obok siebie z wzrokiem utkwionym w jeden punkt. Gapili się na Vivian Regan.

Jej długie rzęsy drżały, a twarz przybrała nienaturalnie bladą barwę. Siedziała pośrodku stołu, dokładnie naprzeciwko koła ruletki. Przed nią leżała sterta pieniędzy i sztonów. Naprawdę spora kupka pieniędzy. Przemawiała do krupiera chłodnym i wyniosłym, choć podenerwowanym głosem:

— Chciałabym wiedzieć, co to za nędzny lokal! Weźcie się do roboty i uruchomcie to koło, wy... nędzne złodziejaszki. Mam zamiar jeszcze raz postawić, i to wszystko. Normalnie jesteście bardzo szybcy, kiedy zagarniacie pieniądze, za to kiedy przyjdzie do płacenia, ciągniecie się jak flaki z olejem!

Krupier uśmiechnął się chłodnym i grzecznym uśmiechem człowieka, który widział już tysiące wygrywających i miliony przegrywających. Zachowywał się bez zarzutu, był pełen dystansu i absolutnie dyskretny. Powiedział poważnie:

— Bank nie może przyjąć w tej chwili pani stawki, proszę pani. Ma pani przed sobą ponad szesnaście tysięcy dolarów.

— Przecież to są wasze pieniądze — szydziła Vivian. □ Nie chcecie ich odzyskać?

Stojący obok niej mężczyzna próbował jej coś wytłumaczyć. Odwróciła się do niego gwałtownie i powiedziała kilka takich słów, że wycofał się szybko, zaczerwieniony. W głębi sali, w części oddzielonej mosiężnym ogrodzeniem, otwarły się drzwi. Wszedł przez nie Eddie Mars, z przylepionym do twarzy obojętnym uśmiechem, z rękami w kieszeniach smokingu. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie osobnika. Podeszedł do krupierów i stanął obok środkowego stołu. Zapytał spokojnym, ale mniej uprzejmym niż jego krupierzy głosem.

— Czy coś się stało, pani Regan?

Błyskawicznym ruchem odwróciła się w jego stronę

Dostrzegłem zarys jej szczęk, zaciśniętych tak mocno jakby już dłużej nie była w stanie znieść wewnętrznego napięcia. Nie odpowiedziała mu na pytanie.

— Jeżeli nie chce pani więcej grać — powiedział z powagą Eddie Mars — to proszę pozwolić, żebym wysłał kogo z panią, aby towarzyszył jej do domu.

Zaciśnięte szczęki Vivian pobiełały, policzki oblekł rumieniec. Zaśmiała się głośno.

— Jeszcze jedna gra, Eddie — powiedziała gorzko. — Wszystko na „czerwone”. Lubię czerwony, kolor krwi.

Eddie Mars uśmiechnął się blado, skinął głową i sięgnął do wewnętrznej kieszeni smokinga. Wyciągnął wielki portfel z połączanymi brzegami ze skóry krokodyla i posunął go przez stół w stronę krupiera.

— Niech pani podtrzyma zakład na jakąkolwiek sumę. Jeżeli nikt z obecnych nie ma nic przeciwko temu, koło rulety obróci się wyłącznie dla pani — skłonił głowę w kierunku Vivian.

Naturalnie nikt się nie sprzeciwił. Vivian Regan pochyliła się i dzikim ruchem, obiema rękami, przesunęła wszystko, co wygrała, w stronę koloru czerwonego.

Krupier bez pośpiechu pochylił się nad stołem. Policzył jej pieniądze i sztony i ułożył je w kupki obok swoich grabek. Następnie otworzył portfel Eddiego Marsa i wyciągnął z niego dwie paczki tysiąc dolarówek. Rozerwał jedną, odliczył sześć banknotów, dołączył je do nie rozpieczętowanej paczki; a pozostałe cztery schował z powrotem do portfela. Odłożył go na stół z taką ostrożnością, jakby trzymał w ręce dynamit. Eddie Mars nie wyciągnął ręki po portfel. Nikt się zresztą nie poruszał oprócz krupiera, który lewą ręką puścił w ruch ruletę, a prawą wrzucił do środka koła zawodowym, nieznacznym ruchem kuleczkę z kości słoniowej.

Wargi Vivian rozchyliły się powolutku, zęby zabłysły w świetle lamp. Kuleczka toczyła się leniwie po kole, przeskakując kolory i numery. Upłynęła wieczność, nim zatrzymała się z suchym postukiem. Koło zwolniło, niosąc na swojej powierzchni znieruchomiłą już kulkę. Krupier stał ze skrzyżowanymi ramionami i nie rozplótł ich, zanim koło rulety nie spoczęło w całkowitym bezruchu.

— Czerwone wygrywa — powiedział oficjalnie, głosem pełnym zawodowego spokoju.

Mała kulka z kości słoniowej leżała w przegródce koloru czerwonego, oznaczonej numerem dwadzieścia pięć, w przegródce oddalonej zaledwie o dwa miejsca od zera. Vivian Regan odrzuciła do tyłu głowę i zaśmiała się triumfująco. Krupier podniósł grabki, przesunął paczkę tysiąc dolarówek przez stół i dołączywszy je do postawionej sumy, wszystko razem odsunął z pola gry.

Eddie Mars uśmiechnął się. Włożył portfel do kieszeni, odwrócił się i opuścił salę. Kilka tuzinów ludzi, którzy przypatrywali się temu wszystkiemu dosłownie wstrzymując oddech, odetchnęło i ruszyło w stronę baru. Poszedłem razem z nimi i dotarłem do przeciwległego końca sali, zanim Vivian Regan zdążyła zebrać wygraną i podnieść się z krzesła. Wyszedłem do wielkiego, cichego hallu i odebrałem od dziewczyny w szatni kapelusz i palto. Położyłem na

tacce ćwierć dolara napiwku i poszedłem w kierunku drzwi wejściowych. Natychmiast pojawił się obok mnie portier i zapytał, czy ma sprowadzić samochód.

— Nie, wolę się przespacerować — odpowiedziałem.

Kolumny podtrzymujące balkony były mokre od mgły, która zamieniała się na liściach cyprysów w ciężkiej krople wody. Nie było nic widać w promieniu kilku metrów. Zszedłem po schodach i podryfowałem mającą między drzewami ścieżką, aż doszedł mnie poprzez mgłę szum fal liżących skałki morskiego wybrzeża. Nigdzie nie było widać najmniejszego błysku światła. Mogłem rozróżnić przed sobą jakiś tuzin cyprysów, dalszy tuzin mający niewyraźnie, reszta nikała we mgle. Skręciłem w lewo i wróciłem do głównej drogi, która prowadziła do parkingu. Kiedy zacząłem już rozróżniać kontury domu, zatrzymałem się. Tuż przede mną ktoś zakasłał.

Stapałem bezszelestnie po miękkiej, wilgotnej trawie.

Człowiek zakasłał jeszcze raz, po czym stłumił kaszel, przykładając do ust chusteczkę albo brzeg rękawa. Zbliżyłem się do niego jeszcze bardziej. Wyminąłem go — niewyraźny cień na ścieżce. Wiedziony instynktem skryłem się za drzewem i ukląknęłam. Człowiek odwrócił głowę. Jego twarz powinna majaczyć przede mną białą plamą w ciemnościach. Tak nie było. Zobaczyłem ciemną plamę. Nosił maskę.

Czekałem w ukryciu.

## Rozdział XXIII

Usłyszałem zbliżające się po niewidocznej ścieżce lekkie kobiece kroki. Mężczyzna stojący przede mną pochylał się do przodu. Sprawiał wrażenie, jakby opierał się o mgłę. Nie mogłem dostrzec kobiety, wreszcie zobaczyłem niewyraźny zarys postaci. Arogancki sposób trzymania głowy wydał mi się znajomy. Mężczyzna ruszył szybko w jej kierunku. Dwie niewyraźne sylwetki majaczyły we mgle, sprawiając wrażenie, że są jej częścią. Przez chwilę trwała śmiertelna cisza. Wreszcie rozległ się męski głos:

— To jest rewolwer, myszko. Tylko spokojnie! Mgła przenosi każdy dźwięk. Oddaj torebkę!

Kobieta nie wydała żadnego dźwięku. Dałem krok do przodu. Zobaczyłem kłęby mgły wirujące nad rondem kapelusza mężczyzny. Kobieta stała nieporuszona. Jej oddech stał się odrobinę chrapliwy, przypominał mi chrobot pilnika trącego o miękkie drewno.

— Krzyknij — zaproponował mężczyzna. — Tylko krzyknij, a załatwię cię.

Nie krzyknęła, nawet się nie poruszyła. To on wykonał jakiś ruch i zachichotał sucho.

— To powinno być tutaj — powiedział.

Dosłyszałem głuchy trzask otwieranego zamka, mężczyzna odwrócił się i przeszedł koło drzewa, za którym byłem ukryty. Kiedy oddalił się o dwa, trzy kroki, zachichotał. Ten śmiech ożywił moją pamięć. Wyciągnąłem z kieszeni fajkę i schwyciłem ją jak rewolwer.

— Jak się masz, Lanny! — zawołałem cicho.

Mężczyzna zatrzymał się jak trafiony piorunem i zaczął unosić ręce do góry.

— Nie rób tego Lanny, przecież ci nie kazałem. Nie ruszaj się, bo cię zastrzelę.

Trwaliśmy w bezruchu. Ja, kobieta na ścieżce i Lanny.

— Połóż torebkę na ziemi przy nogach, Lanny — rozkazałem. — Powoli i ostrożnie.

Pochylił się. Skoczyłem i wziąłem go za kark w chwili, kiedy trwał jeszcze w pochyleniu. Wyprostował się ciężko dysząc. Nie trzymał niczego w rękach.

— No, może mi powiesz, że nie mogę z tym drapnąć? □ zapytałem, wyciągając mu rewolwer z kieszeni. — Że też zawsze ktoś mi musi podarować rewolwer — powiedziałem. — Jestem tym tak obładowany, że aż chodzę przygięty. No, zjeżdżaj stąd!

Nasze oddechy zmieszały się, a oczy przybrały wyraz oczu dwóch kocurów, które spotkały się na dachu. Cofnąłem się.

— Leć w swoją stronę, Lanny. I bez urazy. Nie rozpowiadaj tego wszędzie, to i ja też nie rozpowiem. W porządku?

— W porządku — odpowiedział ciężko.

Pochłonęła go mgła. Przez chwilę słychać było jeszcze jego kroki, a później wszystko ucichło. Podniosłem torebkę, zajrzałem do jej wnętrza i ruszyłem w stronę ścieżki. Stała tam wciąż nieporuszona, przytrzymując kołnierz szarego futra przy szyi ręką, na której słabo połyskiwał pierścionek. Nie nosiła kapelusza. Jej czarne, rozdzielone pośrodku włosy były częścią panujących ciemności. Jej oczy również.

— Czysta robota, Marlowe. Awansował pan na moją osobistą ochronę? — w jej głosie dźwięczały chrapliwe nuty.

— Tak to przynajmniej wygląda — odpowiedziałem. — Proszę, pani torebka.

Wzięła ją.

— Czy ma pani samochód? — spytałem. Uśmiechnęła się.

— Przyjechałam tutaj z mężczyzną. Ale co pan tu robi?

— Eddie Mars chciał ze mną porozmawiać.

— Nie wiedziałam, że go pan zna. Czego chciał od pana?

— Mogę pani powiedzieć. Myślał, że poszukuję kogoś, kto według niego uciekł z jego żoną.

— A poszukiwał pan?

— Nie.

— W takim razie po co pan przyjechał?

— Żeby stwierdzić dlaczego myśli, że poszukuję kogoś, kto według niego uciekł z jego żoną.

— No i stwierdził pan?

— Nie.

— Cyka pan informacje jak spiker radiowy — powiedziała. — Pewnie to nie mój interes... nawet jeśli ten człowiek był moim mężem. Myślałam zresztą, że nie interesuje pana ta sprawa.

— Ludzie stale mi o niej przypominają.

Zagryzła ze złością wargi. Odniosłem wrażenie, że incydent z zamaskowanym mężczyzną w ogóle nie zrobił na niej wrażenia.

— Cóż, może mnie pan odprowadzić do garażu — rzuciła. — Muszę się rozejrzeć za moją eskortą.

Poszliśmy wzdłuż ścieżki, okrążyliśmy róg budynku, minęliśmy oświetlony front i za następnym rogiem natknęliśmy się na oblane powodzią świateł podwórze przed stajniami. Było jak za dawnych czasów wybrukowane cegłą i spadało pochyło w kierunku znajdującego się pośrodku okratowanego ścieku. Samochody błyszczały, strażnik w brązowej liberii wstał ze stołka i podszedł do nas.

— Czy mój chłopak jest wciąż jeszcze pijany? — spytała Vivian uprzejmie.

— Obawiam się, że tak, proszę pani. Okryłem go kocem i otworzyłem okno. Sądzę, że wszystko w porządku. Po prostu odpoczywa.

Podeszliśmy do wielkiego cadillaca. Strażnik otworzył tylne drzwi. Na tylnym przestronnym siedzeniu leżał troskliwie opatulony po uszy pledem mężczyzna, który spał, chrapiąc z otwartymi ustami. Był to wielki blondyn i wyglądało na to, że może dużo wypić.

— Czy pozwoli pan przedstawić sobie Larry'ego Cobba? — spytała Vivian. — Pan Cobb, pan Marlowe.

Chrząknąłem.

— Pan Cobb to właśnie moja eskorta — wyjaśniła. — Przemięły facet, ten pan Cobb. Spełnia wszystkie moje kaprysy. Powinien go pan zobaczyć, kiedy jest trzeźwy. Ja też. W ogóle ktokolwiek powinien go wreszcie zobaczyć trzeźwego. Sądzę, że to by było warte uwiecznienia. Historia tego nie zapomni, tego krótkiego przebłysku, szybko zatartego przez czas, ale niezapomnianego: trzeźwego Larry'ego Cobba.

— Ha! — powiedziałem.

— Myślałam nawet o tym, żeby wyjść za niego za mąż — ciągnęła wysokim, napiętym głosem, jakby dopiero w tej chwili zaczęła przeżywać szok po napadzie. — Byłam w depresji i nic bardziej zabawnego nie przychodziło mi na myśl. Wszyscy przeżywamy takie okresy. Wie pan, za dużo pieniędzy. Jacht, dom na Long Island, letnia rezydencja w Newport, wiosenna na Bermudach... Wszędzie jakieś wille, tu i tam, po całym świecie, prawdopodobnie tylko po to, by w nich postawić butelkę dobrej whisky. A dla Larry'ego Cobba dobra whisky jest bardzo łatwo osiągalna.

— Ha! — odezwałem się znowu. — Czy on ma jakiegoś kierowcę, który odwiózłby go do domu?

— Niech pan nie mówi „ha!”. To zbyt prostackie — spojrzała na mnie marszcząc brwi. Strażnik w liberii przygryzł z mocą dolną wargę. — To oczywiste, ma cały zastęp kierowców. Prawdopodobnie defilują każdego ranka przed garażem, guziki lśnią, uprząż błyszczy, niepokalana biel rękawiczek... Coś w rodzaju elegancji kadetów ze szkoły oficerskiej.

— No dobrze, gdzie w takim razie, do diabła, jest ten kierowca? — zniecierpliwiłem się.

— Dziś wieczorem przyjechał sam — wtrącił strażnik w liberii, jakby się tłumacząc. — Mogę zadzwonić do niego do domu i poprosić o przysłanie kogoś, kto go zabierze.

Vivian odwróciła się do niego i obdarzyła go takim uśmiechem, jakby właśnie obdarował ją brylantowym diademem.

— To by było znakomicie — powiedziała. — Czy mógłby pan to zrobić? Naprawdę nie chciałabym, żeby pan Cobb umarł w ten sposób... z otwartymi ustami. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że umarł z pragnienia.

— To niemożliwe, jeśli się go powącha, proszę pani — powiedział człowiek w liberii.

Sięgnęła do torebki, wyciągnęła zwitek banknotów i podała mu go.

— Jestem pewna, że pan się nim zajmie.

— Jeezu — jęknął strażnik, wybałuszając oczy. — Naturalnie, proszę pani, wszystko załatwię.

— Nazywam się Regan — przedstawiła się słodkim głosem. — Jestem panią Regan. Prawdopodobnie spotka mnie tu pan jeszcze. Pracuje pan tu od niedawna, prawda?

— Tak, proszę pani — jego ręce wyczyiniały przedziwne łamańce z pieniędzmi, które dostał.



— Z pewnością spodoba się panu tutaj — powiedziała. Wzięła mnie pod ramię.—  
Pojedziemy pańskim samochodem, Marlowe.

— Stoi na zewnątrz, przy ulicy.

— Godzę się na wszystko. Uwielbiam małe przechadzki we mgle. Spotyka się takich ciekawych ludzi.

— Mówi pani głupstwa — uciałem niegrzecznie.

Ujęła mocno moje ramię i nagle zaczęła drżeć. Trzymała mnie kurczowo przez cały czas, gdy szliśmy do samochodu. Kiedy wreszcie się w nim znaleźliśmy, przestała dygotać. Pojechałem w dół zakrzywioną drogą wiodącą wśród drzew. Droga prowadziła do De Cazens Boulevard, głównej ulicy w Las Olindas. Przejeżdżaliśmy pod starymi, mrugającymi latarniami, aż wjechaliśmy do miasta. Mijaliśmy budynki i sklepy wyglądające jak wymarłe, stację benzynową z lampą oświetlającą przycisk dzwonka, wreszcie zobaczyliśmy otwarty bar.

— Dobrze będzie, jeśli się pani czegoś napije — powiedziałem.

Skinęła podbródkiem. Biały punkt w rogu samochodu. Wykręciłem hamując i zaparkowałem.

— Mała kawa z kroplą żytniówki powinna panią postawić na nogi.

— Mogłabym się teraz urznąć jak tabun marynarzy. Uwielbiam to.

Otworzyłem przed nią drzwi samochodu. Wysiadła i przeszła tak blisko koło mnie, że otarła się o mój policzek włosami. Weszliśmy do baru. Kupiłem przy ladzie butelkę żytniówki i poniosłem ją do stolika, przy którym usiedliśmy.

— Dwie kawy — poprosiłem. — Czarne, mocne i zaparzone jeszcze w tym roku.

— Nie może pan pić tu wódki — powiedział obsługujący. Nosił wypłowiałą bluzę, był chudy jak patyk, miał niemal uczciwie patrzące oczy i nie wyglądał na kogoś, kto by przebijał mur głową.

Vivian Regan sięgnęła do torebki po pudełko papierosów, wytrząsnęła kilka sztuk z paczki zdecydowanym, męskim ruchem. Wyciągnęła je ku mnie.

— Przepisy zabraniają pić tutaj alkohol — powtórzył kelner.

Zapaliłem papierosa Vivian i sobie, nie zwracając na niego uwagi. Wziął dwie filizanki z kawą i postawił je przed nami. Spojrzał znów na butelkę żytniówki, zamruczał coś przez zęby, wreszcie powiedział znudzony:

— No więc dobrze, nie będę patrzył, kiedy pan będzie nalewał. — Podszedł do okna i odwrócił, się do nas plecami.

— Serce podchodzi mi do gardła — oznajmiłem, odkręcając korek butelki i wlewając potężną porcję do kawy. — Waga prawa i przepisów w naszym stanie jest niezwykła. W okresie prohibicji lokal Eddiego Marsa był nocnym klubem. I noc w noc dwaj policjanci siedzieli w hallu żeby pilnować, czy goście nie przynoszą swojej własnej whisky, zamiast kupować ją w lokalu.

Kelner odwrócił się gwałtownie od okna, wszedł za ladę i usiadł na taborecie. Wypiliśmy naszą wzmocnioną kawę. Zerknąłem na odbijającą się w lustrze twarz Vivian. Była napięta, blada, piękna i dzika. Wargi miała czerwone i popękane.

— Niech pani nie robi takiej nieszczęśliwej miny — powiedziałem. — Jaki haczyk ma na panią Eddie Mars?

Spojrzała na moje odbicie w lustrze.

— Zabrałam mu dzisiaj sporo podczas rulety. Zaczęłam z pięcioma tysiącami, które wczoraj od niego pożyczyłam i których już dzisiaj nie potrzebowałam.

— To go mogło trochę zdenerwować. Jak się panu wydaje, czy to on wysłał za panią tego rewolwerowca?

— Rewolwerowca?

— No, tego faceta z rewolwerem.

— Czy w takim razie pana też można nazwać rewolwerowcem?

— Jasne — roześmiałem się. — Tyle że, ściślej mówiąc, rewolwerowcy zwykle stoją po tej niewłaściwej stronie.

— Często się zastanawiam, czy w ogóle jest jakaś zła strona...

— Odbiegamy od tematu. Co za haczyk ma na panią Eddie Mars?

— Myśli pan: czym mógłby mnie szantażować albo wywierać na mnie nacisk?

— Tak.

Wygięła wargi.

— Mógłby pan być dowcipniejszy, Marlowe. Dużo dowcipniejszy.

— Jak się czuje generał? Aha, nie roszczę sobie pretensji do dowcipu w tym miejscu.

— Niezbyt dobrze. Musiał zostać dzisiaj w łóżku. Niech pan wreszcie przestanie mnie wypytywać!

— Przypominam sobie chwile, kiedy oto samo prosiłem panią. Jak wiele wie generał?

— Prawdopodobnie wie o wszystkim.

— Norris mu opowiedział?

— Nie. Wilde, prokurator rejonowy. Przyszedł, żeby go odwiedzić. Czy spalił pan zdjęcia?

— Naturalnie. Troszczy się pani o swoją małą siostrę, prawda? Przynajmniej od czasu do czasu.

— Myślę, że ona jest jedynym stworzeniem, o które się troszczę. Naturalnie, troszczę się również w pewien sposób o mego ojca. Trzymam go z daleka od tego wszystkiego.

— Nie ma zbyt wielu złudzeń — powiedziałem — ale wydaje mi się, że ciągle jeszcze ma swoją dumę.

— Jesteśmy krwią z jego krwi. W tym właśnie tkwi sedno. — Spojrzała na mnie w lustrze głębokimi, nic nie widzącymi oczami. — Nie chciałabym, żeby w chwili śmierci przeklinał własną krew. Zawsze była to dzika krew, ale nigdy przeklęta.

— A jest taka?

— Sądzę, że pan sam to wie.

— Nie, pani Vivian. Tyle że gra pani w tym wszystkim pewną rolę.

Spuściła wzrok. Wypiłem kawę i przypaliłem dwa papierosy.

— A więc zastrzelił pan kilku ludzi — powiedziała spokojnie. — Jest pan zatem mordercą.

— Ja? W jaki sposób?

— Gazety i policja wszystko to pięknie przedstawiły, ale ja nie wierzę w nic, co przeczytałam.

— Och, myśli pani, że trzeba zapisać na mój rachunek Geigera... albo Brody'ego... albo obu. Nie odpowiedziała.

— Nie musiałem tego robić — powiedziałem. — Być może nawet bym to zrobił i prawdopodobnie nie odpowiadałbym za to. Żaden z nich ani przez chwilę nie zawahałby się przed nafaszerowaniem mi brzucha ołowiem.

— Czyli, w głębi duszy jest pan mordercą, jak każdy glina.

— Niech pani nie opowiada głupstw!

— Jest pan jednym z tych przeraźliwie spokojnych typów, którzy mają tyle uczucia dla innych, co rzeźnik dla świni, którą zarzyna. Wiedziałam o tym od razu, kiedy pana zobaczyłam.

— Ma pani zbyt wielu podejrzanych przyjaciół, żeby wyczuć różnicę.

— W porównaniu z panem wszyscy są mięczakami.

— Dziękuję, szanowna pani. Pani sama też nie jest bułeczką maślaną. Może wyjedziemy z tego przeklętego miasteczka?

Zapłaciłem, włożyłem do kieszeni płaszcz, butelkę żytniówki i wyszliśmy. Kelner patrzył za mną złym wzrokiem.

Wyjechaliśmy z Las Olindas. Po drodze mijaliśmy ociekające wodą nadmorskie osady. Gdziekolwiek świeciły żółte okna domów, ale w większości było ciemno. Od morza niósł nawet przez mgłę zapach wodorostów. Opony zawodziły śpiewnie na mokrym asfalcie bulwarów. Cały świat był przemoczona pustką.

Dojeżdżaliśmy do miasta, kiedy odezwała się do mnie po raz pierwszy od czasu, gdy opuściliśmy bar. Jej głos był stłumiony, tak jakby ją coś głęboko nurtowało.

— Bardzo proszę, pojedźmy do lokalu na plaży. Chciałabym jeszcze rzucić okiem na morze. To niedaleko stąd, pierwsza ulica na lewo.

Na skrzyżowaniu pulsowało żółte światło. Skrzyłem i zacząłem zjeżdżać drogą ze stromym urwiskiem z jednej i torowiskiem trakcji podmiejskiej z drugiej strony. Gdzieś poniżej majaczyły rozproszone światła linii podmiejskiej, a jeszcze dalej przebłyski wały na tle zamglonego nieba nadbrzeżne latarnie. Mgła wyraźnie się podnosiła. Przejechaliśmy przez tor kolejowy, który zniknął gdzieś pod urwiskiem. Wreszcie dojechaliśmy do nie ogrodzonej i nie zagospodarowanej plaży. Po obu stronach stały zaparkowane samochody, zwrócone ku morzu i nie oświetlone. Światła klubu były oddalone o paręset metrów.

Podjechałem do kamiennej bariery, zatrzymałem się i wygasilem światła. Siedziałem milcząc i trzymałem ręce na kierownicy. Poza przeredzoną mgłą morze falowało i pieniło się niemal nie wydając szmeru, jak myśl próbująca się oblec w słowa. — Niech się pan przysunie — powiedziała ochryple.

Przesunąłem się na środek siedzenia. Pochyliła ciało leciutko ku mnie, tak jakby chciała wyrzec przez okno. Potem padła wprost w moje ramiona, nie wydając żadnego dźwięku. Omal nie uderzyła głową o kierownicę. Miała zamknięte oczy i zmienioną twarz. W chwilę później zobaczyłem te oczy otwarte i błyszczące, nawet w panujących ciemnościach.

— Trzymaj mnie mocno, łajdaku — powiedziała.

Początkowo rozluźniłem uścisk ramion. Jej włosy dotykały mojej twarzy, nie sprawiało mi to jednak przyjemności. Przyciągnąłem ją do siebie. Zbliżyłem powoli twarz do jej twarzy. Powieki trzepotały jej gwałtownie, jak skrzydła ćmy.

Pocałowałem ją prędko i mocno. Potem nastąpił długi, nieprzerwany pocałunek. Jej wargi rozchyliły się pod moimi. Ciało drżało w moich objęciach.

— Morderca — szepnęła miękko głosem. Jej oddech uderzał mi w twarz.

Przycisnąłem ją do siebie tak, że omal nie udzieliło mi się drzenie jej ciała. Po dłuższej chwili odsunęła głowę na tyle, by spytać:

— Gdzie mieszkasz?

— Hobart Arms, ulica Franklina.

— Nie znam tej okolicy.

— Chcesz ją poznać?

— Tak — wyszeptwała.

— Jaki haczyk ma na ciebie Eddie Mars?

Ciało jej zeszytniało w moich ramionach, oddech stał się chrapliwy. Cofnęła głowę i spojrzała na mnie wielkimi, rozszerzonymi oczami.

— A więc o to ci chodziło — powiedziała cichym, zgaszonym głosem.

— Tak, o to mi chodziło. Naprawdę, można oszaleć całując ciebie, ale twój ojciec nie wynajął mnie po to, żebym z tobą sypiał.

— Ty skurwysynie — powiedziała cicho, nie ruszając się z miejsca.

Roześmiałem się jej prosto w twarz.

— Niech ci się nie wydaje, że jestem bryłą lodu — powiedziałem. — Nie jestem ślepy i pozbawiony innych zmysłów. W moich żyłach płynie krew, tak samo jak w żyłach innych mężczyzn. Zbyt łatwo można cię mieć, cholernie łatwo. Jaki haczyk ma na ciebie Eddie Mars?.

— Jeśli mnie jeszcze raz zapytasz, zacznę krzyczeć!

— Nie krępuj się, wrzeszcz.

Gwałtownym ruchem odsunęła się ode mnie i usiadła sztywno tuż przy oknie.

— Bywało, że zabijano ludzi za głupsze rzeczy, Marlowe!

— Bywało, że zabijano ludzi za nic. Kiedy z panią rozmawiałem po raz pierwszy, powiedziałem, że jestem detektywem. Niech pani to przeanalizuje w tej pięknej główce! Pracuję jako detektyw, a nie bawię się w detektywa

Pogrzebała w torebce, wyciągnęła chusteczkę i odwróciła ode mnie głowę. Słyszałem, jak drze batystę zębami. Robiła to powoli, systematycznie.

— Dlaczego panu się wydaje, że on ma na mnie jakiś haczyk — wyszeptala wreszcie stłumionym chustką głosem.

— Pozwala pani wygrać masę pieniędzy, po czym wysyła za panią rewolwerowca, żeby je odebrać. A pani nawet nie jest specjalnie zdumiona. Nawet mi nie dziękuje za to, że ją uratowałem. Cały ten incydent był zwyczajną komedią. A gdybym chciał sobie pochlebić, powiedziałbym że została zagrana na moją cześć.

— Czy pan uważa, że on może wygrywać i przegrywać, kiedy sobie tylko tego życzy?

— Z pewnością. Przy równomiernych obstawieniach cztery razy na pięć gier.

— Czy muszę mówić głośno, że mierzi mnie pańska bezczelność, detektywie?

— Niczego pani nie musi. Zostałem już opłacony.

Wyrzuciła przez okno porwaną na kawałki chusteczkę.

— Ma pan zachwycający sposób obchodzenia się z kobietami.

— Z wielką przyjemnością panią całowałem.

— Ale ani przez chwilę nie stracił pan przy tym głowy. To zbyt poniżające. Komu mam za to podziękować, panu czy mojemu ojcu?

— Naprawdę z przyjemnością panią całowałem.

Głos Vivian stał się nagle chłodny.

— Niech mnie pan stąd odwiezie – wycodziła — jeśli pan tak miły. Marzę o tym, żeby pojechać do domu.

— Czy nie zechciałaby pani żywić wobec mnie siostrzanych uczuć?

— Gdybym miała przy sobie brzytwę, chętnie podciąłabym panu gardło... żeby sprawdzić, co wypłynie z rany!

— Żabia krew, pani Regan — odpowiedziałem.

Nacisnąłem starter, wykręciłem i wkrótce przecięliśmy tory, wjechaliśmy na autostradę i do miasta.

Nie odzywała się do mnie. Siedziała nieruchomo przez całą drogę. Wreszcie przejechałem przez bramę i podjechałem zapadniętym podjazdem do wielkiego domu. Gwałtownym ruchem otworzyła drzwiczki samochodu i wysiadła, zanim zdążyłem na dobre zahamować. Ciągle milczała. Patrzyłem na jej plecy, gdy stała naciskając dzwonek. Drzwi otwarły się i ukazał się w nich Norris. Przepchnęła się obok niego z furją i zniknęła we wnętrzu domu. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a ja siedziałem i gapiłem się na nie.

Wreszcie zawróciłem i pojechałem do domu.

## Rozdział XXIV

Tym razem hall był pusty. Za palmami ustawionymi w wielkich drewnianych kubłach nie czekał na mnie żaden rewolwerowiec, żeby wydawać mi, jakies rozkazy. Wjechałem windą na swoje piętro i poszedłem w kierunku stłumionego drzwiami głosu z radia. Wiedziałem, że muszę coś wypić i spieszyłem się, żeby nalać sobie drinka. Wchodząc do pokoju nie zapaliłem światła. Poszedłem prosto do małej kuchenki, ale wyczułem, że coś jest nie w porządku. W powietrzu unosił się jakiś zapach. Zaslony w oknach były zaciągnięte. Sączyło się przez nie słabe światło z ulicy. Zatrzymałem się nasłuchując. Zapach unoszący się w powietrzu był zapachem ciężkich, odurzających perfum.

Nie słyszałem jednak niczego, najmniejszego szmeru. Wreszcie moje oczy przyzwyczyły się do ciemności i wtedy zobaczyłem przed sobą na podłodze coś, co nie powinno się tam znajdować. Cofnąłem się, wymacałem kciukiem kontakt i zapaliłem światło.

Łóżko było posłane. W pościeli coś zachichotało. Jasnowłosa głowa wciśnięta była w moją poduszkę. Dwa nagie ramiona leżały zaokrąglone, a dwie należące do nich dłonie splotły się za blond głową. Carmen Sternwood leżała w moim własnym łóżku i chichotała. Fala jasnych włosów spoczywała na poduszce, jakby ułożona specjalnie do tego celu wyćwiczonymi dłońmi. Szaroniebieskie oczy patrzyły na mnie z właściwym dla siebie wyrazem — były puste jak dwa ciemne wyloty rewolwerów. Śmiała się. Jej małe, ostre zęby błyszcząły.

— Prawda, że jestem piękna?

— Jak pijany Murzyn w niedzielną noc — odpowiedziałem szorstko.

Podszedłem do stojącej lampy i zapaliłem ją. Zgasilem górne światło i wróciłem do lampy, by pochylić się nad szachownicą stojącą na małym stoliku. Było to zadanie „mat w sześciu posunięciach”. Nie mogłem go rozwiązać, tak zresztą jak wielu innych swoich problemów. Ująłem rycerza i przesunąłem go na inne pole, następnie zdjąłem kapelusz i palto i rzuciłem to wszystko, nie patrząc gdzie. Cały czas dobiegał mnie z łóżka cichy chichot, który przywodził mi na myśl popiskiwanie szczurów za drewnianymi boazeriami starego domu.

— Mogę się założyć, że nie zgadniesz, w jaki sposób tu weszłam.

— Mogę się założyć, że tak. — Wzięłem papierosa i spojrzałem na nią ponuro.— Przeleciałaś przez dziurkę od klucza jak Piotruś Pan.

— A kto to taki?

— Facet, którego spotkałem kiedyś w swoim klubie.

Zachichotała.

— Jesteś ładniutki, wiesz?

Chciałem jej poradzić, żeby nie zapominała o swoim kciuku. Uprzedziła mnie jednak. Nie trzeba było jej tego przypominać. Wyciągnęła prawą rękę spod głowy i zaczęła ssać palec, patrząc na mnie okrągłymi, beczelnymi oczami.

— Jestem zupełnie rozebrana — oznajmiła widząc, że skończyłem palić i patrząc na nią.

— Mój Boże — powiedziałem. — Miałem to na końcu języka. Zastanawiałem się, co to takiego. Prawie to złapałem, kiedy zaczęłaś mówić. Jeszcze minuta, a powiedziałbym: „Założę się, że jesteś zupełnie rozebrana”. Ja natomiast noszę zawsze w łóżku kalosze na wypadek, żeby się nie pośliznąć na śliskiej podłodze, gdy się obudzę w złym nastroju.

— Jesteś ładnutki — powtórzyła, kręcąc głową jak małe kocię. Następnie wyciągnęła lewą rękę spod głowy, ujęła brzeg kołdry i po dramatycznej pauzie — odrzuciła ją. Owszem, była naga, jak ją Pan Bóg stworzył. Leżała w świetle lampy w łóżku, naga i połyskująca jak perła. Panienci Sternwood dużo mi dzisiaj ofiarowywały.

Usunąłem okruszynę tytoniu z dolnej wargi.

— To piękne — powiedziałem. — Szkoda, że już to kiedyś wszystko widziałem. Pamiętasz? Jestem tym facetem, który zawsze cię spotyka, kiedy nie masz nic na sobie.

Zachichotała trochę dłużej. Zakryła się kołdrą.

— A więc, proszę mi powiedzieć, w jaki sposób tu weszłaś? — spytałem.

— Administrator mnie wpuszcił. Pokazałam mu twoją wizytówkę. Ukradłam ją Vivian. Powiedziałam mu, że wezwał mnie do siebie i że mam na ciebie czekać. Naturalnie byłam... byłam bardzo tajemnicza.

— Doskonale — powiedziałem. — Tacy są już administratorzy. A teraz, skoro już wiem, jak się tutaj dostałaś, to może mi powiesz, jak zamierzasz stąd wyjść.

Zaśmiała się.

— O, jeszcze nie. Jeszcze długo nie... Bardzo mi się tu podoba, no i ty jesteś ładnutki...

— Posłuchaj — wycelowałem w nią papierosem. — Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię jeszcze raz ubierał. Jestem zmęczony. Naturalnie, doceniam to wszystko, co mi proponujesz. Jest to jednak więcej, niż mogę przyjąć. Doghouse Reilly nigdy nie potrafiłby w ten sposób wykorzystać przyjaciela. A ja jestem twoim przyjacielem. I nie mogę cię wykorzystać, nawet wbrew sobie. Musimy pozostać przyjaciółmi, a to nie jest droga, która prowadzi do przyjaźni. Czy teraz już mogłabyś się ubrać jak mała, grzeczna dziewczynka?

Kręciła głową, obracając ją na wszystkie strony.

— Posłuchaj — ciągnąłem dalej. — Zupełnie nic sobie ze mnie nie robisz! Chcesz mi pokazać, jak umiesz być niegrzeczna. Ale to naprawdę niepotrzebne. Wiem o tym. Przecież jestem tym facetem, który cię znalazł...

— Zgaś światło — zaśmiała się.

Rzuciłem papierosa na podłogę i zdeptałem go. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę i wytarłem spocone dłonie. Spróbowałem jeszcze raz.

— Naprawdę to nie z powodu sąsiadów — powiedziałem. — Ich to nie obchodzi. W takim domu jak ten często można spotkać małe, wałęsające się k... Jedna więcej czy mniej... Ten dom się nie zawali. Ale dla mnie to sprawa dumy zawodowej. Wiesz, co to znaczy duma zawodowa? Pracuję dla twojego ojca. To bardzo chory człowiek, bardzo słaby i potrzebujący pomocy. I ufa mi w pełni, bez żadnych zahamowań. Carmen, bardzo proszę, ubierz się!

— Nie nazywasz się Doghouse Reilly — stwierdziła. — Nazywasz się Philip Marlowe. Mnie nie nabierzesz.

Spojrzałem znów na szachownicę i zrozumiałem, że źle postawiłem skoczka. Przesunąłem go na dawne miejsce. Podskakujący rycerze w gruncie rzeczy nie liczą się w tej grze. To nie jest gra dla rycerzy. Znowu spojrzałem na Carmen. Teraz leżała cicho. Błada twarz na tle poduszek, wielkie pociemniałe oczy, puste jak studnie podczas suszy. Jedna z jej małych dłoni nerwowo miała kóldrę. Zrozumiałem, że nieokreślony przeblysłk zwątpienia zakiełkował w jej duszy. Nie zdawała sobie jeszcze w pełni z tego sprawy. To zbyt trudne dla kobiety, zwłaszcza bardzo ładnej kobiety, stwierdzić, że jej ciało nie wywołuje zainteresowania.

— Pójdę do kuchni, żeby zmieszać sobie drinka — powiedziałem. — Chcesz jednego?

— Aha. — Ciemne, tajemnicze oczy patrzyły na mnie poważnie, rosło w nich zwątpienie, wpęzało nieuchronnie, jak kot podkradający się wśród wysokiej trawy do pisklęcia.

— Jeśli ubierzesz się do czasu, kiedy wrócę, dostaniesz kieliszek, zgoda?

Zaciśnięte zęby Carmen rozchyliły się. Wydobył się z nich przedziwny syk. Nie odpowiadała. Wszedłem do kuchni i zmieszałem whisky z wodą sodową. Przygotowałem dwie szklaneczki. Niestety, nie posiadałem naprawdę podniecających napojów, takich jak nitrogliceryna czy też destylowana ślina tygrysa. Nie poruszyła się kiedy wróciłem ze szklankami. Syk ustał. Jej oczy były znów martwe. Wargi zaczęły się do mnie uśmiechać. Nagle podskoczyła, zrzuciła z siebie kóldrę i wyciągnęła rękę.

— Dawaj!

— Jak się ubierzesz. Nie dam, dopóki się nie ubierzesz.

Postawiłem szklanki na stoliku do gry, usiadłem i zapaliłem nowego papierosa.

— Ubieraj się, Carmen. Nie będę patrzył.

Patrzyłem w inną stronę. Nagle usłyszałem znów ten przedziwny syk, gwałtowny i ostry. Zmusiło mnie to do spojrzenia na nią. Siedziała naga, opierając się rękami o materac. Usta miała szeroko otwarte, a twarz sprawiała wrażenie maski z kości słoniowej. Dźwięk, który wydobywał się z jej ust nie miał nic wspólnego z tą kamienną twarzą. Na dnie jej oczu — choć były tak puste jak zawsze, czaiło się coś, czego jeszcze nigdy dotąd nie widziałem w kobiecych oczach.

Wreszcie jej wargi poruszyły się powoli i ostrożnie, jakby były sztuczne i wprawiane w ruch przy pomocy drucików.

Nazwała mnie plugawym przekleństwem.

Nie przejąłem się tym. Było mi wszystko jedno, jak mnie nazwie... jak ktokolwiek mnie nazwie. Ale ten pokój był miejscem, gdzie żyłem. Był tym, co mogłem zawrzeć w pojęciu „mój dom”. W tym pokoju było wszystko, co do mnie należało, co miało ze mną jakiś związek, cała moja przeszłość. Nie było tego wiele — radio, szachy, kilka książek, obrazów, stare listy i takie inne głupstwa. Właściwie nic. Ale były w nich zawarte moje wspomnienia.

Nie mogłem jej dłużej znieść w tym pokoju. Ordynarne przekleństwo po prostu mi to uświadomiło.

— Daję ci trzy minuty — powiedziałem spokojnie — na wyjście stąd i ubranie się. Jeżeli nie wyjdiesz w tym czasie, wyrzucę cię siłą... Tak, jak stoisz w tej chwili, naga. A w ślad za tobą posłę twoje rzeczy. A więc, pośpiesz się!

Zęby jej szczękały, a syk stawał się coraz donioślejszy i coraz bardziej zwierzęcy. Opuściła nogi na podłogę i wzięła ubranie leżące na krześle obok łóżka. Ubierała się. Przyglądałem się jej. Ubierała się niezdarnymi — jak na kobietę — sztywnymi palcami, ale mimo to szybko. Była gotowa w ciągu dwóch minut. Mierzyłem jej czas.

Stała obok łóżka, przyciskając do futra zieloną torebkę. Na głowie miała śliczny zielony kapelus, przekrzywiony na jedną stronę. Stała tak jeszcze przez moment, sycząc wciąż na mnie,

z twarzą wciąż jak maska z kości słoniowej, z oczami wciąż pustymi, z czającym się wciąż na ich dnie szaleństwem. Wreszcie podeszła szybko do drzwi, otworzyła je i wyszła, nie wypowiadając ani jednego słowa, nie oglądając się.

Usłyszałem, jak winda rusza i zjeżdża w dół szybu.

Podszedłem do okna, odsunąłem zasłony i otworzyłem okno na oścież. Napłynęło przez nie wieczorne powietrze, stęchłośłodkawe, przesycone zapachem ulic wielkiego miasta i pełne spalin samochodowych. Sięgnąłem po drinka i popijałem go powoli. Z dołu doszedł mnie trzask wejściowych drzwi, lekkie kroki zadźwięczały na pustym chodniku. Gdzieś niezbyt daleko ruszył jakiś samochód.

Odwróciłem się i spojrzałem na łóżko. Poduszka zachowała jeszcze kształt jej małej głowy, a na prześcieradle był widoczny odcisk jej delikatnego, zdemoralizowanego ciała.

Odstawiłem kieliszek i z wściekłością rozkopałem pościel.

## Rozdział XXV

Tego ranka znów padał deszcz — drobny, szary deszcz, tworzący nad miastem kryształową kurtynę. Obudziłem się ociężały i zmęczony. Stałem obok okna i wyjrzałem przez nie. Czułem głęboki niesmak do rodziny Sternwoodów. Podszedłem do kuchenki i wypilem dwie filiżanki czarnej kawy. Można mieć kaca nie tylko od alkoholu. Właśnie go miałem. Po kobietach. Przyprawiały mnie o mdłości.

Ogoliłem się, uczesałem, ubrałem, zszedłem na dół i wyjrzałem na ulicę. Po drugiej stronie jezdni, w odległości jakichś trzystu metrów, stał szary plymouth. Ten sam, który mnie wczoraj śledził i o który pytałem Eddiego Marsa. Być może siedział w nim jakiś policjant, który właśnie dysponował wolnym czasem i który chciał się zabawić w śledzenie mojej osoby. Być może był to jakiś miły kolega—detektyw, który dostał polecenie, by wsadzić nos w nie swoje sprawy i obietnicę, że zyska przy tym coś niecoś. Albo był to — być może — biskup z Bermudów, któremu nie podobało się moje nocne życie.

Cofnąłem się, zjechałem windą do garażu, wsiadłem do samochodu i przejechałem obok szarego wozu. Siedział w nim samotny, niepozorny człowieczek. Nacisnął starter w chwili, kiedy go mijalem. Wszystko wskazywało na to, że lepiej pracuje mu się w deszczu. Tym razem siedział mi dosłownie na tylnym zderzaku, ale nigdy nie podjechał na tyle blisko, bym mógł mu zablokować drogę. Pojechałem wzdłuż bulwaru i zaparkowałem niedaleko mojego biura. Wsiadłem z samochodu i ruszyłem w kierunku wejściowej bramy, z wysoko podniesionym kołnierzem płaszcza przeciwdeszczowego i z nisko opuszczonym rondem kapelusza. Nie uchroniło mnie to jednak od deszczu. Szary samochód stanął naprzeciwko, przy hydrancie. Podszedłem do skrzyżowania, przeszedłem na drugą stronę ulicy i przemaszerowałem koło samochodu. Plymouth trwał nieruchomo. Nikt z niego nie wysiadł. Szarpnąłem za drzwiczki.

Niewielkiego wzrostu mężczyzna o świetlistych oczach siedział za kierownicą, wciśnięty w róg samochodu. Stałem i przyglądałem mu się, czując kawalkadę kropli deszczu na plecach. Oczy połyskiwały mu zza kłębow dymu. Dłonie nerwowo uderzały o koło kierownicy.

— Niech się pan wreszcie zdecyduje — powiedziałem.



Przełknął ślinę, papieros zadygotał w zaciśniętych wargach.

— Wydaje mi się, że pana nie znam — odezwał się cichym, jakby przestraszonym głosem.

— Marlowe, do usług. Facet, którego próbuje pan od kilku dni śledzić.

— Nikogo nie śledzę.

— Za to ten gruchot i owszem. A może pan nad nim nie panuje? A zresztą, niech pan robi, co się panu żywnie podoba. Idę teraz na śniadanie do kawiarni, tam naprzeciwno, wie pan: sok pomarańczowy, jajecznica z szynką, bułeczki, miód, trzy albo i cztery filiżanki kawy. Aha! i wykałaczką. Potem pojedę do mojego biura, które znajduje się na siódmym piętrze, w domu naprzeciwno którego stoimy. Jeżeli nadal jeszcze będzie panu coś leżało na sercu, to niech pan się zdecyduje i przyjdzie wyrzucić to z siebie. A ja w tym czasie pójdę naoliwić swój karabin maszynowy.

Pozostawiłem go w samochodzie, mrugającego oczami, W dwadzieścia minut później zostałem nawiedzony przez sprzątaczkę i miałem okazję otworzyć grubą kopertę, zaadresowaną na moje nazwisko pięknym staromodnym charakterem pisma. Zawierała krótką oficjalną notkę i czek na pięćset dolarów, wystawiony na Philipa Marlowe'a, a podpisany w zastępstwie generała Guya de Brisay Sternwooda przez Norrisa. Dzień zaczynał się naprawdę pięknie. Wypisywałem właśnie formularz do banku, kiedy dźwięk dzwonka dał mi do zrozumienia, że ktoś przyszedł mnie zobaczyć. Do pokoju wszedł mały człowieczek z plymoutha.

— No wreszcie — powiedziałem. — Niech pan wejdzie i zrzuć płaszcz.

Prześliznął się koło mnie ostrożnie, podczas gdy przytrzymałem drzwi, tak jakby się obawiał, że za chwilę go kopnę. Usiedliśmy naprzeciwno sobie po obu stronach biurka. Był rzeczywiście niski, miał jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu. Miał czujne, świetliste oczy, którym usiłował nadać surowy wyraz, z takim mniej więcej powodzeniem, jak by się to udało zrobić misiowi koala. Nosił dwurzędowy ciemnoszary garnitur, zbyt obszerny w ramionach i ze zbyt szerokimi kłapami. Z wycięcia marynarki wystawał fular z mokrymi plamami od deszczu.

— Być może pan mnie zna — zaczął. — Nazywam się Harry Jones.

Powiedziałem, że go nie znam. Podsunąłem mu pudełko z papierosami. Małe czyste palce schwyły papierosa błyskawicznie, niczym pstrąg połykający muchę. Zapalił go stojącą na biurku zapalniczką i zamachał ręką.

— Wiem wszystko dokładnie — poinformował. — Znam tych chłopców i im podobnych! Zajmowałem się trochę przemytem alkoholu. To kławy interes, stary. Jedziesz sobie samochodem z rewolwerem na podółku i pełną ładownicą na biodrach. Zdarzyło się, że załatwialiśmy paru facetów po drodze. Fajny interes.

— Wstrząsające — powiedziałem.

Rozsiadł się wygodniej na krześle, ułożył małe usteczka w maleńki ryjek i wypuścił kłąb dymu pod sufit.

— Może mi pan nie wierzy? — zapytał.

— Może tak, może nie. Możliwe też, że nie zdążyłem sobie jeszcze zaprzętnąć umysłu rozważaniem, czy pan mówi prawdę czy nie. Ale w jakim celu opowiedział mi pan tę historyjkę? Spodziewa się pan czegoś?

— Niczego — mruknął uszczypliwie.

— Śledzi mnie pan już od kilku dni — ciągnąłem. — Jak szczeniak, który chce przygadać sobie dziewczynę i nie ma na to odwagi. Może sprzedaje pan polisy ubezpieczeniowe? A może zna pan faceta o nazwisku Joe Brody? Jest wiele może, z tej prostej przyczyny, że w moim zawodzie ma się wiele spraw na głowie.

Oczy wylazły mu z orbit, a dolna warga opadła

— Boże! skąd pan o tym wie? — wyjąkał.

— Jestem medium — stwierdziłem. — Niech pan wreszcie wyłoży kawę na ławę. Nie mam całego dnia wolnego.

Świetliste oczy niemal zniknęły między przymrużonymi powiekami. Zapanowało milczenie. Deszcz dudnił o dach domu stojącego obok. Człowiek siedzący naprzeciwko mnie uniósł wreszcie powieki, jego oczy znów zabłyśły, i powiedział pełnym namysłu głosem:

— Próbowałem się z panem skontaktować. Mam coś na sprzedaż... chcę to sprzedać tanio, za dwie setki. Dlaczego pan mnie łączy z Brodym?

Otworzyłem list i przeczytałem go. Dotyczył półrocznego, korespondencyjnego kursu na temat badania odcisków palców i tym podobnych zawodowych umiejętności. Wrzuciłem go do kosza i znów spojrzałem na małego człowieczka.

— Niech pan sobie z tego nic nie robi. Tak się po prostu zastanawiałem. Nie jest pan policjantem. Nie jest pan też członkiem bandy Eddiego Marsa. Pytałem go o to poprzedniej nocy. A nie znam już więcej nikogo, oprócz przyjaciół Joe Brody'ego, kto mógłby tak bardzo się interesować moją osobą.

— Mój Boże! — westchnął, oblizując wargi. Jego twarz zbieiała jak papier, kiedy wspomniałem Eddiego Marsa. Rozchylił usta i papieros, nie wiadomo na jakiej zasadzie, zawisł w ich kąciku, jakby był przyrośnięty. — Buja mnie pan — powiedział wreszcie z uśmiechem, jaki spotyka się tylko w salach operacyjnych.

— Jasne, bujam pana — stwierdziłem i otworzyłem inny list. Proponowali mi przesyłanie codziennego serwisu informacyjnego wprost z jaskini Iwa, to znaczy z Waszyngtonu. — Mam nadzieję, że Agnes została już zwolniona? — spytałem.

— Taak. To ona mnie tu przysłała. Interesuje to pana?

— Naturalnie, taka słodka blondynka...

— Bzdura. Miał pan wtedy tam interes... tej nocy, kiedy sprzątnięto Brody'ego. Brody musiał wiedzieć coś ważnego o Sternwoodach, inaczej nie podjąłby ryzyka i nie wysyłałby tych zdjęć.

— Aha. Więc wiedział coś. Co takiego?

— To, co kosztuje dwieście dolarów.

Wrzuciłem do kosza jeszcze kilka reklam i zapaliłem kolejnego papierosa.

— Musimy wyjechać z miasta — ciągnął dalej. — Agnes jest bardzo miłą dziewczyną. Nie może jej pan niczego przyszyć za Geigera i za książki. Wie pan, że kobietom nie jest dzisiaj za lekko, nie?

— Jest za wielka dla pana — zauważyłem. — Rozpłaszczy pana i zadusi.

— Trochę głupawy ten dowcip — stwierdził tonem, w którym pobrzmiwało tyle godności własnej, że aż się na niego zagapiłem.

— Ma pan rację — zgodziłem się. — Ostatnio przebywałem w złym towarzystwie. Skończmy to klepanie i przejdźmy do sprawy. Co pan ma do zaproponowania za te pieniądze?

— Zapłaci pan?

— To zależy...

— Jeżeli pomoże to panu w odnalezieniu Rusty'ego Regana?

— Nie szukam Rusty'ego Regana.

— Gadanie. Chce pan to usłyszeć czy nie?

— A więc, mój drogi, wyrzuć to pan z siebie. Zapłacę za wszystko, co mi się przyda. Tyle że za dwie setki kupuje się w moim środowisku kupę informacji!

— Eddie Mars kazał zastrzelić Regana — powiedział i rozparł się w krzesło, jakby przed chwilą wybrano go na wiceprezydenta.

Pokazałem ręką na drzwi.

— Nie zamierzam się z panem sprzeczać — zapowiedziałem. — Muszę oszczędzać tlen. Niech pan idzie w swoją stronę.

Oparł się o biurko, zacisnął zęby. Zza przepierzenia dochodził monotony odgłos pisania na maszynie, linijka po linijce, strona po stronie.

— Ja wcale nie żartuję! — zaprotestował.

— Skończ pan z tym! Niech mi pan nie przeszkadza, jestem bardzo zajęty.

— O nie, to nie przejdzie — zdenerwował się. — Przyszedłem tutaj, żeby się wypowiedzieć i zrobiłem to. Znałem Rusty'ego osobiście. Niezbyt dobrze, ale na tyle, by spytać: „Jak się masz, chłopie?”. I odpowiadał mi albo nie, w zależności od tego jak uważał. Był sympatycznym facetem. Zawsze go lubiłem. Kombinował z pieśniarką kabaretową o pseudonimie Mona Grant. Później zmieniła nazwisko na Mars. Rusty cierpiał, więc ożenił się z bogatą dziewczyną, która biega po nocnych lokalach, tak jakby nie miała łóżka w domu. Zna pan ją bardzo dobrze. Wysoka, ciemnowłosa, wygrałaby niejednego konkursu piękności, ale należy do gatunku tych, które są przekleństwem dla każdego mężczyzny. Zbyt rozhisteryzowana. Rusty nie mógł z nią wytrzymać, ale mógłby wytrzymać z kasą jej ojca, nie? Tak należało na to patrzeć, nie? Ale ten Regan był przedziwnym ptaszkiem. Zawsze myślał inaczej niż wszyscy, zawsze rozglądał się za czymś innym. Nigdy nie był obecny tam, gdzie się znajdował. Wydaje mi się, że całą tę forszę miał gdzieś. A jak ja to mówię, przyjacielu, to jest komplement.

Mały człowieczek wcale nie był taki głupi. Mały, śliski kombinator. Nikt by nie podejrzewał, że miał takie myśli i co więcej, umiał je wyrażać.

— No więc uciekł — powiedziałem.

— Być może miał zamiar uciec. Z tą dziewczyną, Moną. Ona nie żyła z Eddie Marssem. Nienawidziła jego interesów, szczególnie tych pokątnych, jak szantaż, napady, przemykanie ludzi. Krążą słuchy, że Regan pewnej nocy ostrzegł Marsa, że jeśli kiedykolwiek spróbuje wciągnąć Monę do jakiejś kryminalnej afery, to tego samego dnia będzie miał z nim do czynienia.

— Większa część tego, co mi pan tu opowiada, znajduje się w aktach. Za to nie może pan ode mnie żądać pieniędzy, Harry — oświadczyłem.

— Właśnie przechodzę do tego, czego nie ma w aktach. Regan zaczął szaleć. Widziałem go każdego popołudnia, jak siedział w lokalu Vardiego, pił whisky i rozglądał się po ścianach. Nie był za bardzo rozmowny. Dawał mi czasem do załatwienia jakieś zakłady, tu i tam, w gruncie rzeczy po to tam przychodziłem.

— Myślałem, że pracował w ubezpieczeniach?

— To był tylko kamuflaż. Chociaż sądzę, że sprzedałby i polisę ubezpieczeniową, gdyby go ktoś przycisnął do muru. No więc, mniej więcej od połowy września nie spotkałem już nigdy Regana. Nie od razu zwróciłem na to uwagę. Wie pan, jak to się dzieje. Człowiek jest, to się go widzi, a jak go nie ma, to się go nie widzi, aż zdarzy się coś, co panu o nim przypomni. Ja zacząłem się zastanawiać, gdy usłyszałem, jak ktoś żartując opowiadał, że żona Eddiego Marsa uciekła z Rustym Reganem i że Eddie zamiast cierpieć, zachowuje się tak, jakby to on kogoś okpił. Opowiedziałem o tym Joe Brody'emu, no a Joe Brody był bardzo cwany.

— Jak diabli — stwierdziłem.

— Nie tak cwany jak gliny, ale zawsze. Nie miał pieniędzy. Zaczął więc węszyć, czy nie natrafi na ślad tych dwojga gruchających ptaszków. Mógłby wówczas podwójnie inkasować: od Eddiego Marsa i od żony Regana. Joe znał tę rodzinę bardzo dobrze.

— Była dla niego warta pięć tysięcy — powiedziałem. — Chciał ich na tyle właśnie naciągnąć.

— Naprawdę? — Harry Jones był wyraźnie zaskoczony, — Agnes powinna była mi o tym powiedzieć. No, ale takie są kobiety. Zawsze coś ukrywają. A więc razem z Joem śledziliśmy pilnie gazety, ale nic w nich nie znaleźliśmy, wywnioskowaliśmy więc, że stary Sternwood chce to zatuszować. Pewnego dnia spotkałem u Vardiego Lascha Canina. Zna go pan?

Pokręciłem przecząco głową.

— To jest facet tak bezczelny i twardy, jak niektórzy to sobie wyobrażają o sobie samych. Pracował dorywczo u Eddiego Marsa, to znaczy wtedy, kiedy Mars miał trudności i potrzebował rewolwerowca. Canino umiał zastrzelić człowieka w przerwie między wypiciem dwóch kieliszków wódki. Kiedy Mars go nie potrzebuje, Canino trzyma się z daleka. I nie mieszka w Los Angeles. Naturalnie, może to coś oznaczać albo i nic. Być może, po prostu przyczał się w swojej norze, czekając na okazję. Ale mogło też w ogóle być inaczej. Opowiedziałem o tym Joemu i Joe zaczął śledzić Canino. A on umiał śledzić. Ja się do tego nie nadaję. No więc Joe śledził Canino aż do rezydencji Sternwoodów. Canino zaparkował samochód przed posiadłością, gdzie podjechał do niego inny samochód, z jakąś dziewczyną w środku. Rozmawiali przez chwilę. Joemu wydawało się, że ona mu coś dawała, coś jakby pieniądze. Dziewczyna odjechała później. To była żona Regana. Czyli ona знаła Canino, a Canino znał Marsa. Joel był już teraz zupełnie pewien, że Canino wie coś o Reganie i próbuje przycisnąć trochę dziewczynę na własny rachunek. Niestety, Canino zniknął, a Joe zgubił jego ślad. Koniec aktu pierwszego.

— Jak wygląda Canino?

— Mały, masywnie zbudowany szatyn o brązowych oczach, nosi zawsze brązowe ubrania i brązowy kapelusz. Ma nawet płaszcz od deszczu brązowy. Jeździ też brązowym samochodem. Brąz to jest to dla pana Canino.

— Przejdźmy do drugiego aktu — zaproponowałem.

— Bez forsy, koniec przedstawienia.

— Dotychczas nie jest to dla mnie warte dwóch setek, pani Regan wyszła za przemytnika alkoholu, którego poznała w knajpie. Znała zresztą wiele ludzi tego pokroju. Znała też doskonale Eddiego Marsa. Jeżeli pomyślała, że Reganowi coś się stało, to Eddie był tym człowiekiem, do którego mogła się w tej sprawie zwrócić, a Canino mógł być tym człowiekiem, któremu Eddie przekazał sprawę. Czy to wszystko, co pan wie?

— Czy wyda pan dwieście dolarów, żeby dowiedzieć się, gdzie jest żona Eddiego Marsa? — spytał spokojnie mały człowieczek.

Tym razem trafił w dziesiątkę. Oparłem się o poręcz krzesła tak gwałtownie, że o mało nie pękła.

— Nawet wówczas, gdyby znajdowała się tam sama — kontynuował Harry Jones cichym, odrobinę złowieszczym głosem. — Nawet gdyby nie uciekła z Reganem, a była trzymana w ukryciu w odległości około czterdziestu mil od Los Angeles, po to by policja myślała, że zniknęła razem z nim? Czy za to zapłaciłby pan dwieście dolarów, panie prywatny detektywie?

Oblizalem wargi. Były suche i słonawe.

— Wydaje mi się, że zapłaciłbym — powiedziałem. — Gdzie?

— Agnes ją odnalazła — wyjaśnił ponuro. — Dzięki przypadkowi. Widziała, jak jechała i udało jej się dotrzeć za nią aż do jej domu. Agnes opowie panu, gdzie to jest... I kiedy już będzie miała pieniądze w ręce.

Spojrzałem na niego z surową miną.

— Mógłby pan to opowiedzieć za darmo policji, Harry, Mają teraz kilku bardzo zdolnych spowiedników. A gdyby pana wykończyli, pozostałaby jeszcze Agnes.

— Jeżeli da im pan szansę, żeby to zrobili, przekona się pan, że nie jestem taki łatwy do złamania — zagroził.

— Agnes musi naprawdę mieć w sobie coś, czego ja nie zauważyłem — powiedziałem.

— Jest łajdaczką. Ja również jestem łajdakiem. Wszyscy jesteśmy łajdakami. Dlatego też sprzedajemy siebie wzajemnie za parę groszy. To jasne. Niech pan spróbuje mnie kupić. — Wziął papierosa z pudełka leżącego na stole, umieścił go pieczołowicie między wargami, po czym zapalił zapałkę dokładnie tak, jak ja to zwykle robić — pocierając o obcas. Systematycznie wydmuchiwał dym i przyglądał mi się spod zmrużonych powiek. Śmieszny, dumny facecik, którego mógłbym zdusić jednym palcem. Mały człowieczek zaplątany w świecie dużych ludzi. Było w nim jednak coś, co mi się podobało.

— Nie próbowałem tutaj wyciągać pieniędzy — odezwał się. — Przyszedłem, żeby porozmawiać o dwóch setkach. Cena jest ostateczna. Przyszedłem, gdyż myślałem, że je dostanę. Albo i nie. W obu wypadkach miała to być czysta robota. A pan zaczyna mnie straszyć policją. Powinien pan się wstydzić, drogi panie.

— Dostanie pan tę forszę za te informacje — powiedziałem. — Najpierw jednak muszę sam odebrać pieniądze.

Wstał, skinął głową.

— Tak to w porządku. Lepiej jednak jak się ściemni. To śmierdząca historia, jeśli się próbuje wejść w drogę takim ludziom jak Eddie Mars. Trzeba jednak jakoś żyć. Było by dobrze, gdyby pan przyszedł do mego biura, mieszczącej go się na zachodnim bulwarze pod numerem 428. Przyniesie pan pieniądze, a ja zaprowadzę pana do Agnes.

— Czy nie może pan mi podać adresu Agnes? Znam ją przecież.

— Nie. Obiecałem jej — stwierdził bez wykrętów. Zapiął płaszcz, włożył kapelusz, jeszcze raz kiwnął mi głową, powędrował do drzwi i wyszedł. Jego kroki cichły w korytarzu.

Zszedłem do banku, żeby przelać na swoje konto pięćsetdolarowy czek generała i podjąć dwie setki na potrzeby bieżące. Wróciłem na górę i zasiadłem w fotelu obrotowym, by przemyśleć to, co mi naopowiadał Harry Jones. Wyglądało to trochę zbyt gładko. Raczej na uładzoną prostotę fikcji niż na pokrętną realną rzeczywistość. Kapitan Gregory z pewnością byłby w stanie odnaleźć Monę Mars, gdyby znajdowała się tak blisko, gdzieś na jego terenie.

Myślałem o tym wszystkim przez większą część dnia, Nikt nie odwiedził mego biura. Nikt do mnie nie dzwonił. Wciąż padało.

## Rozdział XXVI

O siódmej deszcz przestał padać, dając krótką chwilę wytchnienia, ale ścieki pozostały wciąż przepełnione. W Santa Monica woda stała równo z poziomem chodnika, cieniutki film wilgoci

pokrywał nawet powierzchnię krawężników. Kierujący ruchem policjant, spowity od stóp do głów w błyszczący czarny płaszcz, brnął przez potoki wody, opuściwszy właśnie schronienie, jakie dawały mu przemoczone markizy. Gumowe obcasy moich butów ślizgały się po chodniku, kiedy skręcałem do biurowca, w którym urzędował Jones.

Pojedynczy błysk światła zapłonął gdzieś z tyłu, gdy i otwarłem drzwi — połączana winda. W hallu stała na wyłysiałej gumowej wycieracze zmatowiała spluwaczka. Na ścianie o musztardowym kolorze wisiała gablotka ze sztucznymi zębami. Otrząsnąłem kapelusz z deszczu i spojrzałem na listę instytucji umieszczoną obok gablotki z zębami. Numery z nazwiskami i numery bez nazwisk. Wiele wolnych pomieszczeń albo wielu wynajmujących, którzy pragnęli pozostać anonimowi. Bezboleśnie pracujący dentyści, podejrzanе agencje detektywistyczne, małe, umierające przedsiębiorstwa, które przydryfowały tu w agonii, korespondencyjne szkoły, które zapowiadały, że nauczą, jak zostać technikiem elektronikiem albo dramatopisarzem czy też kimś w tym rodzaju, jeśli oczywiście przedtem nie rozprawi się z nimi policja.

Podejrzanе gmaszysko. Budynek, w którym zestarzały zapach papierosowych niedopałków mógł być jednym z najmniej odrażających zapachów.

W windzie, na stołku z położoną na nim wytartą poduszką, drzemał starzec. Miał otwarte usta, jego pokryte żyłkami skronie połyskiwały w słabym oświetleniu. Nosił niebieski uniform i wyglądało na to, że czuł się w nim równie dobrze, jak konie w boksie w stajni. Oprócz tego miał szare spodnie, białe, bawełniane skarpetki i czarne dziecięce półbuty. Spał na stołku, wzbudzając litość, i czekał na klientów. Przeszedłem obok niego na palcach i wiedziony ledwo wyczuwalnym powiewem, odnalazłem drzwi przeciwpożarowe.

Otworzyłem je. Klatki schodowej nie sprzątano od miesięcy. Spali i pożywiali się na niej włóczędzy, pozostawiając skórki od chleba i kawałki zabrudzonych gazet, zapalki, wypatroszone portfele. W brudnym kącie między pogryzmołonymi ścianami leżał porzucony krążek białawej gumy i najwyraźniej nikt nie zamierzał go stamtąd sprzątnąć.

Przyjemny budynek.

Wdrapałem się ciężko dysząc na czwarte piętro. I ten hall ozdabiała brudna spluwaczka, stojąca na sfatygowanej wycieracze, takie same musztardowe ściany, taka sama atmosfera podejrzanych interesów. Tabliczka „L.D. Walgreen—Insurance” ozdabiała ciemne drzwi z nieprzezroczystego szkła, dalej były inne ciemne drzwi i wreszcie trzecie, za którymi dało się dostrzec światło. Na ciemnych drzwiach umieszczono napis „Wejście”.

Nad oświetlonymi drzwiami otwarty był mały lufcik. Usłyszałem ostry ptasi głosik Harry'ego Jonesa.

— Canino? Naturalnie, widziałem pana już gdzieś, panie Canino... Z pewnością.

Zmroziło mnie to. Później usłyszałem inny głos. Pobrzmiewało w nim coś w rodzaju warkotu, jakby małej prądnicy pracującej za ścianą.

— Sądzę, że miałeś okazję... — w głosie wyczułem ton lekkiej pogroźki.

Krzesło przesunęło się po linoleum, dały się słyszeć kroki, lufcik zatrzasnął się nagle. Za szkłem drzwi zobaczyłem jakiś cień, który szybko się rozpląnął.

Cofnąłem się do pierwszych drzwi, opatrzonych tabliczką z nazwiskiem Walgreena. Spróbowałem je ostrożnie uchylić. Były zamknięte na klucz. Poruszyły się jednak trochę w obluźnionej futrynie — stare drzwi, zrobione wiele lat temu i teraz już lekko wypaczone. Wyciągnąłem portfel i wyjąłem zza oprawki prawa jazdy cienką, sztywną płytkę z celuloиду. Złodziejskie, wyklęte przez prawo narzędzie.

Wciągnąłem na dłonie rękawiczki, oparłem się lekko, niemal pieszczotliwie o drzwi i wsunąłem pasek celuloиду głęboko między drzwi i framugę. Przesunąłem go aż do szerokiej szczeliny widocznej przy zamku. Rozległ się suchy trzask, podobny do odgłosu pękającego lodu. Wślizgnąłem się do środka tak bezszelestnie, jak bezszelestnie porusza się w wodzie leniwa ryba. Nic się nie zdarzyło. Zamknąłem drzwi tak samo ostrożnie, jak je otwierałem.

Przed sobą miałem jasną taflę nie zasłoniętego okna, z boku stało biurko, a na nim zakryta pokrowcem maszyna do pisania. Następnie dojrzałem klamkę drzwi łączących ten pokój z sąsiednim pokojem. Nie były zamknięte na klucz. Wszedłem więc do drugiego z trzech biurowych pokoi. Deszcz niespodziewanie zabębnił w szyby zamkniętych okien. Korzystając z tego, przeszedłem przez pokój. W szparze kolejnych drzwi zobaczyłem ciekawą smugę światła. Wszystko jak dotąd szło dobrze. Powędrowałem jak skradający się kot wzdłuż ściany i dotarłem do tej strony drzwi, gdzie były zawiasy. Przyłożyłem oko do szpary. Nic nie było widać.

Warkotliwy głos przemawiał teraz uprzejmiejszym tonem:

— Jasne, że jeden facet może siedzieć w swojej karocy i śledzić, co robi inny, jeśli ma na to ochotę. Tylko że ty poszedłeś do tego szpicla. Błąd. Eddie tego nie lubi. Szpicel powiedział Eddiemu, że jakiś facet śledzi go szarym plymouthem. Eddie naturalnie chciał sprawdzić, kto to był i po co to robił.

Harry Jones zaśmiał się leciutko.

— A dlaczego to go tak obchodzi?

— Nie twój interes.

— Przecież wiesz, po co poszedłem do tego szpicla. Już ci to powiedziałem. Chodziło o dziewczyną Joe Brody'ego. Ona musi zniknąć. Liczy na to, że szpicel da jej trochę forsy. Ja nie mam ani grosza.

Warkotliwy głos spytał spokojnie:

— Forsy? Za co? Szpicle nie dają forsy na piękne oczy.

— Ten może ją łatwo wydobyć. Zna bogatych ludzi.

Harry Jones zaśmiał się. Cichym, pewnym siebie śmiechem.

— Przestań mi gadać głupstwa, mały! — W warkotliwym głosie coś zachrząściło, jakby piasek ocierał się o kulki łożyska.

— Dobra. Znasz tego skurwysyna, którego zlikwidował Brody. Ten jego zwariowany szczeniak zrobił czystą robotę, ale na nieszczęście tego wieczoru był tam Marlowe.

— Stara historia, mały. Powiedział już o tym policji.

— No tak, ale wszystkiego nie powiedział. Brody próbował zrobić pieniądze na zdjęciu małej Sternwoodówny. Marlowe dowiedział się o tym. Kiedy sprzeczali się na ten temat, do pokoju Brody'ego weszła mała Sternwood z rewolwerem w ręce. Strzeliła do Brody'ego. Ale nie trafiła, zabiła tylko okno. Szpicel nie powiedział o tym ani słowa policji. Agnes też nie. Liczy na to, że w ten sposób dostanie trochę pieniędzy.

— I to wszystko nie ma nic wspólnego z Eddiem?

— A co miałoby mieć?

— Gdzie jest teraz Agnes?

— To nie wasz interes.

— Powiesz, powiesz, mały. Nie tu, to w miejscu, gdzie wszyscy chłopcy nabierają ochoty do gadania.

— Ona jest teraz moją dziewczyną, Canino. A ja nie zamierzam mieszać w to błoto mojej dziewczyny. Obojętne z czyjego powodu.

Nastąpiła cisza. Słyszałem wyraźnie bębniące o szybę krople deszczu. Przez szparę w drzwiach dochodził dym z papierosów. Chciało mi się kasłać. Przycisnąłem do ust chusteczkę. Warkotliwy głos kontynuował wciąż tak samo spokojnie:

— O ile wiem, ta mała jasnowłosa dziwka była dojną kozą dla Geigera. Muszę to omówić z Eddiem. Na ile naciągnąłeś tego szpicla?

— Dwieście.

— Dostałeś je?

Harry Jones zaśmiał się.

— Zobaczą go jutro. Mam nadzieję, że je dostanę.

— Gdzie jest Agnes?

— Słuchaj...

— Gdzie jest Agnes?

Milczenie.

— Spójrz na to, mały.

Nie poruszyłem się. Nie nosiłem broni. Nie musiałem nic widzieć przez drzwi, żeby wiedzieć, że warkotliwy głos zapraszał Harry'ego Jonesa do spojrzenia na broń właśnie. Ale nie sądziłem, by Canino zrobił coś więcej ze swoim rewolwerem poza pokazaniem go. Czekałem.

— Już to obejrzałem — powiedział Harry Jones głosem, który ledwo przedostawał się przez zaciśnięte zęby. — Jest to coś, co widziałem już wiele razy. Dalej, naciśnij cyngiel, a zobaczysz, czy to coś da.

— W każdym razie tobie da to dębowy płaszczyk, mały.

Milczenie.

— Gdzie jest Agnes?

Harry Jones westchnął.

— No dobrze — powiedział zmęczonym głosem. — Jest w domu oznaczonym numerem dwadzieścia osiem na Court Street. Mieszkania trzysta jeden. Wydaje mi się, że jestem zwykłym tchórzem. Zgoda. Ale dlaczego niby miałbym sobie złamać na tym kark?

— Nie ma powodu. Jesteś rozsądnym facetem. Pojedźmy teraz razem do niej, pogadamy sobie. Jeżeli zezna wszystko tak, jak to opowiedziałeś — to klawo. Będziesz mógł dość z tego twojego szpicla, ile zechcesz, nie będziemy ci przeszkadzać. Nie masz żalu, mały?

— Nie — przytaknął Harry Jones. — Żadnego żalu.

— Świetnie. Trzeba to oblać. Masz szkło?

Warkotliwy głos był fałszywy jak sztuczne rzęsy gwiazdy filmowej i śliski jak pestka arbuza. Usłyszałem odgłos wyciągania szuflady. Coś zabrzączało. Skrzypnęło krzesło. Potem zaszurały nogi po podłodze. Rozległ się gulgoczący odgłos nalewania.

— Oby nasze dzieci miały zielone włosy — rozległ się warkot.

— Na szczęście — powiedział cicho Harry Jones.

Usłyszałem krótki ostry kaszel. Potem odgłos gwałtownego krztuszenia się. Później trzask, jakby rzucono grubą szklanką o podłogę. Odruchowo zacisnąłem palce na płaszczu.

— Przecież nie zachorowałeś po jednym łyku, chłopie... A może jednak? — stwierdził uprzejmie warkotliwy głos.

Harry Jones nie odpowiedział. Przez kilka sekund słychać było jego ciężki oddech. Potem wszystko pochłonęła cisza. I znów zaskrzypiało krzesło.



— Do zobaczenia, mały — powiedział Canino.

Kroki, trzask wyłącznika — światło umarło w szparze drzwi. Jakies drzwi zostały otwarte i cicho zamknięte, kroki oddalały się, niespieszne, pewne.

Nacisnąłem mocno na drzwi, otworzyłem je szeroko i spojrzałem w rozświetloną słabym, padającym z okna blaskiem ciemność. Leciutko połyskiwał róg biurka. Bezwładny kształt majaczył w krześle za biurkiem. W powietrzu unosił się ciężki, duszący zapach, przypominający perfumy. Podeszedłem do drzwi wychodzących na korytarz i zacząłem nasłuchiwać. Winda zatrzymywała się już na dole.

Znalazłem wyłącznik, przekręciłem go. Zapaliła się wisząca pod sufitem zakurzona kula. Harry Jones patrzył na mnie zza biurka otwartymi oczami, z twarzą wykrzywioną okropnym skurczem, ze zsiniałą skórą. Mała czarna głowa była przechylona na bok. Siedział podtrzymywany przez oparcie fotela.

Z daleka dochodził słaby dźwięk tramwajowych dzwonek. Na biurku stała odkorkowana brązowa butelka whisky. Szklanka Harry'ego Jonesa stała na biurku. Draga szklanka zniknęła.

Pochyliłem się nad butelką i odetchnąłem płytko, samymi płucami. Poza zapachem alkoholu czuć było jeszcze inny, słabo przebijający się zapach, zapach gorzkich migdałów. Harry Jones umierając zwymiotował na płaszcz, Cyjanek.

Ostrożnie obszedłem biurko i wziąłem do ręki książkę telefoniczną leżącą na drewnianym parapecie. Odłożyłem ją, odciągnąłem od trupa aparat telefoniczny i nakręciłem numer informacji. Odezwał się jakiś głos.

— Proszę mi podać numer telefonu w mieszkaniu numer trzysta jeden na Court Street, numer dwadzieścia osiem.

— Proszę czekać. — Głos przyplłynął do mnie jakby zrodzony z zapachu gorzkich migdałów. — Numer telefonu: Wentworth 2528.

Podziękowałem i wykręciłem ten numer. Dzwonek telefonu odezwał się trzy razy, zanim ktoś podniósł słuchawkę. Przez mikrofon buchnął dźwięk radia, potem ktoś je ściszył. Odezwał się niski męski głos.

— Halo.

— Czy jest Agnes?

— Nie ma tu żadnej Agnes. przyjacielu. Jaki pan wybrał numer?

Powtórzyłem otrzymany w informacji numer.

— Numer dobry, z dziewczuchą coś nie w porządku. Czy to nie granda? — Głos zaśmiał się.

Odwiesiłem słuchawkę. Znowu wziąłem książkę telefoniczną i znalazłem numer do administracji domu Agnes. Przed oczami miałem wizję pana Canino, pędzącego w deszczu na kolejną randkę ze śmiercią.

— Administracja, słucham. Mówi Schiff.

— Wallis z Wydziału Meldunków. Czy zameldowana jest u was dziewczyna o nazwisku Agnes Lozelle?

— Jak pan powiedział, że się nazywa?

Powtórzyłem.

— Jeśli zostawi mi pan swój numer, zadzwonię...

— Dość tych komedii — zawarczałem. — Nie mam czasu. Mieszka czy nie mieszka?

— Nie, nie mieszka — głos stwardniał.

— Jest tam jakaś wysoka blondynka o zielonych oczach w tych pokojach do wynajęcia?

— To nie są żadne...

— Skończ pan z tym — warknąłem głosem złego policjanta. — Jeżeli pan woli, poślę do was sierżanta, żeby dokładnie przetrząsnął ten cały interes. Znam te wasze domy, drogi panie. Zwłaszcza te z zastrzeżonymi numerami telefonów.

— Chcę panu pomóc — powiedział administrator. — Niech się pan nie denerwuje. Mamy tu oczywiście kilka blondynek. A gdzie ich nie ma. Ale nie sprawdzałem koloru ich oczu. Czy pańska blondynka jest sama?

— Sama albo z niskim facetem, nie więcej jak metr pięćdziesiąt wzrostu, przenikliwe czarne oczy, nosi dwurzędowy szary garnitur, szary kapelusz i szary tweedowy płaszcz. Według naszych informacji zajmuje ona apartament trzysta jeden, ale tam na mój telefon odpowiedział jakiś zabawniś.

— To zrozumiałe. Pod tym numerem mieszka para handlarzy samochodami.

— Dziękuję, przyjadę się rozejrzeć.

— Czy może pan to zrobić dyskretnie? Przyjedzie pan prosto do mnie?

— Jestem bardzo zobowiązany, panie Schiff. — Odwiesiłem słuchawkę.

Wytarłem pot z czoła. Podeszedłem do ściany i stanąłem przed nią, uderzając o nią dłońmi. Odwróciłem się, by spojrzeć na małego Harry'ego Jonesa, siedzącego ze zmienioną twarzą w fotelu.

— Dobra, wyprowadziłeś go w pole, Harry — powiedziałem głośno. Wydawało mi się, że mówię nie swoim głosem. — Oszukałeś go i wypiłes swoją porcję cyjanku jak rycerz bez trwogi. Umarłeś otruty jak szczur, ale dla mnie

na pewno nie jesteś szczurem, Harry.

Musiałem go przeszukać. To była obrzydliwa robota. Nie znalazłem w jego kieszeniach niczego związanego z Agnes, w ogóle niczego, co by było przydatne. Nie sądziłem, że tu wróca, ale nie miałem pewności. Pan Canino mógł wrócić. Pan Canino mógł być mordercą, który nie waha się przed powrotem na miejsce zbrodni.

Wyłączyłem światło i gdy chciałem otworzyć drzwi, zadzwonił telefon. Cofnąłem się, znów zapaliłem światła i podniosłem słuchawkę.

— Tak.

Odezwał się kobiecy głos. Jej głos.

— Czy jest tam gdzieś Harry?

— W tej chwili nie ma go, Agnes. □ Odczekała chwilę, by wreszcie powoli spytać:

— Kto mówi?

— Marlowe. Zadra w pani oku.

— Gdzie jest Harry? — spytała ostro.

— Przeszedłem tutaj, żeby mu zapłacić dwie setki za pewną wiadomość. Oferta jest nadal aktualna. Mam te pieniądze. Gdzie pani jest?

— On panu nie powiedział?

— Nie.

— Może będzie lepiej, jak go pan zapyta. Gdzie on jest?

— Nie mogę go spytać. Czy pani zna niejakiego Canina?

Usłyszałem jej westchnienie, tak wyraźne jakby znajdowała się tuż obok mnie.

— Czy pani są potrzebne te dwie setki, czy też nie?

— Ja... Są mi bardzo potrzebne, proszę pana.

— A więc w porządku. Proszę mi powiedzieć, dokąd mam je zawieźć.

— Ja... — głos jej zamarł, by po chwili napłynąć ku mnie w panicznym pytaniu: — Gdzie jest Harry?

— Przestraszył się i uciekł. Proszę się gdzieś ze mną spotkać... Wszystko jedno gdzie. Mam te pieniądze przy sobie.

— Nie wierzę, że Harry uciekł. To jest pułapka.

— Głupstwa pani mówi! Dawno mógłbym zmusić Harry'ego, żeby podał mi pani adres. Ale nie miałem specjalnych powodów. Canino odnalazł Harry'ego. Miał coś do niego i Harry zwiął. Ja chcę mieć spokój, pani chce mieć spokój i Harry też chciał mieć spokój. To wszystko.

Harry odnalazł już spokój. I nikt nie mógł już mu go odebrać.

— Czy pani sobie wyobraża, że pracuję dla Eddiego Marsa, aniołku? — spytałem.

— Nnie... Sądzę, że nie. Mogę się z panem spotkać za pół godziny. Obok wejścia na parking przy Bulloaks Wilshire, wschodnie skrzydło.

— Doskonale — odpowiedziałem.

Położyłem słuchawkę na widelki. Fala zapachu gorzkich migdałów pomieszana z odorem wymiocin znów doszła do moich nozdrzy. Mały nieżywy człowieczek siedział spokojny w swoim krześle, nie bojąc się już niczego, nie oczekując już zmian.

Wyszedłem z biura. Nic się nie poruszało w brudnym korytarzu. Żadne światło nie połyskiwało zza oszklonych drzwi. Zszedłem schodami przeciwpożarowymi na pierwsze piętro i spojrzałem na oświetlony wierzchołek windy. Nacisnąłem guzik. Kabina powoli ruszyła. Zszedłem na dół. Samochód stał przed wejściem.

Znowu okropnie lało. Podeszedłem do samochodu czując uderzające mnie w twarz ciężkie krople deszczu. Kiedy poczułem jedną z nich na języku, zdałem sobie sprawę, że mam otwarte usta, a ból w szczękach uświadomił mi, jak szeroko były rozwarte. Mimowolnie naśladowałem pośmiertny grymas, który zesześcił twarz Harry'ego Jonesa.

## Rozdział XXVII

— Niech mi pan da pieniądze.

Jej głos przebijał się poprzez pomruk silnika szarego! plymoutha i odgłos bębniącego po dachu deszczu. W oddali, ponad zielonkawym gmachem twierdzy, leżała fletowa poświata, jasna plama wśród ciemności nad przemokniętym miastem. Wyciągnęła dłoń obciążoną czarną rękawiczką. Włożyłem do niej banknoty. Widziałem, jak liczyła je w słabym świetle, padającym z deski rozdzielczej. Rozległ się trzask otwieranego zamka torebki, potem trzask zamykanego zamka torebki. Wypuściła głęboki, powolny oddech. Nachyliła się ku mnie.

— Wyjeżdżam, glino. To forsa na drogę. Bóg jeden wie, jak była mi potrzebna. Co się stało z Harrym?

— Powiedziałem przecież, że uciekł. Canino go śledził. Niech pani o nim zapomni. Zapłaciłem i czekam na informacje.

— Dostanie pan ją. Joe jechał ze mną poprzedniej niedzieli przez bulwary. Było już późno, trzeba była jechać na światłach, panował niezły bałagan. Minęliśmy brązowy samochód. Zobaczyłam dziewczynę za kierownicą. Obok niej siedział niski brunet. Dziewczyna była blondynką. Widziałam ją już przedtem. To była żona Eddiego Marsa, a facetem był Canino. Nie sposób ich nie rozpoznać, jeśli się już ich kiedykolwiek widziało. Joe śledził ich, trzymając się

przed ich samochodem. Taki sposób śledzenia był jego specjalnością. Canino jechał jako strażnik, wyprowadzał ją na świeże powietrze. Mniej więcej milę na wschód od Eealito droga skręca w kierunku wzgórza. Na południu znajdują się plantacje pomarańczowe, a na północy fabryka, w której produkuje się cyjanek potasu i różne trujące gazy. Obok szosy znajduje się mały garaż i sklep z farbami i lakierami. którego właścicielem jest niejaki Art Huck. Prawdopodobnie garaż służy jako przechowalnia skradzionych samochodów. Za garażem stoi duży dom. Dookoła jest pusto, a fabryka trujących gazów znajduje się w odległości ładnych paru mil. W tym właśnie miejscu ją trzymają. Skręcili w tamtym kierunku. Joe zawrócił, ale widzieliśmy, jak samochód pojechał w stronę warsztatu. Oczekaliśmy pół godziny, obserwując przejeżdżające obok nas wozy. Nie natrafiliśmy na brązowy samochód, Kiedy się ściemniło, Joe podkraść się tam, żeby się rozejrzeć. Dom był oświetlony, słychać było grające radio, a obok domu stał tylko jeden samochód: brązowy. Byliśmy pewni swego.

Zamilkła. Przysłuchiwałem się szumowi opon na mokrej drodze.

— Od tego czasu mogli zmienić dzielnicę — powiedziałem — ale, cóż, sprzedała mi pani to, co miała do sprzedania. Czy jest pani pewna, że ją rozpoznała?

— Jeżeli pan ją chociaż raz zobaczy, to nie zapomni pan jej twarzy. No, cześć, glino, i życz mi szczęścia. Dotąd mi się nie farcilo.

— Cholernego szczęścia — powiedziałem i ruszyłem przez ulicę do własnego samochodu.

Szary plymouth ruszył, rozwijając szybkość i zniknął za rogiem. Dźwięk motoru zanikł w oddali, a wraz z nim zniknęła złotowłosa Agnes, pędząca ku nowej drodze życia. Zabito trzech mężczyzn — Geigera, Brody'ego i Harry'ego Jonesa — a Agnes pędziła w deszczu, z moimi dwiema setkami w torebce, wolna od podejrzeń. Wcisnąłem rozrusznik i pojechałem do śródmieścia, żeby coś zjeść. Zafundowałem sobie dobry obiad. Musiałem jeszcze zrobić czterdziestomilową wycieczkę w ulewnym deszczu.

Pojechałem na północ w kierunku Pasadena. Kiedy minąłem miasto, znalazłem się wśród plantacji pomarańcz, Deszcz tworzył gęstą zasłonę. Wycieraczki nie nadążały usuwać potoków wody z szyb samochodu.

Mijały mnie z poświstem samochody, rozbryzgujące strumienie wody. Autostrada biegła przez małe miasteczka, składające się z wielkich magazynów i wielkiej rozrządowej stacji kolejowej. Plantacje przerzedzały się, droga wznosiła, powietrze ochłodziło się, a czerniejące na północy wzgórza były coraz bliższe. Od ich szczytów wiał przejmujący wiatr. Wreszcie dostrzegłem słabo przeświecające przez ciemności dwie duże żółte latarnie oraz świecący neonowy napis: „Witajcie w Realito”.

Mijałem rozrzucone przy szerokich ulicach posesje, jakiś kompleks sklepów, bar, oświetlony zamglonymi lampami, parę samochodów stojących przed kinem, ciemny gmach banku, grupę ludzi patrzących w deszczu na bankowy zegar, jakby było to coś godnego uwagi.

Minąłem Realito. Mniej więcej milę za miastem droga skręcała. Deszcz oślepił mnie. Ostro uderzyłem o betonowy pas ochronny. Przednie koło siadło ze świstem. Nie zdążyłem zahamować, przebiłem również prawą tylną oponę. Zatrzymałem samochód na poboczu. Wyszedłem i zapaliłem latarkę elektryczną. Dwa sflaczałe koła, miałem tylko jedną rezerwę. Z przedniej opony sterczała w moim kierunku główka wielkiego gwoźdźca. Całe pobocze było wysypane gwoźdźmi. Ktoś je próbował zmieść z jezdni, ale nie zrobił tego dokładnie.

Zgasilem latarkę i stałem wdychając wilgoć i przyglądając się żółtemu światłu, błyszczącemu z boku autostrady — Wydawało się, że pochodzi ze szklanego dachu. Szklany dach mógł być tylko dachem warsztatu, którego właściciel nazywał się Art Huck, a obok garażu musiał być

dom. Wtuliłem podbródek w kołnierz płaszcza i dałem krok do przodu. Wróciłem, wyjąłem papiery ze skrytki w samochodzie i wsadziłem je do kieszeni. Pochyliłem się ku kołom samochodu. Miałem tam skrytkę, tuż za przebitą oponą, dokładnie w miejscu, w którym podczas jazdy spoczywała moja prawa stopa. Były w niej dwa rewolwery. Jeden należał do totumfackiego Eddiego Marsa, Lanny'ego, drugi do mnie. Wziąłem rewolwer Lanny'ego. Był lepiej ostrzelany niż mój. Włożyłem go do wewnętrznej kieszeni marynarki, lufą do dołu i ruszyłem w stronę garażu.

Znajdował się w odległości około kilometra od szosy. Był ustawiony do niej ślepą ścianą. Puściłem krótki snop światła latarki i odczytałem: „Art Huck. Remont i lakierowanie samochodów”. Niespodziewanie zamajaczyła przede mną twarz Harry'ego Jonesa. Odchrząknąłem. Drzwi garażu były zamknięte. Przez szparę sączyło się światło.

Poszedłem dalej. Stał tu i dom. Świeciło się w dwóch oknach od frontu, reszta była ciemna.

Dom był znacznie oddalony od drogi, osłaniały go drzewa. Przed wejściem stał samochód. Nie oświetlony i bez znaków rejestracyjnych, ale mógł być brązowy i należeć do Canina.

Od czasu do czasu pozwalał jej prawdopodobnie zaczerpnąć świeżego powietrza, prawdopodobnie eskortując ją przy tym i ściskając w ręce broń. Dziewczyna, którą powinien był posłubić Rusty Regan i której Eddie Mars nie mógł utrzymać przy sobie, dziewczyna, która nie uciekła jednak z Rustym Reganem.

Powlokłem się z powrotem do garażu i zabębniłem w drewniane drzwi końcem latarki. Nastąpiła chwila ciężkiej ciszy. Światło w środku zgasło. Stałem drżąc i oblizując deszcz z warg. Znowu zabębniłem w drewno. Spoza drzwi napłynął gburowato brzmiący głos:

— Czego tam?

— Proszę otworzyć! Złapałem dwie gumy na drodze a mam tylko jedno koło zapasowe. Potrzebuję pomocy.

— Bardzo mi przykro, proszę pana. Warsztat jest zamknięty. Realito leży stąd zaledwie o jedną milę. Niech pan tam spróbuje.

Nie spodobało mi się to. Załomotałem mocno w drzwi. Rozległ się inny głos, warkoczący jak małe, pracujące gdzieś za ścianą dynamo. Uwielbiałem ten głos.

— Jakiś cwany jegomość. Otwórz mu, Art.

Zaskrzypiała zasuwka i jedno skrzydło drzwi otworzyło się do wewnątrz. Światło mojej latarki przez chwilę oświetlało chudą twarz. Coś błysnęło i uderzyło mnie, wytrącając lampę z rąk. Zobaczyłem wycelowany w siebie rewolwer. Pochyliłem się i podniosłem latarkę z ziemi.

— Wyłącz to чудо, bobasku — odezwał się gburowaty głos. — Frajerzy zawsze w ten sposób obrywają guza.

Zgasilem latarkę i wyprostowałem się. W garażu ktoś włączył światło. Oświetliło wysokiego mężczyznę w kombinezonie. Cofnął się od drzwi, ciągle celując w mnie z rewolweru.

— Wejdz i zamknij drzwi, nieznajomku. Zobaczmy, co z tobą zrobić.

Wszedłem do garażu i zamknąłem za sobą drzwi. — przyglądałem się chudemu mężczyźnie, nie patrząc na drugiego, który stał w cieniu obok warsztatu. Powietrze w garażu miało słodkawy posmak. Było mi ciężko oddychać. Wszędzie czuło się zapach szybko schnącego lakieru.

— Chyba nie ma pan wszystkiego w głowie — połajał mnie chudy mężczyzna. — Obrobili dziś bank w Realito.

— Bardzo przepraszam. — Przypomnieli mi się ludzie gapiący się w ulewnym deszczu na bank. — Nie wiedziałem o tym. Jestem tu przejazdem.

— No tak — powiedział gderliwie. — Ludzie mówią, że to para gówniarzy i że już ich złapali, gdzieś na wzgórzach.

— Wymarzona noc na napad — stwierdziłem. — Myślę, że to oni rozrzućili gwoździe. Parę wlało mi w opony. Mam wrażenie, że przyda się panu trochę roboty.

— Nikt ci jeszcze nie przyładował w zęby? — zapytał chudzielec.

— Nikt z pana wagą.

Warkotliwy głos odezwał się w ciemności.

— Zostaw to przygadywanie, Art. Ten człowiek ma kłopot. W końcu prowadzisz warsztat.

— Dziękuję — powiedziałem, nie spojrzawszy na niego nawet teraz.

— Dobra — zgodził się mężczyzna w kombinezonie. Schował rewolwer do kieszeni.

Smród lakieru przypominał mi niezdrowy zapach eteru. W końcu sali, pod słabo świecąca lampą stała odnowiona limuzyna, na jej błotniku leżał rewolwer.

Teraz dopiero przyjrzałem się mężczyźnie stojącemu przy warsztacie. Był niski, muskularny i barczysty. Miał zimną, bezwzględną twarz i zimne, bezwzględne oczy. Nosił brązowy zamszowy płaszcz, zupełnie przemoczony przez deszcz. Na głowie miał nasadzony ha bakier brązowy kapelusz. Opierał się plecami o warsztat i przyglądał mi się beznamiętnie i uważnie, jak kawałkowi mrożonej wołowiny. Może w ogóle nie umiał inaczej patrzeć na ludzi.

Opuścił powoli ciemne oczy i obejrzał sobie paznokcie, jeden po drugim, z taką uwagą, jakby pokazywał na reklamowym filmie, jak powinien być zrobiony prawidłowy manikiur.

— Dwa koła? — zapytał. — To naprawdę przykre. Myślałem, że usunięto gwoździe.

— Zarzuciło mnie trochę na zakręcie.

— Jest pan tu tylko przejazdem?

— Podróżuję. Jestem w drodze do Los Angeles. Czy to daleko stąd?

— Czterdzieści mil. Ale przy takiej pogodzie wydaje się, że więcej. Skąd pan jedzie?

— Z Santa Rosa.

— Długa droga. Przez Tahoe i Lone Pine?

— Nie. Przez Reno i Carson City.

— Wszystko jedno, i tak daleko. — Przelotny, fałszywy uśmiezek wykrzywił mu wargi.

— Jest w tym coś niezgodnego z prawem? — spytałem.

— Co? No skąd! Niech pan nie myśli, że jesteśmy tacy ciekawscy, to tylko z powodu tego napadu na bank. Weź klucz i zreperuj mu opony, Art.

— Jestem zajęty — zawarczał chudzielec. — Mam jeszcze wiele pracy. Muszę skończyć lakierowanie. Poza tym pada, nie zauważyłeś?

Mężczyzna ubrany na brązowo skostatował uprzejmie:

— Jest za wilgotno na dobre lakierowanie. Weź się za robotę, Art.

— Po prawej stronie przednie i tylne koło. Jeżeli ma pan dużo roboty, to niech pan założy moje rezerwowe.

— Załatasz oba, Art — powiedział mężczyzna ubrany na brązowo.

— Słuchaj... — zaczął Art hałaśliwie.

Człowiek w brązie poruszył oczami i przyjrzał się uważnie Artowi poprzez przymrużone powieki. Nie odezwał się ani jednym słowem. Art zgiął się, jakby uderzył go potężny strumień powietrza. Podszedł do ściany, zdjął gumowy płaszcz, włożył go na gumowy kombinezon i nadział na głowę zydwestkę. Następnie wziął narzędzia i wyprowadził podnośnik na zewnątrz.

Wyszedł w milczeniu, pozostawiając otwarte drzwi. Wpadła przez nie fala deszczu. Człowiek w brązowym ubraniu zamknął drzwi i szybko cofnął się do warsztatu, opierając się o niego

dokładnie w tym samym miejscu, co przedtem. Byliśmy sami. Nie wiedział, kim jestem. Spojrzał na mnie przelotnie i rzucił niedopałek na cementową podłogę. Rozdeptał go, nie spoglądając w dół.

— Założę się, że potrzebny jest panu łyżeczek czegoś dobrego — powiedział. — Przy takiej pogodzie dobrze jest zwilżyć żołądek.

Wziął stojącą za nim butelkę i postawił ją blisko brzegu warsztatu wraz z dwiema szklankami. Napęłnił je do połowy i podał mi jedną. Poruszając się jak manekin podszedłem i odebrałem ją z jego rąk. Wciąż jeszcze miałem ślady deszczu na twarzy. Powietrze w garażu wypełniał ciężki zapach lakieru.

— Ten Art — wyjaśniał mężczyzna w brązie — jest taki sam, jak wszyscy mechanicy. Zawsze ma pełno roboty na wczoraj. Czy podróżuje pan w interesach?

Ostrożnie powąchałem szklankę. Pachniała prawidłowo. Patrzyłem, jak upił łyk ze swojej, dopiero potem wypilem i ja. Powoli smakowałem alkohol. Nie, niebyło w nim cyjanku. Opróżniłem szklankę, odstawiłem ją; cofnąłem się.

— Tak, częściowo jest to podróż w interesach — odpowiedziałem. Podszedłem do na wpół polakierowanej limuzyny. Deszcz bębnił o płaski dach warsztatu. Art musiał kłać pod niebiosa.

Człowiek w brązie spojrzał na wielki samochód.

— Prawdę mówiąc, to nie całkiem uczciwy interes □ powiedział rozważnie tym swoim warkotliwym głosem, złagodzonej teraz trochę przez alkohol. — Ale właściciel jest bogatym człowiekiem, a kierowca potrzebował trochę pieniędzy. Wie pan, jak to jest.

Wargi mnie paliły. Nie miałem ochoty rozmawiać. Zapaliłem papierosa. Wolalbym, żeby moje opony były już gotowe.

Minuty ciągnęły się. Mężczyzna w brązowym ubraniu i ja byliśmy parą przelotnych znajomych, tyle że między, nami stała śmierć Harry'ego Jonesa. Na razie mężczyzna w brązowym ubraniu nie zdawał sobie z tego sprawy.

Rozległy się kroki i drzwi garażu rozwarły się, popchnięte. Światło oświetliło potoki deszczu, wydobywając z nich srebrne błyski. Art gwałtownym ruchem wtoczył dwa koła, zamknął drzwi kopniakiem i spojrzał na mnie wściekły.

— Ale znalazł sobie pan śliczniuchne miejsce na parkowanie — warknął.

Mężczyzna w brązie roześmiał się. Wyjął z kieszeni rulonik bilonu i zaczął go podrzucać na dłoni.

— Nie gadaj tak dużo — poradził sucho — Łataj te dętki.

— Przecież je łatam, nie?

— Nie rób wokół tego tyle hałasu.

Art zachnął się, zdjął gumowy płaszcz i rzucił wszystko do kąta. Podniósł koło na specjalny stelaż i zaczął pracować. Zdemontował oponę. Wyciągnął dętkę i napęłnił ją powietrzem.

Musieli być ze sobą doskonale zgrani. Nie zauważyłem żadnego sygnału, żadnej wymiany spojrzeń. Chudzielec wziął rurę doprowadzającą powietrze i spojrzał na nią. Zrobił półobrót, dał długi, szybki krok i oplatał mi ją wokół głowy i ramion. Podskoczył ku mnie i zacisnął mocniej gumową obręcz. Uwalił mi się na piersi i wykręcił ręce do tyłu. Byłem unieruchomiony... Mogłem wprawdzie poruszać rękami, ale nie mogłem sięgnąć do kieszeni, w której miałem rewolwer.

Człowiek w brązowym ubraniu podszedł do mnie niemal tanecznym krokiem. Jego dłoń zacisnęła się na rulonie z bilonem. Podszedł do mnie bezszelestnie, z kamienną twarzą. Pochyliłem się do przodu, usiłując unieść Arta, który z tyłu zaciskał wąż.

Pięść z rulonem bilonu przeleciała ponad moimi związanymi ramionami jak kamień przez chmurę pyłu. Przez chwilę zamigotało mi w oczach tysiące iskier, ale jeszcze nie straciłem przytomności. Ponowił uderzenie. Nie poczułem już nic. Oślepiające światło w mojej głowie rozjarzyło się jeszcze bardziej. Zmieniło się w przejmujący ból. Przez chwilę znajdowałem się w ciemnościach, gdzie coś wirowało niczym bakterie pod mikroskopem. Potem była już tylko ciemność i pustka, poszum wiatru i łamanie się potężnych drzew.

## Rozdział XXVIII

To była kobieta, ta osoba siedząca blisko stojącej lampy i oświetlona jej blaskiem. Jakies inne, ostre światło padało na moją twarz, tak że musiałem przymknąć oczy i przyglądałem się jej spod przymrużonych rzęs. Włosy miała tak rozjaśnione, że wydawało się, jakby nosiła na głowie srebrną czaszę od owoców. Miała na sobie zieloną, zrobioną szydełkiem suknię z białymi szerokim kołnierzem. Na podłodze obok jej nóg stała błyszcząca torba z metalowymi okuciami. Kobieta paliła papierosa. Wysoka, napełniona bursztynowym płynem szklanka połyskiwała przy jej łokciu.

Uniosłem lekko i ostrożnie głowę. Bolało mnie, ale nie bardziej niż się spodziewałem. Byłem związany jak nadziewany kurczak przed włożeniem go do piekarnika. Na rękach nosiłem kajdanki. Ręce miałem skute na plecach. Od kajdanków odchodził sznur, którym skrzepowano mi nogi. Koniec sznura przymocowany był do ciężkiego tapczanu. Zorientowałem się w tym wszystkim w chwili kiedy usiłowałem się poruszać.

Zaprzestałem gwałtownych ruchów. Otworzyłem szeroko oczy i powiedziałem:

— Dzień dobry.

Kobieta posłała mi spojrzenie jakby spod obłoków. Mały policzek skierował się w moją stronę. Miała oczy jak dwa błękitne górskie jeziora. Gdzieś u góry wciąż padał deszcz, dochodził mnie jego odległy szum, a może to było coś innego, nie deszcz.

— Jak się pan czuje? — chłodny srebrzysty głos, doskonale pasujący do jej włosów. Pobrzmiewało w nim coś blaszanego, jakby dzwoneczek u drzwi domu lalek. Stwierdziłem, że musiałem zgłupieć, skoro o tym myślę.

— Doskonale — odpowiedziałem. — Tylko ktoś zrzucił mi na głowę olbrzymią cysternę.

— A czego się pan spodziewał, panie Marlowe? Bukietu orchidei?

— Tylko sosnowej skrzynki — odparłem. — Niech się pani nie kłopotczy o lichtarze z brązu albo ze srebra i nie musi pani rzucać moich prochów w niebieskie wody Pacyfiku. Wolę robaki. Czy pani wie, że robaki są obupłciowe i że jeden robak może pokochać drugiego?

— Pan majaczy — powiedziała, przyglądając mi się z powagą.

— Czy sprawi pani wiele trudu, jeżeli przesunie pani to światło?

Wstała i podeszła do ściany za tapczanem. Światło zgasło. Przyniosło mi to wielką ulgę.

— Nie uważam, że jest pan taki znowu niebezpieczny — odezwała się.

Była bardzo wysokiego wzrostu, ale nie tyczkowata. Bardzo szczupła, ale nie sucha. Wróciła do krzesła, na którym poprzednio siedziała.

— A więc zna pani moje nazwisko?



— Spał pan doskonale. Było dość czasu, żeby przejrzeć pańskie kieszenie. Właściwie to zrobili wszystko, zapomnieli tylko pana zabalsamować. Jest pan detektywem...

— Czy to wszystko, o co mają do mnie pretensje pani przyjaciele?

Milczała. Dym z jej papierosa unosił się powoli ku górze. Rozegnała go ręką. Miała małe kształtne dłonie, a nie worek kości pokrytych skórą, jak to się widuje u współczesnych kobiet. Zerknęła ukośnie poprzez spiralną dymu na nadgarstek.

— Która godzina? — spytałem.

— Dziesiąta siedemnaście. Ma pan randkę?

— To nie byłoby znowu takie zdumiewające. Czy jesteśmy w tym domu obok garażu Arta Hucka?

— Tak.

— A co robią chłopcy? Kopiają grób?

— Musieli dokądś pójść.

— Myśli pani, że pozostawili nas samych?

Powoli odwróciła ku mnie głowę.

— Nie wygląda pan na bardzo niebezpiecznego — powtórzyła uśmiechając się.

— Myślałem, że jest pani tutaj tak samo więziona jak ja.

Nie sprawiała wrażenia zdziwionej. Raczej ją to lekko ubawiło.

— Dlaczego pan tak myśli?

— Wiem, kim pani jest.

Niebieskie oczy rozbłysły tak gwałtownie, że aż ukazały się w nich isierki, zimne i kłujące jak połysk sztyletu. Zaciśnęła wargi. Barwa jej głosu nie zmieniła się jednak.

— Obawiam się, że jest pan w złej sytuacji. A ja nie lubię zabijać.

— I jest pani żoną Eddiego Marsa? Wstyd!

Nie spodobało jej się to. Przyjrzała mi się uważniej.

— Jeżeli nie potrafi pani zdjąć moich bransoletek, czego zresztą nie radziłbym pani robić, mogłaby pani przynajmniej użyczyć trochę tego trunku, którym pani się delectuje.

Podniosła szklanę. Bąbelki uniosły się ku górze; i zniknęły jak fałszywe nadzieje. Nachyliła się nade mną. Jej oddech był delikatny jak oczy łani. Pociągnąłem łyk, trochę alkoholu pociekło mi po szyi. Odsunęła szklanę od moich ust. Krew zaczęła mi szybciej krążyć w żyłach. Pochyliła się nade mną znowu.

— Pańska twarz wygląda jak pole bitwy — powiedziała.

— Musi się pani z tym teraz pogodzić, ale to nie potrwa długo i znowu będę wyglądał jak przedtem.

Obróciła nagle głowę nasłuchując. Przez mgnienie oka twarz jej pobladła. Słysząc było tylko odgłos uderzające go o ścianę deszczu. Przeszła przez pokój i stanęła d mnie bokiem, patrząc na podłogę.

— Po co pan tu przyszedł i po co nadstawiał pan karku — spytała spokojnie. — Eddie nie wyrządził panu żadnej krzywdy. Wie pan doskonale, że gdybym nie ukrywała się, policja byłaby przekonana, że Eddie zabił Regana.

— Bo on to zrobił — powiedziałem.

Nie poruszyła się, nie zmieniła pozycji ciała ani o milimetr. Wciągnęła powietrze z urywanym charkotem. Rozejrzałem się po pokoju. Dwoje drzwi umieszczonych na tej samej ścianie, jedno na wpół uchylone. Czerwony dywan, niebieskie zasłony w oknach, tapeta w jaskrawozielone drzewka. Meble, wyglądające jakby je ktoś przypadkowo poskładał do kupy.

— Eddie nie zrobił mi nic złego — powiedziała miękko. □ Od miesiący nie widziałam Rusty'ego. Eddie nie jest taki.

— Odeszła pani od niego, od jego łoża i stołu. Pani sąsiedzi rozpoznali na zdjęciu Rusty'ego.

— To kłamstwo — oznajmiła chłodnym tonem.

Próbowałem przypomnieć sobie, czy powiedział mi to kapitan Gregory, czy ktoś inny, ale w głowie miałem absolutny chaos. Nie mogłem mieć pewności.

— A poza tym, to nie pana interes — dodała,

— Owszem, mój. Zostałem zaangażowany po to, żeby tę sprawę wyjaśnić.

— Eddie nie jest taki.

— Och, jest zupełnie inny niż reszta z jego branży.

— Jak długo będą ludzie, którzy chętnie grają, tak długo będą istniały miejsca, w których będą mogli grać.

— Sama siebie pani okłamuje — powiedziałem. — Jeżeli stanie się raz przeciwko prawu, to już na zawsze pozostaje się po drugiej stronie barykady. Sądzi pani, że on zajmuje się tylko hazardem. Ja natomiast sędzę, że masowo kolportuje pornografię, jest szantażystą, handluje kradzionymi samochodami, jest mordercą, który zleca innym wykonywanie brudnej roboty i daje łapówki skorumpowanym policjantom. Robi wyłącznie to, co jest dla niego w danej chwili korzystne i to, z czego można wyciągnąć forszę. Proszę mi tu nie opowiadać o gentelmenach—włamywaczach. Tacy istnieją tylko w kinie!

— On nie jest mordercą! — jej nozdrza drżały.

— Osobiście nie. Przecież ma Canina. Canino dziś wieczorem zamordował na jego polecenie człowieka, bezbronno małego faceta, który chciał komuś pomóc uciec. Widziałem to prawie na własne oczy.

Zaśmiała się zmęczonym śmiechem.

— Świetnie — ciągnąłem. — Niech pani w to nie wierzy. Jeżeli Eddie jest tak wspaniałym jegomościem, chętnie z nim porozmawiam, naturalnie wówczas, gdy nie będzie gdzieś w pobliżu Canina. Wie pani przecież doskonale, co zrobiłby Canino: wybiłby mi wszystkie zęby i skopał brzuch, gdybym jeszcze mógł coś wybelkotać.

Odchyliła w tył głowę i stała zamyślona, jakby podejmowała jakąś decyzję.

— Wydawało mi się, że platynowy kolor włosów nie jest już modny — mówiłem dalej po to tylko, żeby w pokoju nie zapanowała cisza, tylko po to by słyszała mój głos.

— Ależ pan niemądry! Przecież to peruka. Dopóki moje własne nie odrosną. — Zdjęła ją. Miała krótko ostrzyżone włosy, jak chłopiec. Włożyła perukę z powrotem na głowę.

— Kto to pani zrobił?

Spojrzała na mnie przestraszona.

— Sama to zrobiłam. A dlaczego?

— No właśnie. Dlaczego?

— Tylko po to żeby udowodnić Eddiemu, że jestem gotowa spełnić jego prośbę: ukryć się. Po to, by nie musiał mnie pilnować. Nie chciałam sprawić mu zawodu. Kocham go.

— Dobry Boże! — jęknąłem — I to właśnie dlatego jestem tutaj z panią w pokoju!

Obróciła dłonie ku górze i obejrzała je. Nagle wstała i wyszła. Wróciła niosąc nóż kuchenny. Pochyliła się nade mną i przecięła sznur.

— Canino ma kluczyk od kajdanek — wyszeptała. — Nie mogę panu więcej pomóc. — Cofnęła się, oddychając szybko. Pocięła cały sznur, każdy supeł. — Ma pan poczucie humoru. Dowcipkuje pan w każdym zdaniu... i to w pańskiej sytuacji...

— A już myślałem, że Eddie nie jest mordercą.

Odwróciła się ode mnie szybko, usiadła na swoim krześle obok stojącej lampy i ukryła twarz w dłoniach. Opuściłem nogi na podłogę i wstałem. Zesztywniały, kiwałem się w przód i w tył. Nerw po lewej stronie mojej twarzy drżał każdym włókienkiem. Zrobiłem krok. A więc umiałem jeszcze chodzić. Umiałbym nawet pobiec, gdybym musiał.

— Wydaje mi się, że pragnie pani, żebym sobie poszedł. — powiedziałem.

Skinęła głową nie podnosząc jej.

— Byłoby lepiej, gdyby pani wyszła ze mną, naturalnie jeśli pani życie miłe.

— Niech pan nie traci czasu. Canino może w każdej chwili wrócić.

— Proszę mi zapalić papierosa.

Stałem blisko. Nogami dotykałem jej kolan. Podniosła się błyskawicznym ruchem. Nasze oczy były od siebie oddalone zaledwie o centymetry.

— Hej, srebrna główko — powiedziałem łagodnie.

Cofnęła się za krzesło, wzięła ze stołu paczkę papierosów. Wyciągnęła jednego i włożyła mi go w usta szorstkim ruchem. Ręka jej drżała. Pstryknęła małą zapalniczką oprawioną w zieloną skórę i przytknęła płomień do papierosa. Zaciągnąłem się głęboko, patrząc w dwa błękitne jeziora. Stała wciąż blisko mnie.

— Mały facet o nazwisku Harry Jones przyprowadził mnie do pani. Mały facet, który wpadał do koktajlbarów, żeby zbierać wieści o gonitwach w wyścigach konnych. Zbierał też inne informacje. Ta mała płotka zwierzyła, kim jest Canino. W jakiś tam sposób on i jego przyjaciółka dowiedzieli się, gdzie pani jest. Przyszedł do mnie, żeby sprzedać mi tę informację, gdyż wiedział, □ skąd wiedział to inna para kaloszy — że pracuję dla generała Sternwooda. Dostałem te informacje, ale Canino dostał małą płotkę. Teraz mała płotka nie żyje. Canino go otruł. Eddie Mars nigdy by niczego podobnego nie zrobił, co srebrnowłosa? On nigdy nie zamordował człowieka. Wydaje tylko polecenia.

— Wynoś się stąd! — zawołała ochryple. — Wynoś się stąd szybko. — Jej ręka zacisnęła się na zielonej zapalnicze. Palce zeszywniały. Kciuki zbierały jak śnieg.

— Canino nie zdaje sobie sprawy, że ja wiem o tym facecie — powiedziałem. — Wie tylko, że weszylem tutaj.

Zaczęła się śmiać, niemal hałaśliwie. Spazmy śmiechu wstrząsnęły nią jak wiatr drzewem. Musiało być w tym, co powiedziałem, coś odkrywczego, niekoniecznie zdumiewającego, ale w każdym razie nie pasowało do faktów, o których wiedziała. Zacząłem się obawiać, że było tego jak na nią za wiele i że nigdy nie przestanie się śmiać.

— Jakie to wszystko śmieszne — wykrztusiła zdyszana. — Strasznie śmieszne, bo wie pan... ja go wciąż Kocham Kobieta... — i znów wybuchnęła śmiechem.

Nasłuchiwałem w napięciu, w głowie mi pulsowało Ciagle słyszałem tylko krople deszczu.

— Chodźmy — powiedziałem. — Szybko.

Cofnęła się kilka kroków. Jej twarz przybrała stanowczy wyraz.

— Idź stąd, ty... No, niech pan stąd idzie. Może pan dojść pieszo do Realito. Uda się panu. I może wreszcie przestanie pan gadać, choćby na godzinę albo dwie. W końcu tyle mi pan zawdzięcza.

— Chodźmy — powtórzyłem. — Ma pani jakąś broń, srebrna główko?

— Przecież pan wie, że nie pójdę. Bardzo dobrze pan wie. Błagam, niech pan stąd szybko wyjdzie, błagam!

Podszedłem bardzo blisko, niemal się do niej przytulilem.

— Chce pani tu pozostać, pozwalając mi uciec? Chce pani tu poczekać, aż wróci ten morderca i powiedzieć mu: bardzo mi przykro? Facetowi dla którego inny człowiek znaczy tyle samo co mucha? Co to, to nie. Pójdzie pani ze mną, srebrna główko!

— Nie.

— Przypuśćmy — przekonywałem — że to pani przystojny mąż zabił Rusty'ego Regana. Albo przypuśćmy, że zrobił to Canino bez wiedzy Eddiego. Po prostu przypuśćmy. Jak długo jeszcze będzie pani żyła po tym, jak dopomoże mi w ucieczce?

— Nie boję się Canina. Wciąż jestem żoną jego szefa.

— Eddie ma pełne portki strachu — warknąłem. — Kiedyś, w przyszłości, Canino go załatwi jak kot kanarka, i to bez zmrużenia oka. Jakie to dziwne, że kobieta taka jak pani kocha do szaleństwa takiego człowieka, takiego zwykłego tchórza!

— Precz stąd! — omal się na mnie nie rzuciła.

— Dobrze — odwróciłem się od niej i wyszedłem przez otwarte drzwi do ciemnego hallu.

Przebiegła obok mnie i otworzyła szeroko drzwi domu. Wpatrzyła się w wilgotną ciemność. Nasłuchiwała. Odsunęła się, żebym wyszedł.

— Do widzenia — powiedziała prawie nie oddychając. □ Życzę panu wiele szczęścia we wszystkim. Oprócz jednej sprawy. Eddie nie zamordował Rusty'ego Regana. Prawdopodobnie znajdzie pan Rusty'ego całego i żywego, naturalnie wtedy, kiedy będzie to dla niego wygodne, żeby go odnaleziono.

Oparłem się o nią. Całym ciałem przycisnąłem ją do ściany. Ustami dotknąłem jej twarzy. Zacząłem mówić nie zmieniając pozycji:

— Nie ma pośpiechu, srebrna główko. To wszystko zostało zaplanowane do najdrobniejszego szczegółu, zapięte na ostatni guzik, może nawet odbyła się próba generalna z dokładnością co do sekundy. Tak jak w programie radiowym. Nie muszę się więc w ogóle spieszyć. Pocałuj mnie, srebrna główko.

Jej twarz pod moimi ustami była zimna jak lód. Podniosła rękę, objęła moją głowę i pocałowała mnie mocno w usta. Jej wargi były również jak lód.

Wyszedłem, drzwi zamknęły się za mną bezszelestnie. Krople deszczu uderzały mnie w twarz. Nie były aż taka zimne jak jej wargi.

## Rozdział XXIX

W garażu obok było ciemno. Przeszedłem na ukos przez podjazd i mokry trawnik. Po szosie płynęły niezliczone strumyczki wody. Woda szumiała w przydrożnych rowach. Byłem bez kapelusza. Prawdopodobnie został w garażu podczas bójki. Naturalnie Canino nie potrudził się, żeby mi go włożyć na głowę. Nie myślał, że go będę jeszcze potrzebował. Wyobrażałem go

sobie, jak prowadzi gwałtownie w strumieniach deszczu, samotny, po odstawieniu skradzionego samochodu w bezpieczne miejsce i wysadzeniu gdzieś po drodze rudego i nadąsanego Arta.

Kochała Eddiego Marsa i ukryła się, żeby go chronić. Canino znalazłby ją na tym samym miejscu, siedzącą spokojnie na krześle pod lampą ze szklanką whisky, której nie spróbowała, i ze mną przywiązany do tapczanu. Prawdopodobnie wyniosłby jej rzeczy do samochodu i sprawdzilby dokładnie, czy nie pozostały po niej jakieś ślady w domu. Potem kazałby jej wyjść i zaczekać. Mogłaby w ogóle nie słyszeć strzału. Tłumiki są bardzo skuteczne na małą odległość. Prawdopodobnie opowiedziałby jej, że pozostawił mnie związanego i że po pewnym czasie uda mi się samemu oswobodzić. Tak by to przedstawił, uważając ją za głupią gęś. Uroczy pan Canino.

Płaszcz deszczowy, który miałem na sobie, był otwarty z przodu. Nie mogłem go zapiąć, dopóki byłem w kajdankach. Jego poły uderzały mnie po nogach jak skrzydła wielkiego, zmęczonego ptaka. Wszedłem na szosę. Samochody przejeżdżały w poszumie oświetlonej reflektorami wody. Znalazłem swój samochód tam, gdzie go zostawiłem. Obie opony były naprawione i założone z powrotem, tak że w każdej chwili można go było uruchomić. Pomyśleli o wszystkim. Wsiadłem do samochodu, zająłem miejsce za kierownicą, rozciągnąłem się w fotelu i odgiąłem skórę okrywającą skrytkę. Wziąłem pozostawiony tam rewolwer, ukryłem go pod płaszczem i ruszyłem z powrotem do domu. Świat dookoła był mały, ciemny, ograniczony, ponury — nasz intymny mały świat, Canina i mój.

W połowie drogi o mały włos nie omiotły mnie światła dwóch reflektorów, skręcającego gwałtownie z szosy na boczną drogę samochodu. Skoczyłem do rowu i przygiąłem, napiwszy się przy tym wody. Samochód przemknął nie zwalniając. Podniosłem głowę i dosłyszałem zgrzyt opon skręcających z polnej drogi na podjazd. Wreszcie silnik ucichł, światła zgasły, trzasnęły zamykane drzwiczki. Nie słyszałem odgłosu zamykania drzwi frontowych, ale przez drzewa przedarł się krótki błysk, tak jakby ktoś zapalił światła w hallu.

Wszedłem z powrotem na przemokniętą trawę i zacząłem brnąć przez nią. Samochód stał między mną a domem, czułem u boku rewolwer, schowany tak głęboko jak tylko mogłem sięgnąć ręką. Samochód był ciemny i pusty, ciepły. Woda gulgotała przyjemnie w chłodnicy, Zerknąłem przez szybę drzwi do środka. Kluczyki wisiały w stacyjce. Canino był bardzo pewny siebie. Obszedłem samochód i ruszyłem ostrożnie podjazdem, Podszedłem do okna, słuchałem. Nie było słyhać żadnych głosów, tylko szybkie tap—tap kropel deszczu uderzających w metalowe kolanka rynien.

Cały czas nasłuchiwałem. Żadnych podniesionych głosów, wszystko cicho i wytwornie. Prawdopodobnie Canino zawarczał na nią tym swoim głosem, a ona odpowiedziała, że pozwoliła mi uciec i że przyrzekłem zapomnieć o Eddim i o całym towarzystwie. Naturalnie Canino zaufał mi tak, jak ja jemu. Doszedłem więc do wniosku, że nie mogą długo pozostać w domu. Weźmie ją ze sobą. Nie pozostawało mi nic innego, jak zaczekać, aż wyjdą.

Nie mogłem jednak do tego dopuścić. Wsunąłem rewolwer do lewej ręki, pochyliłem się i nabrałem w prawą garść żwiru ze ścieżki. Rzuciłem go w szybę okienną. Efekt był raczej mizerny. Kilka ziarenek trafiło wprawdzie w szybę, ale uderzyły z taką siłą, jak fala o zapórę.

Pobieglem z powrotem do samochodu. W domu nadal panowały ciemności. Tyle zyskałem. Usiadłem na stopniu i czekałem. Pudło. Canino był zbyt ostrożny.

Podniosłem się i tyłem wsiadłem do samochodu. Namacałem klucz w kontakcie. Udało mi się go przekręcić. Nogą szukałem startera, ale go nie znalazłem. Wymacałem go na desce

rozdzielczej. Rozgrzany silnik zaskoczył natychmiast. Pracował cicho, równomiernie. Wysiadłem i położyłem się przy tylnych kołach.

Drżałem na całym ciele, ale wiedziałem, że w ten sposób wywabię Canina z budynku. Samochód był mu niezbędny. Zobaczyłem, jak jedno z nie oświetlonych okien otwiera się powoli, centymetr po centymetrze tylko leciutkie pobłyskiwanie szyby zdradzało ten ruch. Płomień wytrysnął nagle — ogłuszający ryk trzech szybkich wystrzałów. Posypało się szkło w samochodzie. Krzyknąłem jak śmiertelnie ranny. Mój krzyk przeszedł w przedśmiertelny jęk. Jęk zamienił się w cichy gulgot, przytłumiony płynącą krwią. Zakończyłem gulgotanie urwanym westchnieniem. Dobra robota. Podobało mi się to. Caninowi też, nawet bardzo. Usłyszałem jego śmiech. Głośny, huczący śmiech, zupełnie nie warkotliwy.

Przez chwilę trwała cisza, przerywana kroplami deszczu padającymi na maskę pracującego silnika. Wreszcie otwarły się drzwi — czarna dziura w ciemnościach. Jakaś postać, omotana czymś białym przy szyi, wyszła przez nie ostrożnie. To był jej kołnierz. Zeszła po schodach werandy sztywno, jak drewniana lalka. Dostrzegłem słaby błysk srebrnej peruki. Canino kroczył ukryty za nią. Był to widok tak pełen napięcia, że aż śmieszny.

Schodziła po schodach. Teraz już było widać jej bladą, zeszywniałą twarz. Kierowała się do samochodu. Tarcza dla sympatycznego pana Canina na wypadek, gdybym jeszcze patrzył na oczy. Usłyszałem jej głos, ledwo wydobywający się spomiędzy warg, wypowiadający wolno i bezdźwięcznie:

— Nic nie widzę, Lash. Okna są zamglone.

Zawarczał i ciało kobiety drgnęło mocno, jakby je ktoś pchnął w plecy lufą rewolweru. Zbliżyła się do nie oświetlonego samochodu. Teraz widziałem go doskonale spoza niej, jego kapelusz, profil, kłęb barków. Kobieta stanęła raptownie i krzyknęła. Piękny, wysoki krzyk, który poczułem aż w trzewiach.

— Widzę go! — wołała. — Przez okno! Siedzi za kierownicą, Lash!

Dał się nabrać jak łosoś na przynętę. Odsunął ją brutalnie i skoczył do przodu podnosząc rękę. Jeszcze trzy wytryski płomienia przecięły ciemność. Znów rozległ się brzek rozbitych szyb. Silnik jednak pracował spokojnie. Jedna kula przeszła tuż koło mnie i drasnęła drzewo stojące obok. Rozległ się cichy jęk rykoszetu.

Nasłuchiwał w ciemnościach, jego twarz majaczyła szarą plamą. Jeżeli miał rewolwer, to musiał opróżnić cały magazynek, chyba że uzupełnił go w domu. Strzelał już sześć razy. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby jego broń nie była naładowana. Niestety, mógł mieć automat.

— Gotowe? — zapytałem.

Obrócił się w moją stronę. Możliwe, że byłoby przyzwoiciej pozwolić mu oddać jeszcze jeden albo dwa strzały, jak to się działo ongiś między dżentelmenami z dobrej starej szkoły. Ale jego broń była wciąż uniesiona i nie mogłem dłużej czekać. Nie mogłem okazać się dżentelmenem ze starej dobrej szkoły. Strzeliłem czterokrotnie, przyciskając colta do żeber. Rewolwer wyskoczył mu z ręki, jakby go ktoś kopnął. Schwycił się obiema rękami za brzuch. Upadł właśnie tak, wyprostowany, z szerokimi dłońmi przyciśniętymi do ciała. Twarz zanurzyła się w mokrej trawie. Nie wydał głosu.

Srebrna główka też nie krzyknęła. Stała wyprężona, a deszcz chłostał jej ciało. Okrążyłem ciało Canina i kopnąłem jego rewolwer. Właściwie nie wiadomo po co. Podszedłem do rewolweru i podniosłem go. Stałem teraz blisko niej.

— Bałam się... bałam się, że pan mimo wszystko wróci — powiedziała markotnie jakby do siebie samej.

— Mieliśmy randkę. Powiedziałem przecież pani, że wszystko było umówione.— Zacząłem się śmiać jak głupiec.

Pochyliła się nad nim, dotknęła go. Po chwili wyprostowała się, trzymając mały kluczyk na cieniutkim łańcuszku.

— Musiał pan go zabić? — spytała z goryczą.

Przestałem się śmiać tak samo nagle, jak zacząłem. Podeszła do mnie i otworzyła kajdanki.

— Właściwie — powiedziała miękko — myślę, że pan musiał.

### Rozdział XXX

Nadszedł nowy dzień. Znowu świeciło słońce. Kapitan Gregory z Wydziału Osób Zaginionych patrzył przez okno i uważnie oglądał płaski dach gmachu Sądu Najwyższego, czysty i odświeżony po deszczu. Wreszcie poruszył się w swoim obrotowym fotelu, napelnił fajkę tytoniem, ubił go kciukiem i spojrzał na mnie poważnie.

— No cóż, znowu znalazł się pan w paskudnej sytuacji.

— O, już pan o tym słyszał?

— Drogi chłopcze, siedzę tutaj na tyłku cały dzień i robię wrażenie, jakbym nie miał w głowie mózgu. Ale zdumiałby się pan, gdyby wiedział, jak wiele dochodzi do moich uszu. Zrobił pan słusznie, że wreszcie zlikwidował pan tego Canina. Obawiam się jednak, że ludzie z Wydziału Zabójstw nie przypną panu za to orderu do piersi.

— Ostatnio przypisuje mi się całkiem pokaźną ilość morderstw, ale mój udział w nich nie był znowu tak wielki — stwierdziłem.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

— Kto panu powiedział, że dziewczyna, która tam była, jest żoną Eddiego Marsa?

Opowiedziałem mu. Przysłuchiwał się uważnie, ziewając od czasu do czasu i uderzając palcami po wargach.

— Naturalnie myśli pan — powiedział — że odnalezienie jej należało do moich obowiązków?

— To pochopny wniosek — zaprzeczyłem.

— Możliwe, że wiedziałem, gdzie ona jest — zaczął powoli — ale może stałem na stanowisku, że jeśli Eddie Mars i jego żona ukartowali taką grę, to byłoby najsmardziej, przynajmniej moim zdaniem, pozwolić im wierzyć, że im się powiodło.. A może wydaje się panu, że pozwoliłem Eddiemu działać w ten sposób z przyczyn czysto osobistych? — Wyciągnął ku mnie tę swoją wielką dłoń i wykonał palcami ruch imitujący liczenie pieniędzy.

— Nie — odpowiedziałem. — Naprawdę tak nie myślałem. Nawet wtedy, kiedy Eddie Mars dawał mi do zrozumienia, że wie o naszej rozmowie... tej z poprzedniego dnia.

Ściągnął brwi tak, jakby to wymagało nie wiem jakiego wysiłku — jego stary wypróbowany trik. Skóra na czole pofałdowała mu się gęsto, a kiedy znów się wygładziła, mogłem obserwować na niej cienkie, białe linie, powoli przybierające czerwonawy kolor.

— Jestem policjantem, tylko zwykłym policjantem. Umiarkowanie uczciwym. Na tyle uczciwym, na ile tego można wymagać od człowieka żyjącego w świecie, w którym uczciwość

wyszła z mody. Właśnie dlatego wezwałem pana dzisiaj rano do siebie. Chciałbym, żeby pan w to uwierzył. Jestem urzędnikiem policji i chciałbym, żeby prawo zwyciężyło. Nic by tak nie ucieszyło moich oczu jak widok tego doskonale odżywionego i świetnie ubranego Eddiego Marsa łamiącego te swoje wypielęgnowane paznokietki w kamieniołomach w Folsom, pracującego obok biednego drobnego złodziejaska z dzielnic nędzy, który został schwytany przy pierwszym przestępstwie i który już nigdy nie odnalazł swego miejsca w życiu. To jest właśnie to, o czym marzę. Ale zarówno pan, jak i ja jesteśmy za starzy, żeby wierzyć, że to się kiedykolwiek stanie. W każdym razie nie w tym mieście, ani w mieście o połowę mniejszym, ani w żadnej innej części wielkich, zielonych i pięknych Stanów Zjednoczonych. Tak to już jest urządzone w tym naszym kraju.

Milczałem. Pochylił głowę, wypuścił kłęb dymu i z zainteresowaniem obejrzał cybuch swojej fajki.

— Nie znaczy to jednak — ciągnął dalej — że myślę, że Eddie Mars zlikwidował Regana albo że miał powód, żeby to zrobić. Po prostu sędzę, że on wie coś o tej całej historii, i że wcześniej czy później puści parę. Ukrycie żony w Realito było zwykłą dziecinadą, ale dziecinadą doskonale pasującą do faceta, który myśli, że jest chytrzejszy od innych. Gościłem go w swoim biurze wczoraj wieczorem, po tym jak rozmawiał z nim prokurator. Przyznał się do całej sprawy. Powiedział, że znał Canina i że zatrudnił go od przypadku do przypadku jako porządkowego. Nie miał pojęcia o jego zabawach i nie chce nic o nich wiedzieć. Nie znał Harry'ego Jonesa ani Joe Brody'ego. Owszem, znał Geigera, ale przysiągł, że nie wiedział o jego działalności. Wydaje mi się, że pan też to wszystko słyszał.

— Owszem.

— Muszę przyznać — ciągnął Gregory, że tam, w Realito, znakomicie rozegrał pan całą sprawę. Słusznie pan robi, że teraz nie próbuje pan wszystkiego zatuszować. Prowadzimy rejestr nie zidentyfikowanych kul. Pewnego dnia użyłby pan jeszcze raz swego colta i wpadłby pan z pewnością.

— Rzeczywiście, sprytnie to rozegrałem – przyznałem patrząc na niego ironicznie.

Wystukał popiół z fajki i przyjrzał się jej z namysłem.

— Co się stanie z dziewczyną? — spytał nie podnosząc oczu.

— Nie wiem. Nie zatrzymano jej. Podpisaliśmy trzy różne protokoły: dla Wilde'a, dla szeryfa i dla Wydziału Zabójstw. Pozwolono jej odejść. Nie widziałem jej więcej i nie spodziewam się, że ją zobaczę.

— Mówią, że to była fajna dziewczyna, jedna z tych, które nie chcą brać udziału w brudnych grach. – Kapitan Gregory westchnął i zmierzwił rzadkie wąsiki. – Chcą panu jeszcze coś powiedzieć. Pan też wygląda na fajnego faceta, ale gra pan za ostro. Jeśli chce pan rzeczywiście pomóc rodzinie Sternwoodów, niech pan pozostawi ich w spokoju.

— Wydaje mi się, że ma pan rację, kapitanie.

— Jak się pan czuje?

— Znakomicie — odparłem rześkim głosem. – Większą część nocy stałem na dywanach różnych gabinetów i byłem przesłuchiwany. Przedtem przemokłem do nitki i zostałem zбитy do utraty przytomności. Jestem w świetnej kondycji.

— A czego pan, do diabła, oczekiwał?

— Niczego innego.

Wstałem, uśmiechnąłem się do niego i ruszyłem w stronę drzwi. Kiedy sięgałem za kłamekę, usłyszałem, jak odchrząknął i powiedział suchym głosem:



— Myśli pan, że nie wysilam się za bardzo, co? Ciągłe się panu wydaje, że potrafi pan odnaleźć Regana?

Odwrociłem się i spojrzałem mu prosto w oczy.

— Nie, nie myślę, że mogę odnaleźć Regana. Nawet nie będę próbował. Czy to panu odpowiada?

Powoli kiwnął głową, potem wzruszył ramionami.

— Naprawdę nie wiem, po jaką cholere ja to wszystko powiedziałem. Powodzenia, Marlowe. Moje drzwi stoją dla pana zawsze otworem.

— Dziękuję, kapitanie.

Wyszedłem z gmachu, wsiałem do samochodu i pojechałem do domu na Hobart Arms. Rozciągnąłem się na łóżku zrzuciwszy płaszcz i zagapiłem się w sufit, nasłuchując odgłosów ulicznego ruchu i obserwując promienie słońca, powoli przesuwające się po suficie. Usiłowałem zasnąć, ale sen nie nadchodził. Wstałem i zrobiłem sobie drinka, chociaż pora nie była odpowiednia po temu, potem położyłem się znowu. Nie mogłem jednak zasnąć. W głowie mi kołatało. Usiałem na łóżku, nabiłem fajkę i powiedziałem głośno sam do siebie:

— Ten stary cwaniak coś wie.

Fajka smakowała gorzko jak kłamstwo. Odłożyłem ją i znowu wyciągnąłem się na łóżku. Mój umysł przedzierał się przez zwały wspomnień — robiłem wciąż na nowo te same rzeczy, odwiedzałem te same miejsca, spotykałem tych samych ludzi, mówiłem do nich te same słowa, wciąż na nowo i na nowo, za każdym razem było to prawdziwe, tak jakby dopiero co się zdarzyło, jakby właśnie się działo.

Jechałem ze „Srebrną Główką”, prowadząc szybko w deszczu po autostradzie. „Srebrna Główka” w rogu samochodu, milcząca aż do samego Los Angeles, tak że wyglądaliśmy na parę obcych sobie ludzi. Zadzwoiłem z czynnego całą noc baru do Berniego Ohlsa i poinformowałem go, że zabiłem człowieka w Realito i że właśnie jadę do domu prokuratora Wilde'a wraz z żoną Eddiego Marsa, która widziała, jak to zrobiłem. Dojechałem cichymi, wypucowanymi przez deszcz ulicami do wielkiego domu Wilde'a, w którego oknach już się świeciło. Ohls zdążył zatelefonować, zanim przyjechałem. Siedziałem w gabinecie, naprzeciwko odzianego w kwiecistą bonzurkę prokuratora, o skupionej, twardej twarzy, unoszącego cygaro do wykrzywionych gorzkim uśmieszkiem ust. Był tam już Ohls i jakiś szczupły człowieczek bez wyrazu, który wyglądał i wyrażał się raczej jak profesor niż policjant. Opowiedziałem, co miałem do opowiedzenia, a oni słuchali w milczeniu, wraz ze „Srebrną Główką”, siedzącą w półcieniu, z dłońmi skrzyżowanymi na kolanach, nie patrzącą na żadnego z nas. Potem było mnóstwo telefonów, a potem przyjechało dwóch facetów z Wydziału Zabójstw, którzy przyglądali mi się, jakbym był niebezpieczną bestią zbiegłą z wędrownego cyrku.

Potem znów jechałem z jednym z nich u boku i znowu byłem w pokoju, gdzie Harry Jones siedział w unoszącymi się w powietrzu gorzko—słodkim zapachu, z twarzą ściągniętą pośmiertnym skurczem. Był tam już lekarz policyjny, bardzo młody i czerstwy, z karkiem porośniętym rudawymi włoskami. Był też specjalista od odcisków palców, węszący wokół, i to on znalazł odcisk kciuka Canina. Jedyne odcisk palca, jaki pozostawił ubrany na brązowo mężczyzna, jedyny jaki mógł potwierdzić moją wersję wydarzeń.

Potem znowu byłem w domu Wilde'a, gdzie podpisałem przyniesiony przez sekretarkę z innego pokoju protokół. Potem otworzyły się drzwi, wszedł Eddie Mars i nagły uśmiech rozjaśnił mu twarz, kiedy zobaczył „Srebrną Główkę”. „Hej, słoneczko” — powiedział, ale nie odpowiedziała mu, nawet na niego nie spojrzała. Eddie Mars — świeżutki i ożywiony w

ciemnym garniturze. Potem wszyscy wyszli, wszyscy, oprócz mnie i Wilde'a. Wilde powiedział zimnym, złym głosem: „To już naprawdę ostatni raz, Marlowe. Następnym razem poślę pana do więzienia, nie zważając na to, czy to komuś złamie serce, czy nie.”

I tak to powtarzałem wciąż od początku, leżąc na łóżku i obserwując plamy rzucane na sufit przez promienie słoneczne.

Nagle rozległ się dźwięk dzwonka telefonu. Odezwał się Norris, lokaj Sternwoodów, tym swoim pełnym dystyngowanego chłodu głosem:

— Czy to pan Marlowe? Dzwoniłem do pańskiego biura, ale bezskutecznie i dlatego pozwalam sobie niepokoić pana w domu.

— Byłem całą noc w drodze — wyjaśniłem. — Dlatego nie było mnie w biurze.

— Tak, proszę pana. Generał bardzo chciałby się z panem zobaczyć dziś rano, panie Marlowe, naturalnie, jeśli panu to w niczym nie przeszkadza.

— Będę za jakieś pół godziny — odpowiedziałem. — Jak on się czuje?

— Leży w łóżku, ale nie czuje się źle, proszę pana.

— Zobaczymy, jak się poczuje, kiedy mnie zobaczy — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Wstałem, ogoliłem się i zmieniłem ubranie. Wziąłem mały rewolwer Carmen z rękojeścią wyłożoną macicą perłową i włożyłem go do kieszeni. Promienie słoneczne były jaskrawe, roztańczone. Po dwudziestu minutach znalazłem się w posiadłości Sternwoodów. Była godzina jedenasta piętnaście. Ptaki śpiewały oszalałe w przyszczyżonych drzewach, tarasowato opadające trawniki były zielone po deszczu niczym irlandzka flaga, w ogóle cała posiadłość wyglądała tak, jakby ją zbudowano dziesięć minut temu. Nacisnąłem dzwonek. Po raz pierwszy znalazłem się tu pięć dni temu, a wydawało mi się, że od tej wizyty minął rok.

Otworzyła mi służąca, wprowadziła do hallu i odeszła, zapowiadając, że Norris pojawi się za parę sekund. Hall wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem. Portret wiszący nad kominkiem miał te same gorące czarne oczy, a rycerz na witrażu wciąż usiłował — nie robiąc nic naprawdę w tym celu — odwiązać nagą damę od drzewa.

W ciągu paru sekund pojawił się Norris. I on też się nie zmienił. Błękitne oczy były jak zwykle pełne dystansu, różowawa skóra sprawiała wrażenie zdrowej i świeżej, a poruszał się tak, jakby był dwadzieścia lat młodszy niż to miało miejsce w rzeczywistości. To ja byłem tym z nas dwóch, który odczuwał upływ lat.

Poszliśmy po schodach i skręciliśmy w odwrotną do sypialni Vivian stronę. Z każdym krokiem dom wydawał mi się cichszy i większy. Doszliśmy do masywnych starych drzwi wyglądających jak odrzwia kościoła. Norris otworzył je delikatnie. Znalazłem się na czymś, co wyglądało jak dywan o ćwierćhektarowej powierzchni. Poszedłem po nim ku wielkiemu łóżu, przypominającemu to, w którym umarł Henryk VIII.

Generał Sternwood siedział na łóżku podparty poduszkami. Jego trupioblade ręce były zaciśnięte na końcu prześcieradła. Wyglądały przy jego bieli na brudnawo—szare. Płomień życia błyszczał wciąż jeszcze w czarnych oczach, choć twarz była już twarzą trupa.

— Niech pan siada, Marlowe — powiedział lekko zmęczonym, jakby drewnianym głosem.

Przysunąłem krzesło do łóżka i usiadłem. Wszystkie okna były zamknięte, najmniejszy promień słońca nie przedostawał się przez markizy. W powietrzu unosił się słodkawy zapach starości.

Przez dłuższą chwilę generał przyglądał mi się milcząc. Wreszcie, uniósłszy rękę, jakby chciał sprawdzić, czy może nią jeszcze poruszać, powiedział:

— Panie Marlowe, nie prosiłem pana, żeby rozglądał się pan za moim zięciem.

— Zaangażował mnie pan przecież.

— Ale o to pana nie prosiłem. Wziął pan na siebie zbyt wiele. Przywykłem mówić, jeśli czegoś sobie życzę.

Nie odpowiedziałem.

— Zapłaciłem panu — ciągnął chłodnym tonem. — Pieniądze nie mają tu zresztą znaczenia. Odczuwam to tak, jakby pan, bez wątpienia niechcący, nadużył mego zaufania. — Wypowiedziawszy tę kwestię zamknął oczy.

— Czy to dla stwierdzenia tego faktu pan mnie tu wezwał? — spytałem.

Otworzył powoli oczy, jakby miał powieki zrobione z ołowiu.

— Wydaje mi się, że rozdrażniła pana ta uwaga.

Potrząsnąłem głową.

— Ma pan nade mną przewagę, generale. Nie chcę panu tej przewagi odbierać. Może mi pan mówić wszystko, co pan pragnie, a ja z pewnością nie obrażę się i nie będę się złościł. Chciałbym panu zaproponować, żeby pan przyjął z powrotem pieniądze. Wiem, że to dla pana nie ma znaczenia. Dla mnie natomiast ma pewne.

— Jakie?

— Dla mnie oznacza, że odmówiłem przyjęcia zapłaty za zlecenie, którego nie mogłem wykonać ku zadowoleniu strony zamawiającej. To wszystko.

— Czy często zdarzają się panu takie zlecenia?

— Zdarzają się. Jak każdemu.

— Dlaczego poszedł pan do kapitana Gregory?

Odchyliłem się w krześle i przerzuciłem ramię przez jego oparcie. Wpatrywałem się w jego twarz. Nie wyczytałem z niej niczego. Nie znałem odpowiedzi na jego pytanie. Satisfakcjonującej odpowiedzi.

— Byłem przekonany, że przekazał mi pan weksel Geigera, żeby mnie wypróbować — powiedziałem. — że obawiał się pan, że Regan mógł być jakoś zamieszany w sprawę szantażu. Wtedy nic jeszcze nie wiedziałem o Reganie. Dopiero po rozmowie z kapitanem Gregory, zrozumiałem, że udział takiego człowieka jak Regan w takiej sprawie jest wykluczony.

— To nie jest żadna odpowiedź na moje pytanie — przerwał mi generał.

Skinąłem głową.

— Tak, to właściwie nie jest odpowiedź na pańskie pytanie. Po prostu nie bardzo mam ochotę przyznać, że w tej całej sprawie nie byłem wobec pana zupełnie szczery. Kiedy pierwszego dnia po mojej wizycie u pana wychodziłem z tego pomieszczenia dla orchidei, posłała po mnie pani Regan. Wyglądało na to, że jest pewna, iż zaangażował mnie pan po to, bym szukał jej męża. Nie wydawała się tym zachwycona. Wymknęło się jej w rozmowie ze mną, że „oni” odnaleźli samochód Regana w jednym z okolicznych garaży. Ci „oni” to mogła być tylko policja, a zatem policja coś wiedziała. Jeżeli tak, to sprawa podlegała Wydziałowi Poszukiwań Osób Zaginionych. Nie wiedziałem oczywiście, czy zniknięcie Regana zostało tam zgłoszone przez pana, czy ktoś o tym doniósł, czy po prostu ktoś zameldował o porzuconym w garażu samochodzie. Ale znam policjantów i wiem, że jeśli wiedzą już tyle, to dowiedzą się jeszcze czegoś więcej, zwłaszcza jeśli kierowca jest notowany. Nie wiedziałem, jak dużo już wie policja, dlatego postanowiłem tam pójść. O słuszności tego kroku przekonała mnie postawa

prokuratora Wilde'a, owej nocy kiedy w jego domu omawiano sprawę Geigera. Przez chwilę byłem z nim sam na sam. Spytał mnie wówczas, czy polecił mi pan szukać Regana. Odpowiedziałem, że w czasie rozmowy ze mną wspomniał pan, że chętnie dowiedziałby się, gdzie przebywa i czy mu się dobrze powodzi. Prokurator Wilde zacisnął wargi i zrobił dziwną minę. Zrozumiałem, że mówiąc o „szukaniu Regana” prokurator myśli o uruchomieniu całej wielkiej maszyny policyjnej. Z tego powodu rozmawiając z kapitanem Gregorym starałem się nie powiedzieć niczego, o czym by już nie wiedział.

— Czyli pozostawił pan kapitana Gregory w przeświadczeniu, że poleciłem panu szukać Rusty'ego?

— Właściwie tak — przyznałem — ale dopiero wtedy, gdy przekonałem się, że i tak zna sprawę.

Generał przymknął drżące powieki.

— Uważa pan, że to etyczne? — spytał nie otwierając oczu.

— Tak. Uważam, że tak.

Jego oczy znów się otworzyły. Ich żywa czerń kontrastowała z trupią bledością twarzy.

— Być może źle pana rozumiem — powiedział wolno.

— Bardzo możliwe — powiedziałem. — Kierownik Wydziału Poszukiwań Osób Zaginionych nie jest gadułą. Nie mógłby piastować tego stanowiska, gdyby nim był. Aktualny to wyjątkowo inteligentny i ostrożny człowiek, który początkowo starał się odgrywać rolę osła. Gra, którą ja prowadzę, nie jest grą na wyrobienie cierpliwości. Bardzo często jest połączona z olbrzymim blefem. Cokolwiek mówię policjantowi, jakimukolwiek policjantowi, muszę się liczyć z tym, że to wykorzysta. Charakterystyczne, że temu policjantowi było wszystko jedno, co mówiłem. Jeżeli pan angażuje kogokolwiek z mojej branży, generale, to sprawa ma się trochę inaczej niż z zaangażowaniem czyściciela okien, któremu pokazuje pan osiem otworów okiennych, mówiąc: „Wyczyści pan to i jest pan wolny” — i na tym koniec. Nie wie pan, jak się muszę nagimnastykować, żeby wykonać powierzone mi zadanie. Robię to w sposób bardzo indywidualny. I robię wszystko, by klienta, w danym wypadku pana, ochronić, a jeśli przy tym przekraczam pewne granice, to i robię to także tylko dla pana. Przychodzi do mnie klient, po czym okazuje się, że jest nieuczciwy. Nawet wówczas nie pozostaje mi nic innego, jak wycofanie się i przemilczenie całej sprawy. A poza tym, proszę pamiętać, że nie zabronił mi pan odwiedzania kapitana Gregory'ego.

— Trudno byłoby panu czegoś zabronić — powiedział. Cóż więc zrobiłem nie po pańskiej myśli?

— Pański lokaj Norris sądził, że po śmierci Geigera sprawa jest załatwiona. Jestem zupełnie innego zdania. Metody Geigera napełniały mnie obrzydzeniem. Nie jestem Sherlockiem Holmesem ani Philo Vance'em. Nigdy nie spodziewam się, że znajdę cokolwiek na terenie zbadanym już przez policję. Jeśli wyobraża pan sobie, że istnieje jakiś detektyw, który w ten sposób zarabia na życie, to niezbyt dobrze orientuje się pan w pracy policji. Policja bada wszystko bardzo szczegółowo i rzadko zdarza się, by cokolwiek przepuściła. Chyba że patrzy na sprawę przez palce. Nie zadziałała tak jak należało w stosunku do takiego człowieka jak Geiger, człowieka, który wysyła rewersy pieniężne i prosi o potraktowanie ich jako długów honorowych. Geiger, człowiek uwikłany w podejrzane interesy i z podejrzaną pozycją, był jednak ochroniany przez policję. Dlaczego postąpił tak, jak postąpił? Chciał po prostu wyczuć, czy będzie mógł pana szantażować na dłuższą metę. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie, to pan zignoruje jego żądanie. Był jednak ktoś, przez kogo mógł wywrzeć na pana nacisk. Regan. Myślał, że pan się

obawiał, że Regan jest kimś innym, niż pan sobie to wyobrażał, że kręcił się koło pana i był miły, dopóki nie odkrył, w jaki sposób może czerpać z pana konta. — Widziałem, że generał chce mi przerwać, ale nie pozwoliłem mu na to i ciągnąłem dalej: — Nie chodziło tu o pieniądze, o to pan nie dba. Nie chodziło nawet o pańskie córki. Prędej czy później i tak by im pan wszystko zapisał. Było w tym wszystkim coś zupełnie innego: pańska duma i fakt, że pan naprawdę lubił Regana.

Zapadło milczenie.

Po długiej chwili generał odezwał się cicho:

— Cholernie dużo pan mówi, Marlowe! Czy mam rozumieć, że ciągle jeszcze próbuje pan rozwiązać zagadkę?

— Nie. Dałem temu spokój. Ostrzeżono mnie, że ludzie z policji uważają, że działam zbyt zdecydowanie. I dlatego pomyślałem, że powinienem panu zwrócić pieniądze. Według moich kryteriów pańskie polecenie nie zostało wykonane.

Uśmiechnął się.

— Mówi pan głupstwa. Zapłacę panu tysiąc dolarów, jeżeli odnajdzie pan Regana. Nie musi do mnie wrócić. Nie muszą wiedzieć, gdzie jest. Człowiek ma prawo żyć tak, jak chce. Nie mam do niego pretensji, że nie mógł wytrzymać z moją córką ani nawet o to, że tak nagle odszedł. Działał prawdopodobnie pod wpływem impulsu. Chcę tylko wiedzieć, czy mu się dobrze powodzi, gdziekolwiek jest. Chcę mieć wiadomości z pierwszej ręki. Jeśli przypadkiem są mu potrzebne pieniądze, chciałbym, żeby je dostał. Czy wyraziłem się dosyć jasno?

— Tak, generale — odpowiedziałem.

Odpoczywał przez chwilę, ciało mu zwiotczało, zamknął podbite sińcami oczy, wąskie usta były niemal bezkrwiste. Wyglądał na wyczerpanego. Otworzył oczy i spróbował uśmiechnąć się do mnie.

— Wydaje mi się — stwierdził — że jestem starym sentymentalnym osłem... To zupełnie nie po wojskowemu. Przywiązałem się do tego chłopaka. Wydawał mi się bardzo przywoity. Na przyszłość muszę być ostrożniejszy w wydawaniu opinii o ludziach. Niech pan to zrobi dla mnie, Marlowe, niech pan go znajdzie!

— Spróbuję, generale — odpowiedziałem — ale teraz musi pan odpocząć.

Wstałem i powędrowałem po rozległej podłodze do drzwi. Widziałem, że zamknął oczy, nim zdążyłem otworzyć drzwi. Jego ręce leżały bez życia na prześcieradle. Wyglądał na umarłego bardziej niż rzeczywisty umarły.

Zamknąłem cicho drzwi i poszedłem przez hall do schodów.

Rozdział XXXI

Lokaj zjawił się z moim kapeluszem. Włożyłem go na głowę i spytałem:

— Co pan sądzi o jego stanie?

— Nie jest taki słaby, na jakiego wygląda, proszę pana,

— Gdyby tak było, to dojrzałby już do pogrzebu, W jaki sposób Regan wkradł się aż tak w jego łaski?

Lokaj spojrzał na mnie z podejrzanym spokojem.

— Generałowi zaimponowała jego młodość i żołnierskie spojrzenie, proszę pana.

— Takie jak pańskie — zauważyłem,

— Jeżeli wolno mi to powiedzieć, proszę pana, podobne do pańskiego.

— Dziękuję. Jak się czują damy?

Wzruszył delikatnie ramionami,

— Dokładnie tego się spodziewałem □ rzuciłem, a on otworzył przede mną drzwi.

Stałem na schodach i patrzyłem na tarasowate trawniki, przystryżone drzewa i pola kwiatów. Zobaczyłem Carmen siedzącą na kamiennej ławce z głową opartą na rękach, sprawiającą wrażenie samotnej i zagubionej.

Zszedłem ścieżką z czerwonej cegły, prowadzącą z tarasu na taras. Byłem już prawie koło niej, kiedy usłyszała, że nadchodzę. Podskoczyła na ławce jak kot. Nosila te same jasnoniebieskie spodnie, w jakich zobaczyłem ją pierwszy raz. Jej włosy były tą samą rozczochraną jedwabistą falą. Miała bladą twarz. Na policzkach wystąpiły jej czerwone plamy, a oczy pociemniały.

— Znudzona? — spytałem.

Uśmiechnęła się lekko, prawie nieśmiało i szybko skinęła głową.

— Nie jest pan już na mnie zły?

— Myślałem, że to pani jest na mnie zła.

Podniosła kciuk i zachichotała. Kiedy tylko usłyszałem ten chichot, z miejsca straciłem dla niej cieplejsze uczucia. Rozejrzałem się. W odległości około dziesięciu metrów ode mnie przymocowana była do drzewa tarcza, w której tkwiło kilka strzał, Trzy czy cztery leżały obok Carmen na kamiennej ławce.

— Jak na ludzi posiadających tyle pieniędzy zarówno pani, jak i jej siostra macie zbyt mało rozrywek □ zauważyłem.

Spojrzała na mnie spoza długich rzęs, Wiedziałem już, że miało mnie to rozłożyć na obie łopatki.

— Sprawia pani przyjemność strzelanie z łuku?

— Uhm — odpowiedziała,

— To mi coś przypomina — powiedziałem. Obejrzałem się na dom. Posunąłem się o metr dalej, tak by moją postać zakryło drzewo i by nie można mnie było dostrzec z okien, Wyciągnąłem z kieszeni mały rewolwer z rękojeścią z masy perłowej.

— Przyniosłem pani z powrotem jej ciężką artylerię, Oczyszciliem to i naładowałem. Proszę jednak posłuchać mojej rady i nie strzelać do ludzi, zanim pani nie nauczy się strzelać naprawdę. Zgoda?

Zbladła. Wyjęła kciuk z ust. Spojrzała na mnie, potem na rewolwer. W jej oczach dostrzegłem fascynację.

— Dobrze — kiwnęła głową na znak zgody i natychmiast dodała: — Niech mnie pan nauczy strzelać. Będę się bardzo cieszyła.

— Tutaj? To wbrew prawu.

Podeszła do mnie i oplótłszy lufę palcami wyjęła mi rewolwer z dłoni. Wetknęła go pospiesznie do kieszeni spodni, jakimś ukradkowym ruchem i rozejrzała się wokoło.

— Wiem gdzie — szepnęła konspiracyjnie. — Tam dalej obok starych szybów naftowych — pokazała ręką na zbocze. — Naucz mnie pan?

Spojrzałem w ciemnoszare oczy. Równie dobrze mógłbym wyczytać coś z pustych otworów dwóch butelek.

— Dobrze. Proszę mi jednak zwrócić rewolwer. Najpierw zobaczę, czy można tam strzelać.

Zaśmiała się, zrobiła jakiś grymas i oddała mi rewolwer tym samym, ukradkowym ruchem — jakby mi wręczała klucz od swego pokoju. Ruszyliśmy w kierunku mojego samochodu. Ogród sprawiał wrażenie opuszczonego. Słońce było zimne jak uśmiech kelnera. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy opustoszałą drogą w stronę wzgórz.

— Gdzie jest Vivian? — spytałem.

— Jeszcze nie wstała — zachichotała.

Jechaliśmy w dół przez ciche, zamożnie wyglądające, zmyte przez deszcz ulice, najpierw na wschód, potem na południe. Dojechaliśmy do miejsca, o które jej chodziło, w ciągu dziesięciu minut.

— Trzeba tu wjechać — wychyliła się z okna i wskazała kierunek.

Była to wąska ubita droga, typowa boczna szosa, prowadząca do położonych na wzgórzach farm. Skrzydła szerokiej bramy były rozwarte i przytrzymane przystawionymi do nich pniakami. Brama wyglądała tak, jakby nikt jej od lat nie zamykał. Droga była wysadzona wysokimi eukaliptusami, złobiły ją głębokie koleiny. Musiały po niej kiedyś jeździć ciężarówki. Była pusta i obłana słońcem, ale nie było na niej kurzu. Deszcz padał ostatnio zbyt mocno. Wjechałem w koleiny. Odgłosy ruchu ulicznego milkły i nikły, jakbyśmy w ogóle nie byli w mieście, tylko śnili na jawie na nieznanym lądzie. Zobaczyłem pół tuzina nieruchomych starych pomp i kilka opuszczonych szybów naftowych. Dookoła poniewierało się kilkanaście pustych baryłek na ropę, leżał stos zardzewiałych rur, stała przechylona na jedną stronę przyczepa. Wokół były bajora stęchłej, pokrytej plamami ropy wody.

— Czy to wszystko stanie się w przyszłości parkiem? — spytałem.

Pochyliła głowę i spojrzała na mnie spode łba.

— Najwyższy czas, żeby to zrobić. Zapach tej stęchłej ropy mógłby konkurować ze smrodem stada kóz. Czy o tym miejscu pani myślała?

— Uhm. Podoba się?

— Piękne.

Podjechałem do przechylonej przyczepy. Wsiadliśmy. Szum ulicznego ruchu dochodził z oddali, przytłumiony jak brzęczenie pszczoł. Miejsce było bezładne niczym kościelny dziedziniec. Drzewa eukaliptusowe wyglądały na zakurzone, nawet pomimo deszczu. Zresztą zawsze tak wyglądają. Jakaś gałąź złamana przez wiatr wpadła do jednej z kałuż i zwiędłe eukaliptusowe liście poruszały się w wodzie.

Obszedłem naftowe blocko i zajrzałem do pompowni. Leżało w niej trochę gratów, ale nie sprawiały wrażenia, by je ktoś ostatnio ruszał. Rzeczywiście wyglądało to na dobre miejsce.

Wróciłem do samochodu. Dziewczyna stała obok, muskała włosy, wystawiała je do słońca.

— Niech pan da — wyciągnęła rękę rozkazującym gestem.

Wyjąłem rewolwer z kieszeni i położyłem na jej dłoni. Podniosłem z ziemi zardzewiałą puszkę.

— Niech pani będzie ostrożna — powiedziałem. — W magazynku jest pięć naboju. Pójdę i ustawię puszkę na pompie. Widzi pani, tam — wskazałem ręką. Kiwnęła głową zachwycona. — To wyniesie około dziesięciu metrów. Niech pani nie zaczyna strzelać dopóki nie wrócę dobrze?

— Dobrze — zachichotała.

Obszedłem blocko i postawiłem puszkę na pompie. Zawróciłem. Kiedy znajdowałem się w odległości trzech metrów od dziewczyny, pokazała mi nagle w uśmiechu swoje małe, ostre zęby, podniosła rewolwer i zaczęła syczeć.

Stanąłem nieruchomo, czując za plecami śmierzące, nieruchome bagno.

— Stój spokojnie, ty parszywy sk... — zasyczała.

Lufa rewolweru wycelowana była w moją pierś. Rękę trzymała bardzo pewnie. Syczała coraz głośniej. Twarz jej sprawiała wrażenie maski z wypolerowanej kości słoniowej. Nagle postarzała, odstręczająca, stała się podobna do zwierzęcia, i to niezbyt sympatycznego zwierzęcia.

Zaśmiałem się jej w twarz. Zrobiłem kilka kroków w jej stronę. Widziałem, jak jej małe palec naciskał kurek spustowy tak mocno, że aż zbieła. Byłem w odległości zaledwie dwóch metrów od niej, kiedy zaczęła strzelać.

Strzały były bardzo głośne, bez echa, urywane trzaski w pełnym słońcu. Nie widziałem ognia. Zatrzymałem się i uśmiechnąłem do niej.

Wystrzeliła jeszcze dwa razy, raz po raz. Wszystkie strzały były celne. Został jeszcze jeden nabój. Podskoczyłem do niej.

Nie chciałem ostatniego strzału dostać w twarz i dlatego odchyliłem głowę. Sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej i pieczołowicie celując, wystrzeliła po raz ostatni. Odczułem lekkie ciepło spalonego prochu.

Wyprostowałem się.

— Boże, ależ pani chytra — powiedziałem.

Dłoń trzymająca wypróżniony pistolet zaczęła nagle drżeć gwałtownie. Broń upadła na ziemię. Usta zaczęły drżeć. Mała twarz zmieniła zupełnie wyraz. Skręciła głowę w lewo. Na ustach pokazała się piana. Oddech stał się świszczący. Zaczęła się kołysać.

Schwyciłem ją w momencie, kiedy padała. Była nieprzytomna. Rozwarłem jej szczęki i wpakowałem między zęby zwiniętą chusteczkę. Musiałem użyć w tym celu całej swojej siły. Uniosłem ją i ułożyłem w samochodzie. Wróciłem po rewolwer, podniosłem go i włożyłem do kieszeni. Zawróciłem i pojechałem w górę wzgórza, tą samą, wyżłobioną koleinami drogą, którą przyjechaliśmy.

Carmen leżała w bezwładnym bezruchu w rogu samochodu. Byliśmy w połowie drogi do domu, kiedy się poruszyła. Otworzyła nagle oczy, rozszerzone i dzikie. Usiadła.

— Co się stało — jęknęła.

— Nic. Dlaczego pani pyta?

— Och, coś musiało się stać — zachichotała. — Przecież zmoczyłam się.

— To zupełnie normalna reakcja — powiedziałem.

Spojrzała na mnie z nagłą przebiegłością chorego człowieka i zaczęła jęczeć.

## Rozdział XXXII

Pokojowa z końską twarzą i łagodnymi oczami zaprowadziła mnie do dużego pokoju na piętrze, gdzie z okien zwisały w ekstrawaganckich fałdach zasłony koloru kości słoniowej, a podłogę pokrywał biały dywan. Buduar gwiazdy filmowej, kuszący i pełen czaru, nienaturalny niczym noga z drewna. Na razie nie było w nim nikogo. Drzwi zamknęły się za mną miękko i cicho jak w szpitalu. Przy kanapie stał stoliczek na kółkach, połyskujący srebrnymi okuciami. W filizance; po kawie leżał popiół z papierosa. Usiadłem.

Czekałem dość długo, zanim otworzyły się drzwi i zjawiła się Vivian. Nosila bladoperłowy strój poranny, przybrany białym futrem. Podeszła do mnie długimi, bezszelestnymi krokami i



przysiadła na brzeżku kanapy. W kąciu jej warg tkwił papieros. Paznokcie miała pomalowane na miedzianoczerwony kolor, z pozostawionymi białymi półksiężycami u nasady.

— A więc jednak jest pan brutalnym typem — powiedziała patrząc na mnie spokojnie. — Nieczułym, niezwykle brutalnym typem. Tej nocy zabił pan człowieka. Proszę nie pytać, skąd o tym wiem. A teraz przyszedł pan tutaj i przestraszył moją siostrzyczkę tak, że dostała ataku.

Patrzyłem na nią nic nie mówiąc. Widziałem, że się zaniepokoiła. Przesiadła się z kanapy na fotel i oparła głowę o białą poduszkę leżącą na jego oparciu. Wypuściła bladoszary dymek i patrzyła, jak unosił się ku sufitowi, rozrzedzał w wątle pasma, jeszcze przez chwilę widoczne w powietrzu, blednące coraz bardziej, by wreszcie zniknąć. Odwróciła powoli oczy ku mnie i rzuciła mi zimne, ostre spojrzenie.

— Nie rozumiem pana — ciągnęła dalej. — Wdzięczna jestem teraz opatrności, że poprzedniej nocy przynajmniej jedno z nas nie straciło głowy. Wystarczy, że kiedyś poślubiłam przemysłowca alkoholu... Może by pan, na litość boską, wreszcie coś powiedział!

— Jak ona się czuje? — spytałem.

— Och, myślę, że już dobrze. Od razu zasnęła. Co pan jej zrobił?

— Właściwie nic. Spotkałem ją w ogrodzie, wychodząc od pani ojca. Strzelała z łuku do tarczy zawieszanej na drzewie. Podszedłem do niej, ponieważ chciałem jej zwrócić coś, co do niej należało. Mały rewolwer, który kiedyś podarował jej Owen Taylor. Miała go ze sobą owego wieczoru, kiedy zastrzelono Brody'ego, i wtedy właśnie go jej odebrałem. Nie mówiłem o tym nikomu, tak że może pani o tym nie wiedzieć.

Wielkie czarne oczy Sternwoodów rozszerzyły się i zgasły. Teraz z kolei ona patrzyła na mnie nic nie mówiąc.

— Była szczęśliwa, że dostała z powrotem swój rewolwer. Błagała mnie, żebym nauczył ją strzelać. Chciała mi pokazać stare źródła naftowe na zboczach góry, które przyniosły pani rodzinie pieniądze. Pojechaliśmy tam. Okazało się, że to raczej opuszczone miejsce, z obrzydliwym stęchłym bagniskiem, pełne zardzewiałego żelastwa i nieruchomych pomp. Wydaje mi się, że pani już tam kiedyś była. To naprawdę niesamowita okolica.

— Tak. Naprawdę — jej głos był teraz cichy, przytłumiony.

— Wyszliśmy i ustawiłem puszkę, żeby miała w co celować. Wówczas wydarzyło się coś, co wyglądało na atak epilepsji.

— Tak — powiedziała tym samym głosem. — Czasami jej się to zdarza. Czy to wszystko, o czym chce mi pan opowiedzieć?

— Wydaje mi się, że to pani nie chce mi ciągle powiedzieć, co takiego wie o pani Eddie Mars.

— Absolutnie nic. I jestem już trochę zmęczona ciągłym zadawaniem tego pytania — odpowiedziała chłodnym tonem.

— Zna pani człowieka o nazwisku Canino?

Ściągnęła piękne czarne brwi.

— Tak jakbym słyszała to nazwisko.

— Rewolwerowiec Eddiego Marsa. Groźny facet, jak mówią. Ja bym powiedział, że był. Gdyby nie pomoc pewnej pani, znajdowałbym się tam, gdzie on w tej chwili — w kostnicy.

— Wygląda na to, że kobiety... — pobladła i urwała. □ Nie potrafię na ten temat żartować — powiedziała z prostotą.

— Ja nie żartuję. A jeśli sprawiaam wrażenie, że coś kręcę, to tylko dlatego że to wszystko jest pokrętne. Ale też wszystko do siebie pasuje. Geiger i jego małe cwaniackie szantażyki,

Brody i zdjęcia, Eddie Mars i ruletka, Canino i kobieta, z którą Rusty nie uciekł. Wszystko to wiąże się ze sobą.

— W ogóle nie wiem, o czym pan mówi.

— Mogę to pani streścić. Geiger miał w garści pani małą siostrę, co zresztą nie było zbyt trudne. Otrzymał od niej kilka rewersów, przy pomocy których próbował w swoście elegancki sposób szantażować pani ojca. Za Geigerem stał Eddie Mars, dla którego tamten był czymś w rodzaju parawanu. Pani ojciec, zamiast zapłacić, wezwał mnie, z czego można było łatwo wywnioskować, że się nie boi. Eddie Mars chciał to po prostu sprawdzić. Ma jakiś haczyk na panią i chciał wiedzieć, czy można to wykorzystać w stosunku do generała. Jeśli tak, mógłby w krótkim czasie zrobić wielkie pieniądze. Jeśli nie, musiałby czekać, aż otrzyma pani swoją część rodzinnej fortuny, a na razie zadowolić się tym, co pani straci przy ruletce. Geiger został zastrzelony przez Owena Taylora, który kochał się w pani małej, głupiej siostrze i któremu nie podobały się zabawy, jakie uprawiał z nią Geiger. Naturalnie, nie miało to żadnego znaczenia dla Eddiego. Grał o większą stawkę, o wiele większą niż przypuszczał Geiger czy Brody, o wiele większą niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Ktokolwiek oprócz pani, Eddiego i zawodowego mordercy o nazwisku Canino. Pani mąż zniknął. Eddie zdawał sobie sprawę, że było publiczną tajemnicą, iż on i Regan nie darzyli się sympatią. Dlatego też ukrył swoją żonę w Realito i wysłał Canina, by ją pilnował. Wyglądało to tak, jakby uciekła z Rustym Reganem. Nie zapomniał nawet o odprowadzeniu samochodu Regana do garażu domu, w którym mieszkała Mona. Oczywiście, to wszystko brzmi naiwnie, jeśli założyć, że miało rozwiać podejrzenia co do tego, czy Eddie Mars zabił czy też polecił zabić pani męża. W rzeczywistości nie jest to takie naiwne. Eddie grał o coś innego. O milion albo coś koło tego. Wiedział, gdzie i dlaczego zniknął Regan, i nie chciał, by wiedziała również o tym policja. Chciał im podsunąć możliwie prawdopodobny motyw jego zniknięcia, taki, który by ich zadowolił. Ale może panią nudzę?

— Do ostatnich granic — powiedziała martwym, wyczerpanym głosem. — Boże, jak pan mnie znużył!

— Bardzo mi przykro. Ale nie tracę czasu tylko po to, by wydać się pani inteligentnym. Pani ojciec zaoferował mi dziś rano tysiąc dolarów i polecił odnaleźć Regana. To dla mnie duża suma, ale nie mogę tego zrobić.

Rozchyliła gwałtownie usta, jej oddech stał się chrapliwy.

— Niech mi pan da papierosa — powiedziała głucho. — Dlaczego pan nie może? — tętnica na jej gardle zaczęła pulsować.

Podał jej papierosa i zapaliłem zapałkę. Zaciągnęła się głęboko, gwałtownie wypuściła dym i zapomniała o papierosie. Nie zaciągnęła się już nim ani razu.

— Cóż, skoro Wydział Osób Zaginionych nie może go odnaleźć... Nie jest to zresztą takie proste... Nie wygląda na to, żebym ja dokonał tego, czego oni nie mogą.

— Aha — wyczułem ulgę w jej głosie.

— Ludzie z Wydziału sądzą, że Regan po prostu zniknął i jak to ujmują, zatarł za sobą ślady. Nie wierzą w to, że Eddie Mars go zlikwidował.

— A kto twierdzi, że go ktoś zlikwidował?

— Zaraz do tego dojdziemy.

Przez moment jej twarz skurczyła się w nie kontrolowanym grymasie, który wykrzywił i zmienił jej rysy. Usta otworzyły się do krzyku. Ale tylko przez moment. Płynęła w niej krew Sternwoodów, zbyt dobra, by usprawiedliwiać wyłącznie jej gorące oczy i szaleńcze postępowanie.

Wstałem, wyjąłem tłącego się papierosa spomiędzy jej palców i zdusiłem niedopałek w popielniczce. Wyjąłem mały rewolwer Carmen z kieszeni i położyłem go ostrożnie, z przesadną troskliwością, na obleczonej perłowym jedwabiem kolanach.

Usiadłem z powrotem. Nie poruszyła się. Jej źrenice wędrowały powoli, milimetr po milimetrze, ku dołowi, aż spoczęły na rewolwerze.

— Jest rozbrojony — powiedziałem. — Wszystkie pięć naboji zostało wystrzelone. Pięć razy strzelała do mnie i to z odległości zaledwie dwóch metrów. Miłe, małe stworzonko ta pani siostra, prawda? Niestety, naładowałem rewolwer pustymi nabojami — uśmiechnąłem się obrzydliwie. — Wiedziałem, co zrobi, jeśli tylko będzie miała okazję.

Jej głos był głuchy, wydobywał się gdzieś z głębi wnętrza.

— Jest pan strasznym człowiekiem — szepnęła — strasznym.

— Uhm. Jest pani jej starszą siostrą. Co pani zamierza zrobić?

— Nie może pan tego wszystkiego dowieść.

— Czego nie mogę dowieść?

— Że do pana strzelała. Powiedział pan, że byliście tam sami... koło szybów. Nie może pan udowodnić ani słowa z tego, co pan powiedział.

— Rzeczywiście — uśmiechnąłem się. — Nie myślę nawet próbować. Myślę tylko o tym, że poprzednim razem naboje w małym rewolwerze nie były ślepe.

Miała puste oczy. Puste bardziej niż sama pustka.

— Myślę o dniu, w którym zniknął Regan. Było późne popołudnie. Carmen pojechała z nim tam, do starego źródła nafty, żeby uczyć się strzelać. Ustawił gdzieś starą puszkę i powiedział jej, że ma do niej celować. Nie celowała jednak do puszek. Skierowała broń ku niemu i zastrzeliła go tak samo, jak dzisiaj chciała zastrzelić mnie, dla tej samej przyczyny.

Poruszyła się lekko, rewolwer ześliznął się z jej kolan. Jej głos stał się ledwo słyszalnym szeptem.

— Carmen...! Mój Boże, Carmen...! Dlaczego?

— Czy muszę pani rzeczywiście powiedzieć, dlaczego do mnie strzelała?

— Tak... — Jej oczy miały wciąż ten sam okropny wyraz. — Ja... Obawiam się, że musi pan.

— Kiedy przedwcześniej przyszedłem do domu, znalazłem ją w swoim pokoju. Oszukała administratora, że kazałem jej poczekać. Leżała w moim łóżku. Naga. Wyrzuciłem ją. Domyślałem się, że Regan też to kiedyś zrobił. A na to nie można sobie z Carmen pozwolić.

Usiłowała oblizać wargi. Przez moment wyglądała jak przestraszone dziecko. Jej ręce unosiły się powoli ku górze, jakby były dwiema protezami, palce zacisnęły się sztywno na futrzanym obramowaniu kołnierza pidżamy. Szarpnęła go odsłaniając gardło.

— Pieniądze — zachrypiła — pewnie chce pan pieniędzy.

— Ile to jest dla pani warte? — spytałem ironicznie.

— Piętnaście tysięcy?

Skinałem głową.

— To bardzo piękna sumka. Byłoby to największe z moich dotychczasowych honorariów. Tyle miał w kieszeni Rusty, kiedy został zastrzelony. Tyle samo dostał Canino za to, że usunął trupa. Ale Eddie spodziewa się dostać nieco więcej któregoś dnia, prawda?

— Ty skurwysynie — zachrypiła.

— Uhm. Jestem bardzo inteligentnym facetem bez żadnych skrupułów. Jestem tak żądny pieniędzy, że za dwadzieścia pięć dolarów dziennie i pokrycie kosztów, to znaczy zużycie benzyny i whisky, rozplątuje to, co jest do rozplątania. Rzykuję całą swoją przyszłością,

narażam się na nienawiść policji i Eddiego Marsa z jego gorylami, unikam kul i mówię: „Dziękuję bardzo, jeśli państwo będą mieli jeszcze kiedyś kłopoty, mam nadzieję, że państwo o mnie nie zapomną” — i na wszelki wypadek po prostu zostawiam wizytówkę. Wszystko to za dwadzieścia pięć dolarów dziennie... I może dlatego, by uchronić dumnego kalekiego mężczyznę od myśli, że w żyłach jego dzieci płynie zatruta krew, by myślał, że jego dwie małe dziewczynki są może trochę dzikie, ale nie zboczone ani też nie są morderczyniami. To dlatego właśnie jestem skurwysynem. W porządku. Nie dbam o to, bywałem już gorzej określany przez ludzi różnego autoramentu, nie wykluczając pani młodszej siostrzyczki. Nazwała mnie zresztą znacznie gorzej, kiedy ją wyrzucałem z łóżka... dostałem od pani ojca pięćset dolarów, o które nie prosiłem, ale które uważał za stosowne mi wypłacić, mógłbym dostać jeszcze tysiąc za znalezienie Rusty'ego Regana. A teraz pani oferuje mi piętnaście tysięcy. To mój dobry strzał! Za piętnaście tysięcy mogę kupić dom i samochód i ze cztery garnitury. Mogę nawet pojechać na wakacje. To wszystko fajnie. Za co pani właściwie chce płacić? Za to, że jestem skurwysynem, czy za to, że bym stał się dżentelmenem, na przykład w rodzaju tego, który leżał w samochodzie w Las Olindas?

Trwała nieporuszona, jak wykuta z kamienia.

— Dobrze — powiedziałem ciężko: — Czy może pani ją gdzieś wywieźć? Gdzieś daleko stąd, gdzie umięją obchodzić się z ludźmi jej pokroju? Trzymać z daleka od niej rewolwery i noże, i ogłupiające koktajle? Do licha, może nawet uda się ją wyleczyć... To w końcu możliwe.

Podeszła do okna. Sprawiała wrażenie zupełnie wyczerpanej.

— Leży tam w bagnie — powiedziała. — To straszne. Zrobiłam to. Zrobiłam to wszystko tak, jak pan powiedział, Poszłam do Eddiego Marsa. Carmen przyszła do domu i opowiedziała mi o wszystkim jak dziecko. Jest nienormalna. Wiedziałam, że policja wszystko z niej wydobędzie. Wiedziałam również, że jeśli ojciec się o tym dowie, przywoła natychmiast policję. Wiedziałam również, że pewnej nocy umrze... Nie chodziło mi o śmierć fizyczną, chodziło mi o to, o czym będzie przedtem myślał. Rusty nie był złym człowiekiem. Nie kochałam go. Był jednak przyzwoity i dobry. Tak mi się przynajmniej wydaje. W porównaniu z moim ojcem nie przedstawiał dla mnie żadnej wartości, żywy czy umarły.

— I dlatego pozwoliła jej pani obracać się swobodnie między ludźmi i stwarzać groźbę nowych przestępstw?

— Grałam na zwłokę. Po prostu na zwłokę. Obralam złą drogę, to prawda. Łudziłam się, że ona sama o tym zapomni. Słyszałam, że to się zdarza. Wiedziałam, że Eddie Mars zdrowo upuści mi krwi, ale to nie miało znaczenia. Potrzebowałam pomocy i mogłam się jej spodziewać tylko od kogoś takiego jak on... Czasami wydawało mi się to tylko złym snem. A czasami piłam szybko.. obojętne o jakiej porze dnia. Do cholery, okropnie szybko...

— Wywiezie ją pani stąd, i to okropnie szybko — powiedziałem.

Odwróciła się do mnie plecami i powiedziała łagodnym głosem:

— A pan? Co będzie z panem?

— Nic. Pożegnaj się. Daję pani trzy dni czasu. Jeżeli w ciągu trzech dni odwiezie pani ją tam, gdzie należy, to wszystko w porządku. Jeżeli nie — wyjdzie szydło z worka. I niech pani nie liczy na to, że nie zawiadomię policji.

Odwróciła się do mnie gwałtownie.

— Nie wiem, co mam panu powiedzieć... Nie wiem, jak zacząć...

— Niech ją pani stąd zabierze i dopilnuje, by ani chwili nie zostawała bez opieki. Daje mi pani słowo?

- Słowo honoru. A Eddie...?
- Niech pani zapomni o Eddiem. Zatrąszczę się o niego. Jak tylko trochę odpocznę.
- Będzie chciał pana zabić.
- Nie ma już najlepszego konia w swojej stajni —stwierdziłem. — Innych się nie boję. Czy Norris wie?
- Nigdy nic nie mówił.
- Wydaje mi się, że zdawał sobie ze wszystkiego sprawę.

Odwróciłem się od niej, podszedłem do drzwi, otworzyłem je i wyszedłem na korytarz. Zszedłem po schodach do hallu. Nikt nie widział, jak wychodziłem i tym razem nikt nie podał mi kapelusza. Rozświetlony ogród sprawiał na mnie wrażenie miejsca do polowania; czułem się tak, jakby śledziły mnie spoza krzaków małe dzikie oczy, nawet słońce posyłało promienie w jakiś dziwny, tajemniczy sposób. Wsiadłem do samochodu i odjechałem.

Jakie to ma znaczenie, gdzie się leży po śmierci? W brudnym bagnie czy w marmurowej wieży na szczycie wysokiej góry? Umarli śpią głębokim snem, nie troszcząc się o takie różnice. Ropa i woda znaczą tyle samo co wiatr i powietrze. Śpi się bardzo głębokim snem, a ten, który go śni, nie troszczy się o to, w jaki sposób umarł albo gdzie go złożono do grobu. Czułem się częścią tego całego brudu, który mnie otaczał. Byłem jego częścią o wiele bardziej niż Rusty Regan w swoim okropnym błotnistym grobie. Zaoszczędziłem tego jednak staremu człowiekowi, który mógł teraz już spokojnie leżeć w swoim łożu, z bezkrwistymi rękami złożonymi na prześcieradle, czekając. Jego serce biło lekko, niepewnym szmerem. Jego myśli były szare, jak popiół papierosa. I niedługo on również, jak Rusty Regan, miał zapaść w swój głęboki sen.

Po drodze do miasta zatrzymałem się przed barem, gdzie wypilem dwie podwójne szkockie. Nic mi to jednak nie pomogło. Jedynym efektem było to, że zacząłem myśleć o „Srebrnej Głowce”, której nigdy już nie miałem zobaczyć.

KONIEC